

# Goldind William

## TWARZĄ W TWARZ

Swoje urodziny uczciłem w ten sposób, że sam dałem sobie prezent, bo nikt inny jakoś nie miał na to ochoty! Kupiłem go, rzecz jasna, u pana Jonesa, płamika. Wyszedłszy na pokład, co przyniosło mi niejaką ulgę od fetoru zalegającego w trzewiach statku, spotkałem Charlesa Summersa, pierwszego oficera a mojego przyjaciela. Zaśmiał się na widok woluminu, który dzierżyłem w dłoni.

— Cały statek wie już, Edmundzie, że zakończyłeś, to jest zapełniłeś, księgę podarowaną ci przez czcignego ojca chrzestnego.

— Wie? Skąd?

— Och, nie dziw się! Na statku nic przed nikim się nie ukryje. Czyżbyś jednak miał dla niego więcej nowin?

— To nie dalszy ciąg, to zupełnie nowe dzieło. Gdy już zapełnię ten kajet opisem naszej podróży, zachowam go na swój wyłączny użytek.

— Nie będziesz chyba miał o czym pisać.

— Wręcz przeciwnie, mój drogi, wręcz przeciwnie!

— Masz zatem więcej powodów do samozadowolenia?

— Jak mam to rozumieć?

— Jak? By jeszcze bardziej zadzierać nosa! Drogi Edmundzie, gdybyś wiedział, jak bardzo wyniosły bywasz czasem — a co dopiero teraz, gdy na dodatek zostałeś pisarzem!

Ta mieszanina poufałości i wesołej irytacji niezbyt przypadła mi do gustu. Wydawało mi się bowiem, że wyleczyłem się już nieco z wyniosłego zachowania, owego przekonania o własnej wartości, jakie może zbyt lekkomyślnie przejawiałem w pierwszych dniach podróży, co zaskarbiło mi wśród prostych marynarzy przezwisko „lorda Talbota”, choć oczywiście z prawa przynależy mi jedynie „pan”.

— To tylko zabawka, ot, po to, by zabić czas. Cóż ma do roboty biedny szczur lądowy, gdy płynie z wierzchołka świata na sam dół?

— Ten kajet jest chyba in folio, prawda? Żeby go zapełnić, musiałbyś przeżyć wiele przygód. Ten pierwszy, dzięki twemu chrzestnemu...

— I Colleyowi, Wheelerowi, kapitanowi Andersonowi...

— I innym. Pragnę szczerze, by znacznie trudniej przyszło ci zapełnić drugi tom!

— Pragnienie to już się spełniło, bo w głowie mam pustkę. A propos, dziś są moje urodziny!

Skinął z powagą głową, ale nic nie powiedział i ruszył przed siebie na dziób statku. Westchnąłem. Chyba po raz pierwszy w życiu sam musiałem pamiętać o moich urodzinach! W domu byłoby zupełnie inaczej, dostałbym prezenty i życzenia... Na włokącym się ociężałe statku tego rodzaju skromne rozrywki i miłe zwyczaje wyrzuca się po prostu za burtę.

Poszedłem do mojej „komórki”, czyli kajuty, która musi służyć mi za schronienie, nim dotrzemy na antypody. Zasiadłem w płóciennym krześle przed opuszczanym ze ściany blacikiem — nie mam innego stołu — i rzuciłem na otwarty kajet. Przestrzeń, jaka otwarła się przede mną, była bezkresna. Gdy pochyliłem się nad nią i spojrzałem w puste karty — nie miałem zresztą wyboru, gdyż tak mało światła przenika przez judasz w drzwiach mej klatki — miałem wrażenie, że rozlewa się na wszystkie strony, aż obejmuje całość mego świata. Wpatrywałem się więc z nadzieją, że ujrzę coś, co będzie warte utrwalenia — nic z tego! Dopiero po dłuższej chwili przyszło mi na myśl, by robić to, co teraz robię, czyli opisywać moją — chwilową niewątpliwie — bezradność. Ten nieszczęsny człowieczek, pastor Colley, potrafił przecież — jeśli dobrze pamiętam, nieświadomie — tak zręcznie użyć potężnej maszyny języka angielskiego w listach do swej siostry, że odmalował nasz statek i wszystkich jego pasażerów, w tym również mnie, z wiernością graniczącą z cudem. W listach tych statek nasz był jak żywy i płynął lub stał w miejscu, zależnie od kaprysów wiatru i pogody.

Ależ tak, Edmundzie, ty głupcze — pogoda! Czemuż nie zaczniesz od tego? Wreszcie udało się nam wydostać ze strefy bezwietrznej — przebywaliśmy w niej zbyt długo jak na mój gust. Teraz jednak okolorównikowy pas pięknej pogody zostawiliśmy za plecami i przemy na południe. Wiatr mamy z bakburty, więc znów pojawiła się ta ciągła chybotliwość pokładu, i znów ten lekki przechył na prawą burtę, do czego jestem teraz już tak przyzwyczajony, że i ja, i moje kończyny uważają to za coś zupełnie normalnego. Pogoda nastąpiła teraz taka, że zakreśla nam horyzont błękitu nieba, spełniającego słynny nakaz lorda Byrona, ciągnącego się w dal, bez końca — taka jest siła poezji. Kiedyś i jej muszę poprobać. Dobry i chyba narastający wiatr Gęśli dobrze pamiętam, jego lordowska mość nie raczył o nim wspomnieć) pecha nas więc — w przeszłości — albo raczej powinien pechać, lecz z jakiegoś powodu.

liie ma większego wpływu na prędkość statku. Tyle

0 pogodzie. Zresztą u Colleya byłaby ona częścią większej całości; ja jednak widzę tylko tyle, że powietrze lekko się ochłodziło, atrament w kałamarzu zaś odchyła się lekko od poziomu. Edmundzie, zaklinam cię! Bądź pisarzem!

Ale jak?

Nie da się ukryć, że istnieje znaczna różnica między tym dziennikiem, pisany z myślą o... sam nie wiem o kim, a tym pierwszym, przeznaczonym dla mojego ojca chrzestnego — znacznie mniej pobłażliwego, niż uważałem, czytelnika. Wtedy nie musiałem nawet kiwnąć palcem. Wskutek całej serii niezwykle zbiegów okoliczności Colley „umarł ze wstydu” a „mój służący”, Wheeler, utonął, co sprawiło, że karty same się zapełniły! Nie mogę sięgnąć do nich, gdyż dziennik mój leży teraz w dolnej szufladzie, owinięty w brązowy papier, zaszyty w płótno żaglowe i opieczętowany. Pamiętam jednak, że napisałem pod koniec, iż jest to jakby morska opowieść. Ale tamten dziennik stał się nią zupełnie przypadkowo, teraz zaś nie mam nawet o czym opowiadać.

Wczoraj spostrzegliśmy wieloryba, a raczej obłok pyłu wodnego w miejscu, gdzie stwór wyrzucał powietrze w górę, bo sama bestia nie ukazała się ani na chwilę. Porucznik Deverel, mój druh, od zażyłości z którym, szczerze mówiąc, chętnie bym się uwolnił, zauważył, że wielce przypomina to uderzenie kuli armatniej w wodę. Co usłyszawszy, Zenobia Brock- lebank wrzasnęła i zaczęła błagać go, by nie wspominał rzeczy tak przerażająco strasznych — przejaw prawdziwej lub udawanej słabości kobiecej — co dało mu okazję, by ująć jej nie stawiającą oporu dłoń

I szeptać uspokajające słowa, nie pozbawione podtekstów miłosnych. Pamiętam, że panna Granham, owa była guwernantka, spojrziała na nich wzrokiem

zmienionym jeśli nie w sztylety, to przynajmniej w scyzoryki, i przeniosła się w pobliże swego narzeczonego, pana Prettimana, wychwalającego właśnie naszemu zapijaczonemu maryniście, panu Brock- lebankowi, korzyści, jakie przyniesie społeczeństwu rewolucja. Działo się to wszystko pod okiem porucznika Cumbershuma, który trzymał wachtę wraz z młodym panem Taylorem! I co jeszcze? Jakie to wszystko trywialne!

Wczoraj na śródokręciu wyłożono spory kawał liny, opleciono ją juzingiem, zabandażowano i użyto do jakiejś tajemniczej czynności żeglarskiej. To jedyne wydarzenie zeszłego dnia, które mogę opisać, a i tak było bardzo nudne.

Do diabła! Potrzeba mi bohatera, bym mógł opisywać jego czyny w księdze drugiej. Czy będzie nim nasz ponury kapitan Anderson? Nie sądzę. Mimo munduru jest w nim coś nieodparcie nieheroicznego. Charles Summers, pierwszy oficer i mój przyjaciel? Ten z kolei jest naszym Dobrym Człowiekiem, więc postać tragiczną uczyniłoby z niego tylko coś, co pozbawiłoby go tego zaszczytnego stanowiska, czego ani spodziewam się, ani pragnę. Inni, pan Smiles, nasz niedostępny żaglomistrz, pan Gibbs, cieśla, pan Askew, działomistrz — a czemuż nie nasz sklepikarz, płatnik, pan Jones? Oldmeadow, oficer, ze swą grupką żołnierzy w zielonych mundurach? Biję się z myślami, przywołuję na pomoc Smolletta z Fieldingiem, proszę ich o radę, ale nie mają mi nic do powiedzenia.

Być może powinienem opowiedzieć o młodym dżentelmanie, wielce inteligentnym i bardziej wrażliwym, niż mu się zdawało, który wybiera się w podróż na antypody, by wspomóc gubernatora nowo założonej kolonii swymi niewątpliwymi zdolnościami-

/ m

mi — jakimi? A więc młody człowiek, młody człowiek... co? Wśród emigrantów gnieźdzących się w forkasztelu znajduje się jakaś kobieta; może ona będzie bohaterką, jakąś księżniczką w przebraniu? Może o n, nasz bohater, wyratuje ją — ale od czego? Jest też panna Brocklebank, ale o niej pisać nie mam najmniejszej ochoty, i pani Brocklebank, która jest

o wiele za młoda i za ładna, by być żoną takiego starego opoja — zresztą nie utrzymuję z nią obecnie niemal żadnych stosunków.

Poszukuję bohatera mojego nowego dziennika, nowej bohaterki, nowego czarnego charakteru i trochę komizmu, by rozproszyć głęboką jak morze nudę.

Chyba jednak muszę zdecydować się na Charlesa Summersa. Z nim przynajmniej dość regularnie spotykam się i rozmawiam. Jako pierwszy oficer, odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się na statku, nie pełni wacht; za to osiemnaście godzin na dobę wszędzie go pełno; zna osobiście i po nazwisku całą załogę, nie mówiąc już o emigrantach i pasażerach. Przypuszczam, że musi również znać statek jak własną kieszeń. Zdołałem zauważyć, że ma on trochę czasu dla siebie jedynie przez godzinę przed południem — mniej więcej między jedenastą a dwunastą, gdy wędruje po pokładzie krokiem kogoś, kto zażywa przechadzki dla zdrowia. Podobnie czynią niektórzy pasażerowie i z radością, wręcz z dumą, mogą oznajmić, że Charles właśnie ze mną gawędzi najchętniej! Stało się już zwyczajem, że spacerujemy tam i z powrotem po śródokręciu wzdłuż bakburty, podczas gdy pan Prettiman i jego narzeczona, panna Granham — wzdłuż sterburty; zawsze jako dwie osobne pary, nigdy nie łącząc się w jedną czwórkę. I zawsze też, gdy oni zawracają od forkasztelu, my zawracamy od rufy! Gdy potem zdążamy ku środkowi statku, skrywa nas przed nimi bryła grotmasztu, więc nie musimy uchylać kapelusza ani z uśmiechem

skłaniać głowy za każdym razem, gdy się mijamy! Czyż to nie małostkowe i absurdalne? Od kieratu wszystkich czynności właściwych szczyrom lądowym chroni nas tylko gruby słup drewna!

Któregoś przedpołudnia zwróciłem Charlesowi na to uwagę. Zaśmiał się.

— Nie myślałem dotąd o tym, ale rzeczywiście chyba tak jest. Trzeba być bystrym, by to zauważyć!

— Zdolność ta jest częścią właściwej nauki

o człowieku, rzeczą wielce przydatną komuś, kto zamierza poświęcić się polityce.

— Zatem zaplanowałaś już, co zrobisz ze swym życiem?

— Istotnie. I to znacznie dokładniej niż większość ludzi w mym wieku.

— Umieram z ciekawości.

— No cóż... Kilka lat — ale tylko kilka — spędzę w koloniach.

— Gdybym tak mógł być tego świadkiem!

— Wspomni pan moje słowa, panie Summers. Jestem przekonany, że w tym wieku narody cywilizowane rozszerzą swe panowanie na zacofane części świata.

— A co potem?

— Potem parlament. Mój ojciec chrzestny ma w kieszeni pewien fikcyjny okręg wyborczy. Fikcyjny, bo ma dwa mandaty i dwóch wyborców: pasterza- -pijaczynę i wieśniaka, który przez cały tydzień po każdych wyborach oddaje się nieopisanemu rozpuciu.

— Nie wahałbyś się korzystać z takich nadużyć?

— Oczywiście, czekają mnie pewne trudności. Nasze nieszczęsne dobra są teraz mocno obciążone, a ponieważ na zasiadanie w parlamencie może pozwolić sobie tylko człowiek zamożny, będę musiał wcześniej podreperować się finansowo.

Charles głośno roześmiał się, po czym zatrzymał się nagle.

— Może nie powinno mnie to bawić, Edmundzie, a jednak bawi. Podreperować się finansowo! A potem?

— No cóż... rząd! Rada ministrów!

— Cóż za ambicje!

— Czy nie podoba ci się ta strona mego charakteru?

Charles milczał przez chwilę, po czym odrzekł ciężko:

— Nie mam prawa cię krytykować. Sam jestem taki.

— Ty? Ależ skąd!

— Tak czy inaczej wielce mnie zajmujesz. Żywię szczerą nadzieję, że osiągniesz wszystko, coś sobie zamierzył, ku własnemu zadowoleniu i z korzyścią dla przyjaciół. Ale czy przypadkiem nie zaczyna się u nas spoglądać nieprzychylnym okiem na takie okręgi? Bo czyż nie przeczy zdrowemu rozsądkowi i sprawiedliwości to, że tylko garstka spośród całego ludu Anglii wybiera zgromadzenie, które rządzi wszystkimi?

— Myślę, że mogę oświecić cię w tym względzie! Ten pozorny defekt jest w rzeczywistości najwspanialszą stroną naszego ustroju...

— Ależ nie! To niemożliwe!

— Przecież, mój drogi, demokracja nie jest i nie może być oparta na równej reprezentacji całości. Jakże to? Mamyż dać prawo wyborcze dzieciom, ludziom bez majątku? Szaleńcom? Pospolitym przestępcom z więzień? Kobietom?

— Mam nadzieję, że nie słyszy cię panna Gran- ham!

— W rzeczy samej, za nic na świecie nie oczerniłbym tej szacownej damy. Dla niej zgadzam się na wyjątek. Oczernić? Nie śmiałybym!

— Ani ja!

Zaśmialiśmy się razem. Potem powróciłem do mego wywodu.

— W najlepszych czasach greckich prawo głosu miał tylko drobny ułamek ludności. Barbarzyńcy mogą wybierać sobie wodzów przez aklamację i bicie mieczami w tarcze, ale im bardziej cywilizowany kraj, tym mniejszy w nim odsetek ludzi zdolnych zrozumieć złożoność spraw publicznych! Cywilizowane społeczeństwo zawsze znajdzie sposoby zdrowego ograniczenia elektoratu do wysoko urodzonych, świetnie wykształconych, subtelnych, zawodowo zajmujących się polityką, i dziedzicznych wyborców, pochodzących z warstwy społecznej, która ma władzę we krwi, która tej władzy chce, i która nie odda jej nigdy!

Charles gestykułował teraz oburącz. Zdaje się, że znacznie podniosłem głos. Przerwał mi.

— Spokojnie, Edmundzie! Nie jestem parlamentem! Toż to prawdziwa oracja. Pan Prettiman, skręcając tym razem za grotmaszt, już robił się czerwony na twarzy!

Zacząłem mówić ciszej:

— Powściągnę głos, lecz nie przekonania. Prettiman jest teoretykiem, jeśli nie czymś jeszcze gorszym! Powszechnym błędem teoretyków jest wiara, że na biedny, niedoskonały grzbiet ludzkości uda się im dopasować jakiś doskonały ustrój! Nic z tego, panie Summers. Są okoliczności, z których można wyjść obronną ręką tylko dzięki niedociągnięciom pełnego sprzeczności i utrudnień systemu takiego jak nasz. Niech żyją fikcyjne okręgi wyborcze, po wieczne czasy, byle znajdowały się w dobrych rękach!

— Czyżbym słyszał już fragmenty pierwszej mowy nowego posła?

Poczułem na policzkach nagły przyływ ciepła.

— Jak się tego domyśliłeś?

Charles odwrócił się na chwilę i zbesztiał marynarza, który zabawiał się leniwie sznurkiem, smarem i marszpikiem. Potem zapytał:

- A życie osobiste, Edmundzie... To wszystko, czego bezpośrednio nie poświęcisz ojczyźnie?
  - No cóż... Pewnie będę żył tak, jak inni! Któregoś dnia — może za wiele lat — zajmę się sprawami naszych dóbr, jeśli nie da się rzucić tego na barki jednego z moich braci. Wyznam, że gdy śmieiej wybiegam myślą w przyszłość, widzi mi się, że uwalniam je spod ciężkiego jarzma dzięki — tu aż zaśmiałem się na samą myśl o tym — darowi, jakim nagrodi mnie wdzięczna ojczyzna! Ale uważasz mnie pewnie za marzyciela! Charles też się śmiał.
  - Nie ma w tym nic złego, jeśli tylko marzenia dotyczą przyszłości, nie przeszłości!
  - Za to moje praktyczne plany wcale nie są li tylko marzeniami. We właściwym czasie zamierzam ożenić się...
  - Ano właśnie. Czy wiadomo już, kim będzie szczęśliwa wybranka?
  - Ależ skąd! Czy wyobrażasz sobie, że zamierzam grać Romea przy czyjejś Julii? Daj mi z dziesięć lat, a może wtedy jakaś dama, młodsza ode mnie o dziesięć czy dwanaście lat, młoda dama z dobrej rodziny, zamożna, piękna...
  - A obecnie bawiąca się jeszcze w pokoju dzieciennym.
  - Otóż to.
  - Życzę ci szczęścia.
- Zaśmiałem się znowu.
- Jeszcze zatańczysz na moim weselu!
- Charles zamilkł i już się nie uśmiechał.
- Ja nie tańczę.

Skinął szybko głową i odszedł, znikając w forkaś- telu. Odwróciłem się, by pozdrowić pana Prettimana i jego narzeczoną, ale ci z kolei przeszli właśnie na rufę. Powróciłem do swej klatki i zasiadłem przed blacikiem. Pomyślałem sobie, że tę rozmowę warto zapisać w dzienniku. I pomyślałem jeszcze, jak miłego i bliskiego przyjaciela znalazłem w osobie Charlesa Summersa.

To wszystko zdarzyło się wczoraj. A dziś przed południem? Nic się nie działo. Jadłem coś bez smaku, odmówiłem picia, bo i tak piję tu za dużo, rozmawiałem, czy raczej wymieniałem pojedyncze sylaby z Oldmeadowem, który nie może znaleźć nic do roboty dla swych ludzi, okazałem Zenobii Brock- lebank, że ją ignoruję, gdyż weszło jej w zwyczaj zadawać się z prostymi marynarzami — i znów znalazłem się przed tą wielką, białą powierzchnią z kompletną pustką w głowie. Po namyśle przypomniałem sobie, że jest jeszcze jedna niemiła sprawa, o której powinienem napisać. Wróciłem właśnie z kolejnego spaceru po pokładzie z Charlesem Sum- mersem. Powiedział mi, że mamy teraz lepszy wiatr, na co odparłem, że nie zauważyłem najmniejszej różnicy w prędkości statku. Pokiwał głową.

— Wiem — odparł z powagą. — Powinniśmy przyśpieszyć, ale przeszkadza nam w tym zielsko. Znacznie za długo przebywaliśmy w strefie bezwietrznej.

Podszedłem do burty, popatrzyłem w dół i zaraz zobaczyłem zielone włosy wodorostów. Przy każdym przechyle w jedną stronę statek odsłaniał coś ciemniejszego, wodorosty jakby równie długie, ale innej barwy. Potem powracał do poprzedniego położenia, a zielone kędziory znów wysuwały się na wszystkie strony, po czym powoli ustawiały się w jednym kierunku, ciągnięte przez nieznacznym doprawdy ruch statku.

— Czy nie możemy pozbyć się tego?

— Gdybyśmy stali na kotwicy, można by przeciągnąć linę pod kilem. Można by też schować się w jakiejś zatoczce, przechylić statek i wyszorować kadłub.

- Czy w tych wodach wszystkie statki łapią to świństwo?
- Te nowoczesnej dziewiętnastowieczne, nie. Mają dno pokryte miedzią, na której wodorostom trudniej się utrzymać.
- Co za utrapienie!
- Tak ci spieszo na antypody?
- Już mi się tu ckni.

Uśmiechnął się i odszedł. Przypomniałem sobie o moim nowym zadaniu i powróciłem do klatki. Pisanie dziennika, którego pewnie nikt inny nie przeczyta, ma jednak swoje dobre strony. Wszystko zależy ode mnie! Mogę być całkowicie nieodpowiedzialny, jeśli tak mi się spodoba! Nie muszę silić się na dowcipy, które mogłyby rozbawić jakiegoś ojca chrzestnego, ani dbać o to, by przedstawić się z jak najlepszej strony, niczym panna młoda pozująca do portretu ślubnego. W dzienniku pisanym na użytek ojca chrzestnego byłem może zbyt szczerzy] myślę sobie czasem, że on zamiast przekonać się, jaki jestem szlachetny, może zrozumieć moją relację zbyt dosłownie i uznać mnie za niegodnego swej opieki! Niech mnie diabli, jeśli wiem, co mam z tym fantem począć, bo teraz nie zniszczę tego, co napisałem, nie niszcząc równocześnie prezentu, z jego aż nazbyt okazałą oprawą. Postąpiłem jak głupiec. Czy raczej: przedobrzyłem.

Cumbershum i Deverel namawiają Summersa, by doradził kapitanowi Andersonowi zmianę kursu w kierunku ujścia La Platy, gdzie można by statek przechylić i wyszorować z zielska. Doniósł mi o tym młody pan Taylor, wielce gadatliwy aspirant, który czasem zamęcza mnie swym towarzystwem. Summers jednak nie chce tego zrobić. Wie on, że Anderson zamierza odbyć cały rejs bez zawijania do portu. Muszę przyznać, że Summers, choć z gruntu porządny człowiek i dobry żeglarz, nie chce choćby w najmniejszym stopniu narazić się kapitanowi. Pan Taylor powiedział, że Charles uzasadnił swą odmowę twierdząc, że wiatr znacznie się wzmógł, więc nasza prędkość również trochę się zwiększyła. Wiatr nadal wieje z bakburty, horyzont przyćmił się nieco w porównaniu z jego poprzednią ostrością, od czasu do czasu morze ochlapuje nas wodą. Cieszy to i załogę, i pasażerów. Panie wprost tryskają zdrowiem, a...

Wliedzy slowem, którym tak zagadkowo kończy się ROZDZIAŁ PIERWSZY, a tymi, które piszę dzisiaj, należy domyślić się odstępu trzech dni. Przerwano mi. O bogowie, jak boli mnie głowa przy najmniejszym nawet poruszeniu karku! Nie ma dwóch zdań: porządnie oberwałem, a stało się to zupełnie niespodziewanie. Próbuję pisać leżąc na koi, gdyż Phillips dał mi deskę, którą kładę sobie na kolanach, i jak sam powiedział: „zaklinował” mi plecy paroma poduchami, twardymi jak kamień. Na szczęście, czy raczej na nieszczęście, statkiem mało kiwa, choć wiatr, do kroćset diabłów, pcha nas z powrotem w strefę ciszy! Jeśli tak dalej pójdzie, na antypody dotrzemy w czasie, gdy panuje tam zima, co nie uśmiecha się ani mnie, ani marynarzom — ci bowiem aż za wiele nasłuchali się, jak straszny jest wtedy Ocean Południowy! Summers złożył mi wizytę, gdy tylko poczułem się lepiej na tyle, by przeklinać, i z bolesnym uśmiechem powiadomił mnie, że kapitan Anderson nie zgodził się na zmianę kursu w kierunku La Platy, ale nie odrzuca teraz możliwości zawinięcia na Przylądek Dobrej Nadziei, gdy będziemy w pobliżu.

— A więc grozi nam jaiies niebezpieczeństwo<sup>5</sup>

Przez chwilę nie odpowiadał,

— Niewielkie Takie jak zawsze Tylko błagam cię, nie...

— ...siej paniki wśród pasażerów

Zaśmiał się.

— A więc już ci lepiej

— Gdyby tylko udało mi się znaleźć jakiś ę wiążek między językiem a tym, 00 dzieie wę wewnątrz mej czaszki... Czy wierzysz, Chartesie, że przemawiam do ciebie jakby z zewnątrz?

— To wstrząśnienie mózgu. Wkrótce poczuj«\*\* się lepiej. Proszę cię tylko o jedno: mc sil się na więcej równie heroiczych i pełnych poświęcenia czynów.

— Kpisz sobie ze mnie

— Tak czy inaczej, pamiętaj, ic twoja głów» me wytrzyma więcej guzów Nie mówię już o kręgosłupie...

— Rzeczywiście mam teraz ból głowy na każde zawołanie, czy, jeśli wolisz, na każde Kuknięcie.

Wystarczy, bym poruszył szyją, i och, do diabła!

Poszedł, ja zaś zabrałem się do opisu naszej przygody. Otóż siedziałem nad blankiem, obracając w palcach pióro, gdy nagle poczułem gwałtowny przechył. Ponieważ od wielu dni statek płynął zygzakiem, czyli halsował, lawirował, czy jak tam się mówi po marynarsku, w pierwszej chwili nic zwróciłem na to uwagi. Ale potem moje siedzenie (które zdążyło już stać się samo w sobie doświadczone wilkiem morskim) poczuło, że ruch ten jest szybszy niż zazwyczaj. W dodatku manewrowi nie towarzyszyły zwykle w tych okolicznościach gwizdki bosmanów, rozkazy rzucane wachcie, tupot bosych stóp o pokład czy trzepot żagli. Za to rozległ się nagle prawdziwy grzmot płótna, który równie szybko ucichł, i w tej samej chwili mój „wilk morski”

powiadomił mnie, że pokład przechyla się coraz szybciej, coraz niebezpieczniej. Jestem teraz pisarzem, więc moim pierwszym odruchem było wsadzić pióro w oprawkę i zatkać korkiem kałamarz. Ledwo to uczyniłem, przechył rzucił mnie na koję... Teraz już hałasu było aż zanadto — krzyki, gwizdki, trzaski i uderzenia — i wrzask z sąsiedniej klatki, gdzie moja niegdysiejsza bogdanka, Zenobia, darła się unisono z rzekomą żoną pana Brocklebanka. Wspiąłem się po nachylonym pokładzie, z trudem otwarłem drzwi i jak pajak wypelzłem na oświetlone dziennym światłem śródookręcie.

Jak można przeczytać w każdej niemal książce podróźniczej, widok, jaki ujrzałem, zmroził mi krew w żyłach, włosy stanęły mi dęba... i tak dalej. Wszystko zmieniło się nie do poznania. To, co było przedtem w miarę poziomym pokładem, wznosiło się teraz ukośnie w górę niczym stromy dach, i szybko zbliżało się do pionu. Pojąłem w lot, z jasnością umysłu płynącą z własnej bezradności, że jesteśmy zgubieni. Statek kładł się na bok, wywracał się do góry dnem. Wszystkie żagle wydymały się w złą stronę, wszystkie niewłaściwe liny napięte były jak struny, wszystkie, które powinny być napięte — powiewały luźno niczym wydarte wichurą sznurki płacht, jakimi okrywa się na polach stogi siana. Parapety po zawietrznej niemal dotykały powierzchni morza. A potem — nie z góry, lecz już z boku — dał się słyszeć odgłos powolnego rozszczepiania, rozdzierania i łamania drewna. Gdzieś na dziobie wielkie bele, które wyglądają tak niepokaźnie i stanowią jakby przedłużenia masztów, a zwą się „stengami”, przechyliły się na bok i zawisły w prawdziwej pajęczej sieci lin i podartych żagli. Na parapecie po nawietrznej kilku ludzi walczyło teraz z linami, a inny rąbał coś siekierą u wejścia do forkaasztelu. Nade mną zobaczyłem widok tak dziwny, że wciąż jeszcze nie wierzę własnym oczom: koło sterowe statku zakręciło się z taką siłą, że dwaj trzymający je ludzie odpadli od niego jak krople dżdżu; ten, który stał dalej ode mnie przeleciał w powietrzu nad kołem i wylądował po drugiej stronie, ten bliższy runął jak rażony gromem na pokład. Obrotom koła sterowego towarzyszył przerażający łomot samego steru. Spostrzegłem, że kapitan Anderson własnoręcznie odczepia jakąś linę z kołkownicy i desperacko ciągnie za inną... Rzuciłem się w tamtą stronę i ciągnąłem wraz z nim. Uczułem, że lina poddaje się naszym połączonym siłom, ale — jak mi potem opowiedziano — ta, którą puścił kapitan, nie przestała wić się w powietrzu, gdyż nagle straszliwe uderzenie spadło na moją głowę i plecy. Nie chcę powtarzać tu tego wyświechtanego zwrotu: „I od tej chwili nic nie pamiętam”, ale niewątpliwie wszystko, co pamiętam, jest mgliste i niepewne. Zdaje się, że w jakiś sposób znalazłem się na pokładzie wraz z młodym panem Willisem. Jeśli nie liczyć piekielnego bólu w plecach i głośniego szumu w głowie, było mi niemal wygodnie — uczucie to zawdzięczałem oczywiście panu Willisowi, na którym spoczywałem. W innych okolicznościach nie chciałbym, by służył mi za posłanie, ale wtedy czułem autentyczny gniew z powodu prób, zresztą nieskutecznych, jakie chłopiec czynił, by wydostać się spode mnie. Potem ktoś pociągnął go do góry i nim się obejrzałem, miałem pod sobą już tylko pokład, który tymczasem powrócił do poziomego położenia. Otwarłem oczy i popatrzyłem w górę. Zobaczyłem białe chmury i błękitne niebo. I bezan- maszt, z żaglami nie zwiniętymi, lecz byle jak skotłowanymi wokół rej. Dalej, ku dziobowi statku, stała jeszcze część grotmasztu, z podobnie zrzuconymi żaglami, ale jego stenga zwisała w dół w płataninie



Jin, na którą marynarze mają wiele dosadnych określeń. Odłamała się również stenga fokmasztu, ta jednak nie wisiała na linach, lecz opadła na sam dół; zatrzymały ją dopiero parapety i kabestan dziobowy. Nie ruszałem się z miejsca, czekając na ustąpienie bólu, który czułem w licznych członkach. Słyszałem, ale jakby z daleka, że kapitan Anderson wydaje nie kończącą się litanię rozkazów. Nigdy równie mało go nie rozumiałem i nigdy nie czułem ku niemu większej sympatii. Jego głos pełen był spokoju i pewności siebie. A potem, choć to może niewiarygodne, kapitan przerwał na chwilę owe salwy rozkazów i rzekł mniej bezosobowym a swobodniejszym tonem: „I zająć mi się tu panem Talbotem”. Co za uznanie! Phillips pochylił się nade mną, ale ja nie zamierzałem dać się wyprzedzić w męstwie.

— Zostawcie mnie, człowieku. Na pewno są tu inni w znacznie gorszym stanie.

Ku mojej wielkiej wdzięczności nie zrobiło to na Phillipsie najmniejszego wrażenia. Zaraz wsunął pomiędzy moją głowę a pokład jakiś względnie miękki przedmiot. Ulżyło mi nieco. Pulsujący pod czołem szkarłat zbladł do różu.

— Co się stało, u diabła?

Chwila ciszy, a potem:

— Nie umiem powiedzieć, sir. Jak tylko się wyprostowało, zaraz zacząłem pana szukać.

Zgiąłem jedną nogę, potem drugą. Wydawało się, że są całe, podobnie jak ręce. Lina tylko obtarła mi nieco dłonie. A więc wyszedłem z tej katastrofy, jakakolwiek ona była, jedynie z obolałą głową.

— Zajmijcie się paniami, Phillips.

Zamiast odpowiedzi wsunął między moją głowę a pokład jeszcze coś miękkiego. Znowu otwarłem oczy. Zwisającą stengę opuszczano już w dół cal po calu. Wokół tego, co pozostało z takielunku statku, tłoczyli się marynarze. Uniosłem obolałą głowę akurat na czas, by zobaczyć, wciągając na pokład stengę fokmasztu i zdejmując ją z kabestanu Drzewce było pęknięte, a położone na dziobie wystawało nad śródokręcie na jeden albo i dwa jardy Nade mną, na bezanmaszcie, ;uz przedtem opuszczono gafel na bom Przypomniałem sobie wielkie żagle, które wydeły się nade mną, gdy statek oparł się memal parapetami o morze, ai zalała je piana

— Co się stało?

— Wszystko przez to, że na statku jest tyłu, za przeproszeniem, pieprzonych żołnierzy.

Nie miałem najmniejszej ochoty wykonywać jakichkolwiek ruchów, więc tylko uniosłem nieco wyżej głowę, by lepiej rozejrzeć się wokół W elckde poczułem rozdzierający ból, jakiego nie do\*wiader.'!<m jeszcze nigdy w życiu — jakby ktos przeszył mi głowę na wylot błyszczącym ostrzem. Zrezygnowałem i dał szych prób i leżałem bez ruchu Summer\* i kapitan rozmawiali w narzeczu marynarskim w sposób wielce ożywiony. Jeżeli tuleje nie są zbyt nadwerężone . jeżeli statek nie został zanadto nadwerężony Spróbowałem poruszyć oczyma tak, by »baczyć obu oficcrow i przekonałem się, że czynności te) me towarzyszy większy ból. Słyszałem też ich słowa Gdy kapitan zmagał się z gordingiem bezana, pan Talbot bardzo dzielnie pośpieszył mu na pomoc i został uderzony w głowę przez jeden z szotów. Pan Summers stwierdził, że właśnie tego się było można po mnie spodziewać, po czym poprosił o zezwolenie powrotu na posterunek, na co zezwolono mu natychmiast- Właśnie zamierzałem spróbować usiąść, gdy kapitan odezwał się znowu.

— Panie Willia.

Pan Willis stał przy porzuconym kole sterowym, które obracało się lekko to w jedną, to w drugą stronę. Właśnie zamierzałem zwrócić uwagę kapitana na to skandaliczne zaniedbanie, gdy dwóch marynarzy zatupało po drabince i chwyciło koło z obu stron.

— Panie Willis!

Pan Willis, jeden z aspirantów przyjętych na statek, ma bladą cerę. Albo uderzenie w głowę zaćmiło mi wzrok, albo Willis rzeczywiście był teraz jasnozielony.

— Ile razy mam zwracać się do pana, nim raczy pan odpowiedzieć?

Nieszczęsny młodzieniec zamknął usta i znów je otworzył. Zdaje się, że jednym kolaniem opierał się o drugie.

— Sir.

— To pan trzymał wachtę.

— Sir, pan, sir, on, pan...

— Wiem dobrze, co robił „pan”, panie Willis, ale to pan został na wachcie.

Z ust Willis'a wydobyło się tylko ledwo słyszalne cmoknięcie. Prawa ręka kapitana Andersona zatoczyła luk — dłoń uderzyła w twarz chłopca z głośnym kłaśnięciem! Ten jakby skoczył w górę, przeleciał bokiem i opadł na pokład.

— Proszę stać, kiedy do pana mówię! Widzisz, jak teraz wyglądają nasze stengi, ty przekłety, młody głupcze? Wstawaj! Masz pojęcie, ile płótna poszło w strzepy, ile lin przyda się teraz tylko na odbijacze? Na Boga, gdy tylko dostaniemy nowy top bezan- masztu, spędzisz tam resztę kontraktu!

— Sir, pan, pan...

— Sprowadź mi go tu, słyszysz, Willis? Ma stawić się przede mną, ale już!

Nie wiedziałem, że tyle wściekłości i gniewu wyrazić można jedną, krótką zgłoską. Ale kapitan Anderson wypowiedział ją swym osławionym rykiem, zaiste straszliwym; uznałem, że najlepiej leżeć bez ruchu na pokładzie, ciesząc się świeżo pozyskaną reputacją człowieka dzielnego. Nie otwierałem oczu i właśnie dzięki temu usłyszałem kolejną rozmowę, choć nie widziałem żadnej z uczestniczących w niej stron. Rozległy się najpierw czyjeś niepewne kroki, a potem dał się słyszeć głos Deverela, zarazem bełkotliwy i bez tchu:

— Niech mnie, co ten smarkacz nawyprawiał, niech go szlag!

Anderson odparł gniewnie, ale cicho, jakby nie chciał, by ktokolwiek usłyszał ich rozmowę:

— Panie Deverel, to była pańska wachta.

Deverel odpowiedział równie cicho:

— Młody Willis...

— Na Boga, głupcze, młody Willis!

— Nie będę...

— Owszem, wysłuchasz mnie pan do końca. Regulamin mówi jasno, że aspiranta nie wolno zostawić na wachcie samego.

Głos Deverela wzniósł się nagle do krzyku:

— Wszyscy to robią! W końcu jak ci smarkacze mają nauczyć się czegośkolwiek?

— A tymczasem oficer wachtowy może sobie odejść po cichutku i zalać się w trupa! Byłem na pokładzie jeszcze zanim żagle przestały się śmiać, a pana tam nie zastałem, na Boga! Pan się zataczasz, pan jesteś bezmyślnym...

— Nikt nie będzie się tak do mnie odzywał, ani pan, ani ktokolwiek inny! Już ja...

Anderson podniósł głos:

— Poruczniku Deverel, pańska nieobecność na pokładzie podczas pełnienia służby to karygodne zaniedbanie. Proszę uważać się za aresztowanego.

— Tak? A odpieprz się, Anderson, cholerny sukinsynu!

Nastąpiła chwila ciszy, w trakcie której nie śmiałem nawet odetchnąć. Potem znowu odezwał się chłodny głos Andersona.

— Poza tym, panie Deverel, zabraniam panu pić.

\*\_

Phillips oraz Hawkins, służący kapitana, zanieśli mnie na koję. Z delikatności starałem się jak najgorliwiej udawać zemdlonego. Myślałem o tym, że teraz odbędzie się sąd wojenny, a nie miałem najmniejszej ochoty na uczestniczenie w nim ani jako świadek, ani w jakimkolwiek innym charakterze. Pozwoliłem, by ocucono mnie za pomocą brandy, a potem, gdy Phillips odchodził, przytrzymałem go za rękaw.

— Phillips. Czy bardzo krwawię na plecach?

— Nic tam nie widziałem, proszę pana...

— Przelatujący szot uderzył mnie w głowę i ramiona. Straciłem przytomność. Bolał mnie wszystkie kości.

— E... — on na to, w najlepszym nastroju. — Dostał pan samym końcem liny. Tym, to u nas dostaje w plecy albo, za przeproszeniem, w dupę, taki, co się leni przy robocie. Do wesela się zagoi.

— Co się stało?

— Kiedy, proszę pana?

— No, człowieku, ten wypadek, połamane maszty... i moja głowa!

I Phillips opowiedział mi wszystko.

Leżałem na koi, ale oczyma wyobraźni widziałem całe to zdarzenie. Deverel umknął pod pokład na kieliszeczek czegoś mocniejszego, zostawiając statek pod opieką tego niezguły Willisa. Mój Boże, na samą myśl o tym znów rozboleła mnie głowa. Mój kraj, powiedziałem sobie w duchu, siłąc się na dobry humor, o mało nie poniósł dotkliwej straty — mogłem przecież utonąć! A więc gdy wachtę trzymał Willis, nastąpiła zmiana wiatru, jakieś zawirowanie fal po zawietrznej, przyszedł szkwał, woda zapieniła się, jakby ściskana dwiema coraz szybciej zbliżającymi się dłońmi... Dwaj marynarze przy sterze spoglądali to na kładący się maszt, to na kompas... Może też obejrzeliby się za Deverelem, a zobaczyli tylko Willisa z otwartą bezmyślnie gębą — szukali kogoś,

kto by nimi pokierował, ale nadaremno — pewnie obawiali się chłosty, jeżeli samowolnie obróciliby statek na szkwał — więc nie zrobili nic, bo Willis też nic nie zrobił. Szkwał uderzył w żagle od tyłu, te zaś, że były wybrane do końca, zatrzymały statek w miejscu, a potem pchnęły go w tył i do przechyłu; żagle wydeły się w złą stronę, nadburcia zanurzyły się w wodzie, ster pracował wstecz!

I gdy załoga starała się w pocie czoła naprawić szkody wyrządzone przez kilka sekund nieuwagi Deverela i Willisa, ja leżałem i czekałem, by z głowy ustąpił mi pulsujący ból, co wreszcie częściowo nastąpiło, ale dopiero, gdy udało mi się zasnąć.

Ale, choć to dziwne, gdy już położyłem się na koi, okazało się, że jestem do niej przykuty, i to nie na parę godzin, ale na całe noce i dnie. Od czasu do czasu Summers przynosił mi wieści o naszej sytuacji. Okrutny, nieubłagany wiatr pchał nas z powrotem w strefę ciszy: o ile bowiem pod pełnymi żaglami statek nasz powoli posuwał się pod wiatr, to teraz, okaleczony, był całkowicie bezradny. A nadzieje, by znów mieć taką powierzchnię żagli jak przedtem, rozwiały się. Summers powiedział, że nasze maszty są za niskie, a strata spowodowana przez zmniejszenie powierzchni żagli była znacznie większa niż zysk, jaki dało nam zeszkobanie zielska, opasującego statek na linii wodnej, którą to operację zdążył Charles tymczasem przeprowadzić. Uplłynęły kolejne trzy dni, kiedy łóżko opuszczałem tylko dla załatwienia najpilniejszych potrzeb. Ów Edmund, który wynurzył się wtedy na pokład, poruszał się bardzo chwiejnie. Natychmiast zorientowałem się, że powróciliśmy na upalne, bezwietrzne, mgliste pustkowie. Z miejsca, gdzie stałem, nie było widać nawet bukszprytu, a jeżeli dostrzegałem czubki masztów, to chyba tylko dlatego, że po naprawie są niższe niż przedtem.

Przygotowanie nowych, prowizorycznych steng, jak zapewnił mnie Summers, przekraczało możliwości statku, tak pod względem ilości drewna jak i siły mięśni. Byliśmy bezradni.

Za to czwartego dnia czułem się już prawie dobrze, a zresztą wkrótce nastąpiły zdarzenia, które kazały mi zapomnieć o bólu. Obudził mnie Phillips, choć odpędzałem go gniewnymi pomnikami nawet wtedy, gdy słyszałem, że nalewa już wodę do brezentowej miednicy. Powietrze było duszne i niemal tak mokre i gorące jak woda. Kiedy znalazłem się bliżej pod powierzchnią jawy, ze smutkiem wspominałem największą nawet chlapę i szarugę zimowych dni — deszcz, grad, śnieg, deszcz ze śniegiem — wszystko, byle nie ten zastój, ta dotkliwa monotonia! Krótko mówiąc szukałem właśnie powodu, dla którego miałbym w ogóle zwlec się z koi, gdy usłyszałem daleki okrzyk. Nie odróżniłem słów, ale okrzyk nie dobiegał z pokładu. Co więcej, po pierwszym nastąpił drugi, gdzieś nad moją głową, temu zaś odpowiedział jeszcze jeden, równie daleki jak pierwszy. Potem z mostka doleciał mnie basowy pomruk, który mógł pochodzić tylko od samego Andersona, srożącego się jak zwykle. Najwyraźniej w położeniu naszym zaszła jakaś zmiana, a jeśli zmiana to tylko na lepsze. Może wiatr! Z pewnym wysiłkiem wydobyłem się z koi i kiedy włożyłem już koszulę i pantalon, usłyszałem wielce niezwykajny hałas, czyniony przez pasażerów przepychających się ku wyjściu na pokład. Narzuciłem właśnie surdut, gdy Deverel, zaledwie zapukawszy, otworzył na oścież drzwi mojej komórki. Nie był to jednak ów sztywny, nieprzystępny człowiek, trawiony wewnętrznymi ogniami własnej hańby i żalu! Jego oczy lśniły, z twarzy i całej postaci tchnęło zadowoleniem i podnieceniem. Ku memu wielkiemu zdziwieniu zauważyłem, że w lewej dłoni dzierży szablę w pochwie.

- Talbot, stary druhu, na Boga, Talbot! Oto lekarstwo na wszystkie moje bolączki! Chodź!
  - Właśnie wybierałem się na pokład. Ale co się dzieje?
  - Jak to, człowieku, nie słyszałeś? Żagiel!
  - Do diabła! Miejmy nadzieję, że to nasi!
  - Gdzie twój duch, człowieku! Widzieli już banderę, jest biała jak chusteczka damy! To nieprzyjaciel, nie ma dwóch zdań!
  - Summers przysięgał, że Francuzi mają już dość...
  - E, tam. A czegoś ty się spodziewałeś, całej floty? Za to jeden okręt... Boney\* mógł wysłać za nami jeden szybki okręt... Zresztą, żabojad, przeklęty Jankes, Holender — wszystko jedno! Krwawa bitwa zmasuje wszystko, a twój przyjaciel John ma szczęście i do bitki, i do kobitki!
  - Może to rzeczywiście ułatwi ci zrobienie kariery, Deverel, i cieszę się razem z tobą, ale jeśli o mnie chodzi, to niech diabeł porwie wszystkich Francuzów!
- Deverel nie czekał już na moje ostatnie słowa, bynajmniej, przyznając, nie natchnione heroizmem. Ale ktoś, kto dopiero co powstał z łoża boleści, kto dopiero co zaleczył obolałą głowę — ktoś taki, by w podobnej sytuacji zgrywać bohatera, musiałby być prawdziwym Nelsonem. Mimo to zebrałem się w sobie i wyszedłem na pokład. Pasażerowie stali wszyscy razem, a raczej kulili się, u wejścia na rufę. Podobną grupę od strony dziobu tworzyli emigranci. Całkowita cisza panowała w naszym świecie, ograniczonym teraz przez mgłę zaledwie do kawałka statku. Na rufie zobaczyłem Summersa i Cumbershuma. &
- Kapitan Anderson, wychylony przez rcling na mostku, słuchał tego, co mówił doń Cumbershum, ten zaś, jak na swoje możliwości, przemawiał wcale cicho.
- To głupiec, sir, cóż on wie o podawaniu właściwego kursu! Posłałem na górę pana Taylora z poleceniem, by nic nie mówił, tylko wskazał kierunek, jeśli coś zobaczy.
  - Wydaje się, że nas nie zauważyli?
  - Tak, sir. A ponieważ nie mamy tych dwóch steng, jest szansa, że uda nam się uniknąć spotkania.
  - Uniknąć spotkania, panie Cumbershum? Kto mówi o „unikaniu”? Nie zamierzam unikać spotkania, szanowny panie. Jeżeli natkniemy się na nich, i okaże się, że to wróg, będziemy walczyć.
  - Oczywiście, sir.
  - Panie Summers. Mamy po sześć dział na każdej burcie. Czy da się obsadzić je ludźmi doświadczonymi?
  - Nie, sir. Nie wystarczy ich nawet na jedną burtę. Trzeba spuścić po jednej łodzi na dziób i na rufę, i przygotować drużyny na pokładzie do odparcia abordażu. Właśnie wyciągają już sieci. Ale co będzie z resztą... Pan Taylor daje znaki.
- Jego postać widać było u góry, w mgłę. Zwisiał z zupełnie nieopisanej płataniny lin na szczycie grotmasztu. Kapitan Anderson zerknął na kompas.
- Południowy wschód ku wschodowi, pół rumba na południe.
  - Z całym szacunkiem, sir, z tego miejsca zdaje się, że pan Taylor pokazuje wprost na południowy wschód ku wschodowi.
  - Łodzie na wodę, panie Summers. A potem obrócić statek. Może uda się nam zyskać na czasie, holując statek na północny zachód ku zachodowi.
  - Wątpliwe, sir.
  - Teraz wystarczy na nas dmuchnąć i wszystko stracone. Nie, panie Summers. Obrócić statek.
  - Tak jest, sir. Panie Deverel...

Rozkazy posypały się gęsto, jeden za drugim. Nie zrozumiałem z nich nawet dziesiątej części. Usłyszałem, że wskazano damom drogę na dolny pokład i zarządzono, by udały się tam, gdy tylko usłyszą takie polecenie. Damy sprawiały wrażenie zadziwiająco opanowanych; panna Granham, na przykład, potrafiłaby odeprzeć napastników samym tylko wyrazem twarzy. Pan Prettiman, jak na zaprzysięgłego republikanina, jeśli nie jakobina, miał minę bardzo urażoną i wojowniczą — może dlatego, że zupełnie nie wiedział, jaką ma przyjąć postawę. Gdyby nie to, że przygnębiała mnie i irytowała zarazem ewentualność nagłej przerwy w karierze Edmunda Talbota, czy wręcz nagłego jej końca, chętnie przepytałbym Prettimana na tę okoliczność. Ale nie było żadnych rozmów. Staliśmy przez chwilę, oniemiałi, a potem zgodnie powróciliśmy do salonu dla pasażerów, gdzie, jak zauważyłem z zainteresowaniem, wzrosło spożycie wina, tak przed, jak i w trakcie posiłku. Postanowiłem zapomnieć o własnej słabości i powracającym bólu, by podnieść towarzystwo na duchu; stwierdziłem więc, że ponieważ dwa statki na tak wielkim oceanie miałyby duże trudności, by odnaleźć się celowo, prawdopodobieństwo, aby to samo zdarzyło się przypadkiem, jest równe zero. Jeśli jednak tak się stanie, to cóż, trzeba będzie walczyć, więc wznoszę teraz toast za zwycięstwo! Trudno o smętniej szych i mniej bojowo nastawionych słuchaczy. Jediną reakcją na moją przemowę było to, że mały Pike rzucił sztućce na stół i wybuchnął płaczem.

— Moje dzieci, och, moje dzieci! Moja mała Arabella! Moja biedna Phoebe!

Jego żona położyła mu dłoń na ramieniu, by go pocieszyć. Odezwałem się do niego ostro, po męsku:

— No, Pike, nie upadaj na duchu, człowieku! Wszyscy tkwimy w tym po uszy i zachowamy się tak, że nikt nie będzie musiał wstydzić się za nas! A co do pańskich córek, możesz pan spać spokojnie — są o wiele za młode dla Francuzów!

Muszę przyznać, że ta ostatnia uwaga była może nieco niefortunna. Pani Pike zanosła się szlochem, a Zenobia i pani Brocklebank wrzasnęły jednym głosem. Panna Granham odłożyła nóż i widelec obok talerza i przygwoździła mnie do miejsca kamiennym spojrzeniem.

— Panie Talbot — rzekła — przeszedł pan sam siebie.

— Miałem tylko na myśli...

Ale przerwał mi Prettiman:

— Ja tam, proszę pana, nie wierzę w to wszystko, co teraz opowiadają o rzekomym okrucieństwie Francuzów. To naród równie cywilizowany jak my. Możemy spodziewać się podobnego, jeśli nie lepszego traktowania od tego, jakie zgotowalibyśmy im sami!

— Czy mamy tylko stać bezczynnie i pozwolić, by przeganiano nas z miejsca na miejsce niczym owce? Panie Bowles, pan, jeśli dobrze rozumiem, ma pewne doświadczenie w kwestiach prawnych.

— Jestem z zawodu sekretarzem radcy prawnego.

— Czy cywilom wolno uczestniczyć w walce?

— Zastanawiałem się już kiedyś nad tą sprawą. Wydaje mi się, że pasażerowie mogą pomagać w obsłudze działa okrętowego, co polega głównie na ciągnięciu sznura. Potem stwierdzilibyśmy, że zostaliśmy do tego zmuszeni. Ale gdyby wróg zobaczył nas na pokładzie z pistoletami i szablami w dłoniach, miałby pełne prawo poderznąć nam gardła.

— Dość spokojnie pan to mówisz — powiedziałem. — Można by rzec nawet, że jesteś pan bezduszny.

— Jest wyjście z tej sytuacji. I o tym pomyślałem. Pasażerowie zgłaszają się na ochotnika, składają przysięgę i zostają zapisani w rejestrze statku. Nie

wiem tylko, jak w takiej sytuacji przedstawiałaby się sprawa żołdu.

— W pańskie ręce, Bowles! Wskazał nam pan, gdzie leży nasz obowiązek.

Panna Granham raczyła obdarzyć mnie jasnym jak księżycowe światło uśmiechem Minerwy.

— Oto szlachetne postanowienie, panie Talbot. Sądzę, iż jestem wyrazicielką opinii wszystkich pań, że jesteśmy teraz znacznie spokojniejsze.

Wokół zgodzono się z nią, było też trochę śmiechu. Ale potem jej narzeczony, ten komiczny Prettiman, zawołał pełnym uczucia, podniesionym głosem; nie dziwnego, interesuje się przecież filozofią władzy:

— Nie, nie, nie! Z całym szacunkiem, panno Granham... Drogi panie, jakżeż może pan zgłaszać się na ochotnika, nim wiadomo, z jakim przyjdzie nam zmagać się wrogiem? A jeżeli ów statek to nie okrutny wysłannik tyrana, lecz taki, który zrzucił jarzmo i sam służy teraz ojczyźnie wolności? Jeżeli to statek Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej?

— A jakie to ma znaczenie? Z Ameryką też prowadzimy wojnę!

Przez chwilę znów wszyscy mówili jeden przez drugiego.

— Panie Bowles, zgłosi się pan na ochotnika?

— Pod pewnymi warunkami, proszę pana.

— Muszę wyznać, że perspektywa bitwy z okrętem jankeskim uśmiecha mi się znacznie mniej, niż walka z Francuzami. W końcu Jankesi to jakby nasi... — zresztą, do diabła! Ten przeklęty drań, Paul Jones, miał na swym statku więcej Anglików niż Amerykanów!

— A Holendrzy?

— A niechby i Holendrzy. Będziemy się bronić jak lwy. Pan, panie Bowles, zgodzi się przelewać krew na podstawie precyzyjnej umowy. Pan Prettiman pomoże nam przeciwko Francuzom, Holendrom czy piratom, czy nawet handlarzom niewolników, ale oszczędzi każdego Amerykanina, który okaże się na tyle nieostrożny, by stanąć na jego drodze.

Miałem nadzieję, że moją uwagę powita kolejny wybuch śmiechu, i tak też się stało, ale zaraz przerwał nam ktoś, po kim najmniej bym się tego spodziewał. Mały Pike zerwał się na równe nogi i zaczął po prostu wrzeszczeć na mnie, zupełnie jakby popadł w histerię.

— Jak pan może tak żartować? Liczy się przecież tylko jedno: ten statek, ukryty we mgle, ma działa i może do nas strzelać! W walce nie dam wyprzedzić się nikomu, ale nie będę walczył za mój kraj, bo przecież właśnie go opuszczam! Nie będę walczył za statek, za króla czy za kapitana. Będę walczył przeciwko wszystkim statkom i wszystkim państwom świata w obronie mojej... mojej rodziny...

Wybuchnął głośnym szlochem; aż za głośnym w ciszy, która zapadła po jego słowach. Panna Granham wyciągnęła ku niemu rękę, potem zaraz ją cofnęła. Jego żona przycisnęła mu swoją dłoń do policzka. Usiadł i uspokajał się, ale bardzo powoli. Miałem wrażenie, że większość obecnych uparcie wpatrywała się we własne talerze podczas tego jakże mało angielskiego wybuchu emocji. Pomyślałem, że najwyższy czas skończyć z naszymi wojowniczymi mrzonkami i całą tą histerią. Byłem wyczerpany, ale czułem się zobowiązany wytrwać na posterunku.

— Proszę państwa — odezwałem się. — Należy spokojnie rozważyć nasze położenie. Istnieje pewna możliwość, że jest tam jakiś statek, którego żagle widziano przez kilka krótkich sekund. Najprawdopodobniej jego załogi nic nie obchodzimy. Najprawdopodobniej tamci nawet nas nie zauważyli. W końcu nie mamy teraz steng. Jeżeli jednak nas dostrzegą — przecież na pierwszy rzut oka jesteśmy

okrętem liniowym Marynarki Królewskiej, machiną wojenną, która budzi największy respekt i grozę w naszych nowożytnych czasach. Proszę mi wierzyć, prawdopodobieństwo, że dojdzie do walki, jest nikłe. Jeżeli sam sprawiałem wrażenie, że cieszę się na myśl o ewentualnej bitwie, proszę o wybaczenie tych, na których spoczywa odpowiedzialność nie tylko za ich własne życie. Ale powtarzam: stawiam tysiąc przeciw jednemu, że już więcej nie zobaczymy tego statku.

— Obawiam się, że tak nie jest.

Zaskoczony uniosłem wzrok, przez co moją głowę znów przeszło ostrze bólu. W drzwiach stał Summers z kapeluszem w dłoni.

— Proszę państwa, obawiam się, że mimo chwalebnych wysiłków pana Talbota, by uspokoić wasze zrozumiałe zaniepokojenie, stało się niestety inaczej, ów drugi statek, skądkolwiek on jest, stracił wiatr podobnie jak my. W długotrwałej ciszy, czyli takiej, która trwa całe dnie i tygodnie, statki wzajemnie przyciągają się do siebie, jak to zawsze dzieje się z ciężkimi przedmiotami, gdy dzieli je tylko gładka i łatwo rozstępująca się ciecz. Jeżeli nie nadejdzie wiatr, zaczniemy zbliżać się do siebie, aż staniemy burta w burcie.

Milczenie, które teraz zapadło, było prawdziwie grobowe.

— Charles, trudno mi w to uwierzyć.

— Niestety, to prawda. Kapitan uznał, że łatwiej będzie państwu zachować się jak należy, jeżeli wyjaśni się wam bez ogródek nasze położenie. Jak państwu wiadomo, przez bardzo krótką chwilę obserwowaliśmy statek, z którego albo widziano nas, albo nie. Mogą to być Francuzi, wysłani, by nas przechwycić...

Tu wtrącił się Brocklebank:

— A skąd, u diabła, mieliby o nas wiedzieć? Summers zerknął ku mnie.

— Proszę mi wierzyć — powiedział. — Ich ministerstwo marynarki wie o nas tyle, co my sami!

— A więc to Francuzi — rzekł Bowles. — Boney musi planować podbój antypodów!

— Teraz jest na to zbyt zajęty w Rosji — odparłem. — A Jankesi, Charles?

— Wiemy jedno: barwy na pewno nie są brytyjskie.

— Co więc mamy zrobić? Obecni tu panowie postanowili pomóc wam, jak tylko się da.

Summers uśmiechnął się.

— Tego właśnie po panach oczekiwałem. Każdy dostanie właściwe zatrudnienie. Nasz działomistrz, pan Askew, przygotowuje właśnie śliczne fajerwerki, które, wystrzelone z tych kilku dział, jakie posiadamy, powinny sprawić wrażenie pełnej salwy burtowej, jeśli zobaczą nas w tej mgle. Miejmy nadzieję, że gdy raz na nich hukniemy, pójdą sobie do diabła, bo rzeczywiście wyglądamy dość okazale.

— A jeżeli mgła będzie za gęsta? W dodatku robi się ciemno!

— Skąd będą wiedzieć, że mają do czynienia z wrogiem? Najpierw zapalą światła sygnalizacyjne i poczekają na odpowiedź. Jeżeli to, co zaświecą, nie będzie zgadzać się z tajnym kodem, odpowiemy salwą burtową z wszystkich luf.

— A wtedy?

— Po pierwszej salwie nikt nie oskarży kapitana, że poddał statek bez walki.

— Niech to diabli!

— Spokojnie, Edmundzie. Jesteśmy statkiem marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości. Zrobimy, co w naszej mocy.

Posłał wszystkim uśmiech, założył kapelusz i odszedł. Mały Pike nie szlochał już, ale po prostu zawarczał na mnie przez stół:

— Aleś nas pan podniósł na duchu!



— Summers zrobił to lepiej ode mnie. Nie mam nawet szpady. A pan, panie Bowles?

— Ja? Ależ skąd, dobry Boże? Na pewno na statku powinno znajdować się dość broni. Może dadzą nam choćby po kordelasie.

— Panie Brocklebank, jest pan, za pozwoleniem, w pełnym stroju. Czy byłby pan tak dobry, by odprowadzić panie?

— Mam ochotę pozostać na pokładzie, proszę pana. Choć wiele już razy malowałem bitwy na morzu, nigdy dotąd nie dane mi było szkicować morskiej potyczki na żywo. Gdy kule zaczną świstać, zasiądę na mym rozkładanym stołeczku i wyszkolonym okiem będę obserwować wszystko, co okaże się tego warte. Często, na przykład, wypytywałem wojskowych — a termin ten rozciągam też na marynarkę wojenną — jak naprawdę wygląda nadlatująca kula armatnia. Okazuje się, że im jest bliżej patrzącego, tym wolniej zdaje się poruszać; trudno więc teraz o lepszy punkt obserwacyjny. Mam tylko nadzieję, że do spotkania dojdzie, zanim zapadną ciemności.

— A więc według pana najlepsze pojęcie o kuli armatniej wyrobi sobie ten, któremu ona urwie głowę?

— Cóż, raz kozie śmierć. Dojrzały owoc musi kiedyś spaść z drzewa — zresztą w moim przypadku powinno się powiedzieć: przejrzały. Czymże jest życie, proszę pana? Podróżą, a żaden z podróżnych — pomimo wszelkich zapewnień, że jest inaczej — nie wie, co się zdarzy, jeśli domyśla się pan, co mam na myśli...

Stało się oczywiście, że pan Brocklebank popada w swój zwykły stan zamroczenia alkoholowego. Wstałem więc i ukloniłem się wszystkim. Naszła mnie przedziwna myśl: rzeczywiście mogę zginąć! Uświadomiłem to sobie dopiero teraz, co może wydać

się dziwne każdemu, kto nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Czy raczej i byłem, i nie byłem tego świadom. Teraz jednak przekonanie to... bardzo mi ciążyło.

— Muszę prosić państwa o wybaczenie. Mam do napisania parę listów.

Należy przypisać zamętowi, jaki panował w moim umyśle, że zdobyłem się tylko na tak prostą wymówkę, gdy tymczasem moje nagłe odejście wymagało znacznie szerszego wyjaśnienia. Prawda była taka, że całe to podniecenie wywołane dostrzeżeniem obcego statku przyprawiło mnie o ból głowy, znacznie silniejszy niż ten, którego nabawiłem się od uderzenia owym piekielnym szotem. Uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, jakie zagraża mojej reputacji, z determinacją postanowiłem mu zapobiec za wszelką cenę. Jeżeli ten ostry ból głowy zacznie narastać, lub nawet jeśli nie zmniejszy się, nie będę mógł stawić czoła nieprzyjacielowi! Wystarczy wyobrazić sobie, jak płacząco tłumaczę się innym panom ochotnikom, że chętnie wziąłbym wraz z nimi udział w obronie statku, ale niestety mam migrenę i muszę dołączyć do pań znajdujących się na dolnym pokładzie! Kazałem Phillipsowi przynieść coś na ból głowy. Położywszy się na koi wziąłem do ręki lekarstwo i przekonałem się ze zdumieniem, że jest to znowu uśmierający środek pana płatnika; więc choć, na całe szczęście, powstrzymałem dłoń na czas, by nie wypić go jednym haustem, już pierwszy łyżek wystarczył, by ból głowy przeniósł się jakiejś sześć cali poza nią i, jak się zdaje, nieco w lewo. Lek obudził też we mnie pragnienie i sposobność do marzeń — już po kilku minutach układałem (ale w głowie i leżąc na koi) listy do matki, ojca, a nawet do młodszych braci, które, jak nadal sądzę, stanowiły przykłady wielce szlachetnej prozy. Jednak najbardziej naturalnym i równocześnie najbardziej zdradzieckim skutkiem leku okazało się to, że zasnąłem jak kłoda (a tymczasem wróg zbliżał się coraz bardziej we mgle)! Obudziłem się gwałtownie z nieprzyjemnego snu, w którym pojawienie się nieprzyjaciela i jego powolne, lecz nieustępliwe zbliżanie wydawało mi się sprawką nadprzyrodzonej mocy, jakże charakterystycznej dla obecnego stanu nieszczęsnego Col-leya. Nie tyle zszedłem, co wypadłem z koi, ból głowy zmniejszył się, lecz za to spotęgował się panujący w niej zamęt. Popędziłem ku wyjściu na pokład. W pierwszej chwili sądziłem, że mgła spowiła nas jeszcze gęstszym całunem, ale potem zrozumiałem, że to szybko nadchodzi tropikalna noc. Nasze panie skupiły się u wejścia na rufę, skąd, jak sądzę, mogły w każdej chwili skryć się na dolnym pokładzie, i spoglądały w stronę bakburty. Nad nimi, na rufie, Oldmeadow sam musztrował część swojego oddziałku. Na dziobie ćwiczone inne drużyny, a u wejścia do forkaasztelu zgromadziły się kobiety emigrantów. Wokół panowała głęboka cisza.

W stronę rufy, na czele grupki emigrantów, maszerował Deverel, a tupot jego butów to jedyny dźwięk, jaki rozlegał się na całym okręcie. Jack- -zawadiaka był w stanie wielkiego, choć tłumionego podniecenia. W lewej dłoni dalej trzymał szablę w pochwie. Cały aż drżał z zapału.

- Jak to, Edmundzie, myślałem, że przydzielono cię do dział!
- Niech to diabli, zasnąłem.

Zaśmiał się głośno.

— Stary żołnierz z ciebie! Brawo... Ale cała reszta jest już na dole. Powodzenia!

— Powodzenia!

— Ach, ja... Ja dałbym sobie teraz prawą rękę uciąć, żeby tylko doszło do krwawej rozprawy!

Ruszył dalej, głośno tupiąc po schodkach wiodących na rufę, ja zaś poszedłem w przeciwną stronę, na zatłoczony pokład działowy.

Natychmiast z przykrością spostrzegłem, że jestem za wysoki. Pokład działowy zbudowano chyba z myślą o karłach, może o górnikach, ja zaś nie mogłem tam nawet się wyprostować. Pozostało mi tylko czekać na wskazówki. Nie było tu wiele ciemniej niż na górnym pokładzie, bo pootwierano wszystkie furty działowe. Sześć naszych dział umieszczono już na stanowiskach, ale nie podciągnięto ich jeszcze do furt. Wokół nich stał cały tłum mężczyzn; twarzami zwracali się jednak do wnętrza statku, gdzie nasz działomistrz, pan Askew, przemawiał do nich chodząc tam i z powrotem po pokładzie. Za pas miał wetknięte dwa pistolety.

— A teraz proszę uważać — mówił — szczególnie ci, którzy nie widzieli jeszcze, jak to się robi. Widzieliście już, jak ładuje się i rychtuje działa. Kiedy trzeba je będzie znowu naładować, zostawcie to ludziom, którzy się na tym znają. Wy, panowie, i wy, emigranci, macie tylko chwytać za sznury, które wskaże wam działonowy, a kiedy powie: „Ciągaj!” — tu głos pana Askew podniósł się do ledwo tylko tłumionego ryku — macie ciągać, ale tak, żeby wypruć z siebie flaki. Tak, żeby je zobaczył, i tu, i tu, i tu, i tu, i tu, i tu, i tu. A za pierwszym razem, jak będziecie podciągać działa do fiirt, nie gadać, bo pan Summers przykazał nam siedzieć jak mysz pod miotłą, żeby żabojady nie wiedziały, że się zbliżamy. A więc — zniżył głos do szeptu — kiedy już po cichutku podciągniecie działa, pozbieracie te swoje flaki, poupychacie je na miejsce, staniecie i będziecie czekać. Kiedy otworzymy ogień, przekonacie się, że te wózki lecą w tył tak szybko, że nawet tego nie zobaczycie! Ja zawsze widzę je albo tam, albo tam, ale nigdy nie udało mi się ich zobaczyć w pół drogi, panowie, tak szybko to jeździ. Więc żeby mi żaden nie stał tuż za nimi, bo jak żabojady urządzą nam abordaż, pomyślał, że jesteście confiture. To po ichniemu znaczy marmolada, panowie, tak, marmolada.

Mały Pike podniósł w górę dwa palce, jak uczeń w szkole.

— A nieprzyjaciel nie będzie już wtedy do nas strzelał?

— A skąd ja mam to wiedzieć, proszę pana, i co nas to obchodzi? Jak zaczniemy strzelać, wszystko będzie wyglądać inaczej, ech, nawet pan nie wiesz, jak bardzo! Aż dziw, jak wszystko wygląda inaczej, kiedy już, jak to mówią, padnie pierwszy strzał. Więc wtedy macie wszyscy pełne pozwolenie od Jego Królewskiej Mości, niech Bóg ma go w swojej opiece, wrzeszczeć, ryczeć, przeklinać, robić w gacie i w ogóle co tylko dusza zapagnie, byle tylko było z tego wiele hałasu i pod warunkiem, że będziecie ciągać, kiedy wam każą, aż do wyprucia flaków.

— O Boże!

Pan Askew powrócił do bardziej konwersacyjnego tonu.

— Zresztą to tylko takie gadanie. Żabojadów wcale nie tak łatwo wystraszyć, jak się tu może panom zdaje. Dlatego musimy robić swoje, jak długo się da. Więc jak przyjdzie co do czego, a któryś ochotnik uznałby, że druga strona statku jest przyjemniejsza, że stamtąd nie tak blisko do nieprzyjaciela, to te dwie spluwy, co je mam za pasem, są naładowane jak trzeba. A teraz, moje zuchy, podciągajcie te działa!

Następne chwile wprawiły mnie w złość i w jeszcze większy zamęt. Człowiek, w którym domyśliłem się działonowego najbliższego działa, wskazał na koniec sznura leżącego na pokładzie z tyłu za Bowlesem, który stał jako ostatni z czwórki trzymających ów sznur ochotników. Ledwo zapałem się nogami w deski, działonowy ryknął jeszcze raz, ochotnicy podskoczyli i Bowles staranował mnie, aż zatoczyłem się dwa kroki w tył, a potem upadłem, znów uderzając głową o pokład z taką siłą\* że cały świat przysłoniła mi na moment plama jasnego światła. Gramoląc się na nogi słyszałem jakby z daleka dobiegający mnie głos pana Askew:

— Ależ panie Talbot, dokąd to się pan wybierasz? Gdyby coś takiego zdarzyło się panu w czasie walki, nie wiem, czy nie musiałbym poczęstować pana ołowiem!

Ból i poczucie, że wystawiam się na pośmiewisko, były nie do zniesienia. Zerwałem się na równe nogi — i natychmiast rąbnąłem się powtórnie i jeszcze bardziej boleśnie o spód górnego pokładu. Tym razem nie zobaczyłem już żadnych świateł, tylko straciłem przytomność. Ocknąłem się z okropnym samopoczuciem, słysząc śmiechy, które wielkim krzykiem uciszał pan Askew.

— Dość tego, dranie, dość tego! Dość, mówię! Biedny pan naprawdę mocno się stuknął, a nie wątpię, że na całym statku nie znajdzie się męźniejsze serce i twardsza głowa. Bóg jeden wie, jak oberwało się górnemu pokładowi. Połowę desek trzeba będzie poprzybijać na nowo. Dość, mówię! No, jak tam z panem? Z przykrością wyznaję, że w odpowiedzi zdobyłem się jedynie na stek wszystkich znanych mi przekleństw. Krew płynęła mi po twarzy. Wstałem. Działomistrz przytrzymał mnie za ramię.

— Ostrożnie, proszę pana. Pokład działowy to nie miejsce dla pana. Do licha, przecież pan, Billy Rogers i pan Oldmeadow to chyba trzej najwyżsi ludzie na statku. Bardziej przydasz się pan na pokładzie, bo jak żabojady zobaczą, jaki jesteś pan wściekły i zakrwawiony... Tylko ostrożnie z głową, zanim pan wyjdzie na pokład. O, tak! No, chłopcy, brawa dla tego kogucika, co idzie walczyć na rufę!

Nie miałem pojęcia, że wściekłość potrafi tak szybko uleczyć zawroty głowy i nudności. Wygramoliłem się po drabince na pokład. Pierwszy — poznałem go po głosie — zauważył mnie Deverel.

— Co, u diabła? Edmundzie, stary druhu, jesteś naszą pierwszą ofiarą!

— Jestem za wysoki na pokład działowy. Niech to wszyscy diabli! Gdzie panie?

— Już na dolnym pokładzie.

— Dzięki Bogu choć za to. Deverel, dajże mi jakąś broń... Byle jaką!

— A nie masz już dość? Tam, gdzie nie krwawisz, jesteś blady jak trup.

— Już mi lepiej. Daj mi jakąś broń, na miłość boską! Choćby tasak albo młot kowalski, wszystko jedno.

Przysięgam, że pierwszego Francuza, na którego się natknę, pokrajam w dzwonka i pożrę na surowo!

Deverel wybuchnął śmiechem, potem zaraz zamilkł. Drżał z podniecenia.

— Oto słowa godne prawdziwego Brytyjczyka! Pójdiesz ze mną na nich?

— Na kogo tylko zechcesz.

— Panie Summers, z łaski swojej, proszę o broń dla mojego najnowszego rekruta!

Ktoś podał mu kordelas. Deverel podrzucił go do góry, chwycił za ostrze i wyciągnął ku mnie rękojeść.

— Proszę bardzo, sir. Oto otwarta droga awansu dla prostego marynarza. Umiesz się tym posługiwać? W odpowiedzi wykonałem trzy cięcia i szermierczy salut. Odsalutował mi.

— Nieźle, Edmundzie, ale pamiętaj, nie uońś tak wysoko sztychu. A teraz chodźmy do naszych!

Ruszyłem za nim na rufę. W półmroku siedział tam na swym stołeczku pan Brocklebank, trzymając na kolanach zamknięty szkicownik. Głowę miał zwieszoną na piersi, czy może raczej nad górną częścią brzucha. Kapelusz nasunął na oczy. Nad nim, na mostku, kapitan przemawiał właśnie do Summersa z tłumioną wściekłością.

— I to ma być cisza, którą nakazałem, panie Summers? Czy ja, wydając ten rozkaz, darłem się na cały głos? Zarządzam ciszę, a w odpowiedzi słyszę prawdziwą burzę śmiechu, wywrzaskiwane rozkazy, pogaduszki... Co to ma być, statek, czy dom wariatów?

— Bardzo przepraszam, sir.

Stary burzymucha nieco złagodniał.

— W porządku. Proszę powrócić do swych obowiązków.

Summers włożył kapelusz i odszedł. Kapitan Anderson zbliżył się do relingu i spojrział na oświetloną busolę.

— Panie Summers, zniosło nas o pół rumba na północ.

Summers pobiegł na rufę i przemówił do marynarzy znajdujących się w łodzi, stojącej pod sterem.

— Williams, ster pół stopnia na sterburty, a żywo! Odwrócił się z powrotem. Oczy łzawiły mi okropnie. Nadal byłem jak ogłuszony i piekielnie bolała mnie głowa. Nie odstępująca mnie teraz ani na chwilę wściekłość sprawiła, że porzuciłem moje zwykłe wyrachowanie i pragnąłem tylko jednego: okazji, by fizycznie wyrzucić na kimś złość. Rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem, że część ludzi Oldmeadowa klęczy przy bakburcie z muszkietami gotowymi do strzału. Dostrzegłem też, że wzdłuż śródokręcia stoją ludzie z pikami, gotowi skłuć każdego, kto byłby na tyle głupi, by wdzierać się na nasze sieci. Cała bakburta czekała w pełnej gotowości bojowej. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, że może ten bezimienny statek, nieubłagane dryfujący ku nam, podpłyne do nas od strony całkowicie bezbronnej sterburty, kapitan Anderson zaś, jeżeli chce utrzymać pozory nieoddania statku bez walki, będzie musiał strzelać w powietrze.

Ale Deverel znów mówił, czy raczej — dlatego że znajdowaliśmy się tak blisko kapitana — szeptał mi do ucha:

— A teraz słuchaj, stary. Trzymaj się blisko mnie.

I zaraz skaczymy, rozumiesz? Tylko odczekaj, aż wystrzelą ludzie Oldmeadowa, bo inaczej nafaszerują cię ołowiem. I nie zapominaj o butach.

— O butach, Jack?

— Kop ich w jaja! To taki dobry sposób, jak każdy inny. Ale przy tym uważaj na swoje. A sztych trzymaj nisko! Zresztą, tak czy inaczej, wszystko potrwa tylko parę sekund. Nigdy nie walczy się dłużej — chyba tylko w książkach i w gazetach.

— Do diabła!

— Kto przeżyje pierwszą minutę, zostaje bohaterem.

— Do diabła!

Ledwie skończył mówić, odwrócił się i zapytał szeptem tłoczących się za nami marynarzy:

— Wszyscy gotowi?

Odpowiedział mu przyciszony pomruk, wraz z którym doleciała mnie tak silna woń rumu, że omal nie upadłem. Postanowiłem sobie raz na zawsze nie

stawić nigdy czoła najmniejszemu nawet niebezpieczeństwu bez wypełnionej po korek manierki.

Byłem o wiele za trzeźwy na tę eskapadę, a środek

uśmierający powoli przestawał działać.

— Jak myślisz, Jack, damy im radę?

Tchnął w moje ucho:

— Śmierć albo zwycięstwo.

Usłyszałem, że Summers melduje kapitanowi:

— Wszystko gotowe, sir.

— Doskonale, panie Summers.

— Czy mogę zasugerować, by ludziom na stanowiskach bojowych przekazać coś, co podniesie ich na duchu?

— Jak to, panie Summers, rum chyba dostali?

— Trafalgar, sir.

— No cóż, jeśli pan tak uważa, proszę przypomnieć im to zawołanie.

— Doskonale, sir.

— Jeszcze jedno, panie Summers.

— Tak jest?

— Proszę im przypomnieć, że może to być ich ostatnia okazja do zdobycia łupów w tej wojnie.

Pan Summers dotknął kapelusza. Przekazał słowa kapitana ludziom na mostku, zszedł po drabince i zniknął w mroku. Usłyszałem, że ten sam przyciszony pomruk toczy się wzdłuż śródookręcia ku dziobowi. Podlane rumem bohaterstwo! Myśl o tej kombinacji sprawiła, że nieco ochłonąłem i trzeźwiej pomyślałem o głupim położeniu, w którym się znalazłem. Wiedziałem, że ktoś tak nieodpowiedzialny i pełen brawury jak Deverel czuje się teraz niczym ryba w wodzie — poza tym kierowała nim na pewno nadzieja, że bohaterstwo w walce wybawi go z wszystkich kłopotów, w jakie popadł. Nawet kapitan Anderson nie będzie tak niewzruszony, by upierać się przy osądzeniu i ukaraniu młodego oficera, który doprowadzi straceńczy atak na wrogi okręt — ale cóż ja? To ja miałem tu najwięcej do stracenia!

A potem nagle wszelkie myśli wyparowały mi z głowy. Z nocnej ciemności dobiegł nas odgłos niby szeptu i zwielokrotnionego skrzypienia. Zaraz po tym nastąpiło kilka głuchych uderzeń.

Deverel mruknął mi do ucha:

— Wyciągają działa!

Znowu cisza — i na pewno już słyszalny plusk ciężkiego przedmiotu, sunącego bokiem po wodzie. Dwa ciała, dwa statki, my i oni... Deverel, gdy mówił, miał w głosie dziką niecierpliwość drapieżnej bestii, która wie, że ofiara jest już blisko! Ale ja... Nagle uświadomiłem sobie z całą jasnością, że stamtąd, z ciemności, spozierają ku mnie okrągłe wyloty luf! Nie mogłem złapać tchu. Wtem w oczy uderzył mnie oślepiający błysk, lecz nie ostrza, które trzymałem w dłoni, a stamtąd, z ciemności; za błyskiem zaś pognał, nie, wypełnił go, straszliwy huk działa, ryk, niby rozciągnięty w czasie, ale z ostrym jak igła szpicem pojedynczej chwili. Nie był to żaden pokojowy salut. Ryk odbił się echem tysiąca trąb od samego nieba, przyprawiając mnie o nowy, silniejszy jeszcze dreszcz podniecenia. Kordelas wypadł mi z dłoni i spadł chyba ze stukiem na pokład, ale nie słyszałem nic w huku krwi, tętniącej mi w skroniach. Szukałem po omacku rękojeści, ale prawa dłoń zdrętwiała mi tak, że nie mogłem otworzyć jej ani zacisnąć. Chwyliłem kordelas dopiero oburącz i z trudem dźwignąłem się na nogi.

Kapitan Anderson mówił jakby w kierunku nieba:

— Ej tam, na oku!

Z płataniny takielunku odpowiedział mu młody pan Willis.

— W porządku, sir. Chybili nas!

— To była wiwatówka, młody durniu!

— Aha, wiwatówka — zamruczał Deverel. — Chcą, zabojadą, żeby się im pokazać. Jeszcze sobie powalczymy, chłopcy! O, tam są!

Na moich oczach rozwiewał się zielony całun po wybuchu. Wytężyłem wzrok w stronę, gdzie pokazywał szablą Deverel. Jak góry, wylaniające się z mgły, albo — wprost nie staje mi porównań — jak coś, co najpierw niewidoczne i niewyraźne, wręcz wątpliwe, a potem nagle i nieodwołalnie objawia się w całej okazałości, ukazała się nam ciemna bryła olbrzymiego okrętu, zwrócona ku nam burtą. Dobry Boże, pomyślałem, i mimo wszelkich moich usiłowań kolana ugięły się pode mną — to okręt klasy V Orienty 120 dział!

Nagle gdzieś wysoko wśród jego masztów pojawiły się iskierki. Zaraz zapłonęły ogniem i zmieniły się w trzy oślepiające światła, dwa białe po bokach, czerwone w środku. Światła tańczyły, lśniły, dymiły, zrzucając w dół płonące iskry i krople, które biegły na spotkanie swym odbiciom w wodzie. Usłyszałem, że Willis krzyczy coś z góry, a potem też z góry, ale poza burtą, rozświetlił się w odpowiedzi blask światła, dwóch białych i jednego niebieskiego. Posypał się cały wodospad iskier, niczym płonący deszcz. Deverel gapił się to na jedno światła, to na drugie; usta miał rozdziawione, oczy wytrzeszczone, twarz w blasku posępną. Nagle bluznął stekiem wyzwisk i z całej siły wbił w reling ostrze szabli! Kapitan Anderson wołał coś przez tubę, ale nie wiem, co. Z drugiego statku ozwał się głos, głuchy głos, również przez tubę, zupełnie jakby mówiący unosił się wśród olśniewającego deszczu kropel, kapiących ze wszystkich światła.

— Fregata Jego Królewskiej Mości Alcyone, kapitan sir Henry Somerset, dwudziesty siódmy dzień od Plymouth.

Szabla Deverela wciąż tkwiła w relingu. Nie szczęśnik stał tuż obok z twarzą w dłoniach. Samotny głos z tuby ciągnął dalej:

— Nowiny dla kapitana i całej załogi. Wojna z Francją skończona. Boney pobity, abdykował. Ma zostać królem Elby. Niech żyje nasz dobry król, a także Jego Królewska Mość Ludwik francuski, osiemnasty tego imienia!

Ryk, jaki powitał te słowa, niemal dorównał siłą hukowi działa! Zobaczyłem, że kapitan Anderson odwraca się i kieruje tubę ku śródokręciu, ale miało to taki akurat efekt, jakby był niemy.

Nasz statek roił się teraz od ruchomych i, tak jest, płasających postaci. Tu i tam, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiały się jakieś błyski, choć światła sygnałowe pospadały już jedno po drugim do morza. Marynarze zawieszali latarnie wśród olinowania naszego statku. Ktoś ściągał zasłony z wielkich lamp nad sterem. Ich potężne, olejowe światło rozświetliło, po raz pierwszy od kiedy wstąpiłem na ten statek, jego rufę i mostek. Alcyone zbliżała się i, co dziwne, zbliżając się malała. Spostrzegłem teraz, że jest mniej więcej długości naszego statku, choć ma nieco większe zanurzenie. Summers stał na dziobie i widziałem, że usta otwierają mu się i zamykają, lecz nie słyszałem ani słowa. Jakiś podoficer, bosman czy tam kto, darł się jak stare prześcieradło, wykrzykując komendy o linach, odbij aczach i czym tam jeszcze, anonimowy głos zaś — może Billy Rogers? — rozpoczął wiwaty, aż gromkie „hip, hip, hura!” rozbrzmiewało bez końca to z naszego pokładu, to z Alcyone. Fregata podpłynęła tak blisko, że rozróżniałem na niej brody i łyse głowy, twarze czarne, brązowe i białe, oczy, otwarte usta, uśmiechy, a wszystkiego całe setki. Zaiste był to dom wariatów, mnie zaś światła, hałas i nowiny przyprawiły niemal o taki sam szal, jak innych!

Aż zrozumiałem, że to wcale nie przerośnięta, że naprawdę oszalałem. Bo oto, nim jeszcze zamocowano na dobre trap między jednym statkiem a drugim, z jednego parapetu na drugi przelazi zręcznie jakiś człowiek. Toż to chyba, toż to na pewno złudzenie! Był to bowiem Wheeler, mój przebiegły służący, który wypadł za burtę i utonął wiele dni temu... Wheeler, który wiedział tak wiele! On to był we własnej osobie, z niegdyś bladą twarzą, teraz spaloną nadmiarem słońca i soli, z dwoma kłakami siwych włosów, sterczącymi po obu stronach łysiny. Oto rozmawia teraz z Summersem, i oto odwraca się i idzie ku mostkowi, w moim kierunku.

— Wheeler! Do wszystkich diabłów, przecież ty utonąłeś!

Zadrzał jak osika. Nic jednak nie powiedział, tylko wpatrywał się w kordelas, który dzierżyłem w prawej dłoni.

— Utonąłeś! Co, u diabła?

— Niech pan pozwoli...

Wyjął mi z dłoni kordelas, lekko skłoniwszy głowę.

— Ależ Wheeler! Przecież to...

Znów szarpnął nim dreszcz.

— Za uparte we mnie życie, proszę pana. Jest pan ranny. Przyniosę panu wody do kajuty.

Nagle poczułem, że moje nogi tkwią w tym samym miejscu i pozycji przez całe wieki, jakby wrosły w pokład. Na dłoni pojawił się odcisk rękojeści. Poczułem, że w głowie miesza mi się od bólu. Nagle uświadomiłem sobie, jakie widowisko robię z siebie



przed tyłu nieznajomymi i pośpieszyłem oporządzić się choć trochę. Zajrzawszy do lusterka zobaczyłem, że istotnie całą twarz i włosy mam we krwi. Wheeler pojawił się znowu, niosąc wodę.

—Wheeler! Ty jesteś duchem. Przecież ty utonąłeś!

Wheeler odwrócił się od miednicy, do której wlewał z wiadra zimną wodę. Jego spojrzenie dotarło do mojej szyi, ale tu się zatrzymało.

—Tak, proszę pana. Ale dopiero po trzech dniach. Tak przynajmniej mi się wydaje, że po trzech. Ale oczywiście ma pan zupełną rację: utonąłem.

Włosy stanęły mi na głowie. Jego oczy podniosły się teraz i napotkały mój wzrok. Patrzyły na mnie, nie mrugając ani razu.

— Utonąłem, proszę pana. Utonąłem — a takie mam uparte życie!

Doprawdy, dziwnie było mi i niepokojąco słuchać tego, co mówił. Musiałem jakoś go uspokoić.

— No, Wheeler, szczęściarz z ciebie. Wyłowili cię z wody i wszystko skończyło się dobrze. Powiedz Batesowi, że nie będzie mi już potrzebny.

Wheeler zatrzymał się, otworzył usta i przez chwilę miałem wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale potem zamknął je, skłonił lekko głową i wyszedł. Rozebrałem się do koszuli i zmyłem z twarzy i rąk tyle krwi, ile mogłem. Skończywszy opadłem wycieńczony na krzesło. Zaczynało być dla mnie oczywiste, że te dziwne wydarzenia zastały mnie w stanie nadszarpniętego zdrowia, w którym wszystko widzi się niczym we śnie. Usiłowałem uświadomić sobie znaczenie tych nowin — ale na próżno. W całym moim życiu, nie licząc krótkiego i fałszywego pokoju roku 1808, znałem tylko wojny. Teraz wojna się skończyła, a ja nie potrafiłem wypełnić powstałej pustki niczym, co by miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Usiłowałem myśleć o Ludwiku XVIII na tronie Francji, ale nie potrafiłem. Usiłowałem myśleć o całej chwale ancien régime'u — który teraz powinno nazywać się régime modemel — i przekonałem się, że nie wierzę, by mogła ona kiedykolwiek powrócić; nie pozwalał mi na to zdrowy rozsądek, jakaś świadomość polityczna! Kataklizmy dziejowe zbyt zmieniły oblicze świata — stan Francji, ruina jej największych domów, całe pokolenie wystawione najpierw na pokusę nierealnej wolności i równości, potem zaś na udręki tyranii, biedy i upływ zaciąganej do wojska krwi — chcąc nie chcąc doszedłem do wniosku, że smutny to świat, który marynarze nasi witają z tak wielkim hałasem. Moja własna głowa wciąż rozbrzmiewała innymi dźwiękami; a choć nikt nie potrafiłby zasnąć w takiej chwili, nie byłem pewny, czy starczy mi sił na mękę świętowania! Po raz wtóry próbowałem uświadomić sobie to, co się stało — historyczny moment, jedno z największych wydarzeń w dziejach świata, przełom i tak dalej — ale na próżno. Moja głowa stała się areną przemieszanych myśli i obrazów. Bateria armat, taka jak ta, przy której garbiłem się na pokładzie działowym, wydała mi się teraz symbolem milionów ton starego żelastwa, walającego się po kątach cywilizowanego świata — teraz nikomu już niepotrzebnego: rdzewiejące armaty, które nadadzą się najwyżej na od- bijacze, muszkiety i kule muszkietowe sprzedawane jako kurioza, szable, mój wspaniały kordelas. Spis żelastwa i ołowiu, jaki powstawał w mojej głowie, zdawał się nie mieć końca. A jeszcze te świeżo wybudowane okręty, których teraz nikt już nie zwoduje!

Muszę wyznać, że ogarnęła mnie wielce dziwna jak na taką okoliczność obawa. Na chwilę poczucie rzeczywistości dotarło wreszcie do mej zmałowanej świadomości. Nie był to pospolity, zwykły strach,

W taki, jaki przygwoździł mnie do desek pokładu, gdy usłyszałem pierwszy wystrzał — jak mi się zdawało — sygnał do boju między dwoma statkami, ale strach powszechny, jakby strach na myśl o pokoju! Oto ludy Europy i naszego kraju zostały zwolnione z prostego a zrozumiałego obowiązku walki za króla i ojczyznę, co stanowi kolejne rozszerzenie owych swobód, które i bez tego zamieniły w chaos uporządkowane dotąd życie społeczne. Powtarzałem sobie, że jako członek „klasy politycznej” powinienem cieszyć się takim rozwojem sytuacji, gdyż o wszystkim przestanie rozstrzygać śmiertelny miecz. Teraz kolej na polityków, nasza kolej, moja kolej! Ale świadomość tego zagościła w moim umyśle tylko na chwilę, po czym znów ogarnął mnie zamęt. Nie kryję, że uroniłem kilka łez.

Z korytarza dobiegł mnie śmiech i pogwarki naszych dam, przechodzących obok moich drzwi w dradze na pokład. Usłyszałem nawet, że panna Granham wykrzykuje: „A spódnicy nie da się już ani zaprać, ani zreperować!” Czas był najwyższy, bym i ja pokazał się na zewnątrz. Wkroczyłem na śródokręcie, pełne teraz światła i ludzi, ogarniętych nie tyle szalem radości, co gorączkową krzątaniną. Oba statki powiązano już linami. Alcyone była niższa niż statek — różnica ta wynosiła niepełną wysokość jednego pokładu. Teraz powierzchnia naszego małego świata rozszerzyła się — a ilu nowych ludzi! Dobry Boże, sam cesarz Chin nie rządzi bardziej tłumnym i różnorodnym krajem! Ale oba „domy na falach” rozdzielały swe załogi o kilka stóp. Nasi oficerowie byli wyraźnie niezadowoleni ze swych podwładnych, a podoficerowie, co zobaczyłem po raz pierwszy, puścili w ruch baty, i to nie na żarty. Oczywiście, wszystkiemu zawiniła perspektywa rozluźnienia dyscypliny codziennej służby, którą uświadomiono sobie po kilku chwilach całkowitego rozprężenia! Przypomniałem sobie — dość samolubnie, wyznaję — że można teraz powiesić broń na kołku i znów kierować się zdrowym rozsądkiem. Wspiąłem się na rufę, a potem na mostek. Kapitan Anderson stał z kapeluszem w dłoni przy relingu na bakburcie. Sir Henry Somerset, dżentelmen w pełnym umundurowaniu i o nieco nalanej twarzy, uczepił się want bezana Alcyone, dzięki czemu dwaj kapitanowie znajdowali się na tej samej wysokości. Po jednej stopie trzymał na każdej z dwóch wręg, siedział na trzeciej, czwartą dzierżył w prawej dłoni, w lewej zaś kapelusz. Mówił:

— ...do Indii, z pilnym rozkazem zaprzestania walk. Może zdążę na czas, by nie dopuścić do niezłej siekaniny! Niech to diabli porwą, jeśli mi się uda, proszę pana, stanę się najmniej lubianym człowiekiem na wschód od Suez!

— A co słyhać w Marynarce, sir?

— Och, mój Boże, nie ma dnia, by nie kazano rozpuścić kilkunastu załóg. Ulice pełne są marynarzy, którzy nie mogą doczekać się żołdu i zebrań. Nie miałem pojęcia, że mieliśmy na statkach tylu szubrawców! Tak to już zawsze się dzieje, kiedy trafi się pokój, niech go szlag. Chwała Bogu choć za to, że nieźle wyszliśmy na tym, który zawarto! Ale kim jest ten dżentelmen?

Kapitan Anderson — trzymał dłoń tuż obok miejsca, w którym szabla Deverela niemal rozcięła reling na pół — przedstawił mnie. Wspomniał mego ojca chrzestnego, mego brata oraz oczekujące mnie stanowisko. Sir Henry był wielce łaskawy. Wyraził nadzieję, że zdążymy poznać się lepiej i że będzie mu dane przedstawić mnie lady Somerset. Kapitan Anderson przerwał tę wymianę uprzejmości pomijając, jak zwykle, wszelkie formy *savoir-vivre*'u. Również, jak powiedział, cieszy się na spotkanie z sir Henrym i jego małżonką, ale teraz załozde, przynaj-

mnie; je go załodze, należy się porządna nauczka.  
Tymczasem...

Sir Henry przytaknął, opuścił się po wantach z niedbałą zręcznością starego żeglarza i zwrócił się do jednego ze swych oficerów.

Kapitan Anderson ryknął:

— Panie Summers!

Biedny Summers rzucił się biegiem ku rufie niczym prosty aspirant. W blasku światła obu statków widziałem, że jego zazwyczaj spokojna twarz jest teraz czerwona i mokra od potu, a tak bardzo śpieszył się do kapitana, że po drodze rozepchnął kilku marynarzy. Uznałem, że nie licuje to z jego zwykłą godnością.

— Panie Summers, załoga samowolnie opuszcza statek!

— Wiem o tym, sir, i staram się jak mogę.

— Ale chyba nie dość! Widzi pan to? A to? Do diabła, człowieku, przecież okradną nas do ostatniej nitki!

— Ciesz się, sir...

— Ciesz się?! To przecież zwykła kradzież! Może pan ogłosić, że ostatni, który zejdzie z Alcyone, otrzyma dwanaście batów, i obiecać to samo w imieniu sir Henry'ego!

Summers zasalutował i pobiegł z powrotem. Anderson rzucił mi złowieszczy grymas, po czym zaczął maszerować tam i z powrotem po mostku, z rękami założonymi do tyłu, obracając to w jedną, to w drugą stronę swą kwaśną twarz. W pewnej chwili zatrzymał się przy przednim relingu i ryknął jeszcze raz. Summers odpowiedział mu z forkaszką, ale przez tubę.

— Sir, pan Askew złożył już w zbrojowni proch i lonty, a teraz odstawia tam kule.

Kapitan skinął głową i kontynuował swój marsz, który dziś nabrał niespotykane szybkiego tempa.

Ignorował mnie, więc uznałem, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Gdy znalazłem się na śródokręciu, zrozumiałem do pewnego stopnia niepokój naszego ponurego kapitana. Członkowie załogi mieli podejrzenie dobrego nastrój. Było oczywiste, że niektórzy z nich, bez wiedzy i zgody swych oficerów, znaleźli się w posiadaniu mocnych trunków. Praktyczne zastosowanie praw Nelsona — jeśli to o to chodziło, bo o cóżby innego? — przy nie planowanym połączeniu dwóch statków, sprawiało naszemu Gorsetowi (to moje prywatne określenie kierującej się sztywnymi zasadami Marynarki) kłopoty nie przewidziane w regulaminach. Oto bowiem sam byłem świadkiem, że z jednego statku na drugi przeleciała butelka i zniknęła w grupce marynarzy zamocowujących trap, czy raczej schodnię, pomiędzy dwiema jednostkami, a choć śledziłem jej losy na tyle, na ile pozwalał mi szum w głowie, nie zauważyłem, w jaki sposób udało się im jej pozbyć; zniknęła bez śladu i tak tajemniczo, jak karty w dłoniach magika. Nie mogłem oprzeć się myśli, że schodnia ułatwi jeszcze nielegalne przenikanie się obu załóg. Panował nadał kompletny zamęt, a teraz kontakty i złodziejstwo stały się jeszcze łatwiejsze. Dosłownie nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Mimo szumu w głowie i obolałych kończyn nie mogłem znieść myśli o koi. Miałbym spać, gdy ta pusta przestrzeń w gorącej mgłę tropików jaśnieje i rozbrzmiewa gwarem niczym wiejski festyn? Pamiętam, że wciąż jeszcze lekko oszołomiony, czułem, że muszę coś z r o b i ć, ale nie wiedziałem co. Pomyślałem, by napić się czegoś i wszedłem w korytarz przylegający do mojej komórki, ale omal się nie wywróciłem, pchnięty przez wybiegającego na pokład młodziana. Pędzili za nim Phillips, Wheeler i jeszcze ktoś, ale na mój widok zatrzymali się nagle. Miałem wrażenie, że od Phillipsa dobiega lekka woń, i to nie rumu, lecz brandy. Zwrócił się do mnie bez tchu:

— Ten drań był z Alcyone, proszę pana. Niech pan lepiej dobrze wszystko pozamyka.

Skinąłem mu głową i natychmiast udałem się do salonu dla pasażerów. Tutaj spotkałem małego Pike'a, który zdążył już wysuszyć wszystkie łzy, a teraz wypinał pierś niczym napuszony gołąb. Natychmiast uznał, że wyleczyłem się już z mych obrażeń, choć twierdził, iż nie mam zbyt tęgiej miny. Nie pozwolił mi jednak odpowiedzieć. Dotąd, w obecności innych mężczyzn, był zazwyczaj nieśmiały, ale teraz nie dał mi nawet dojść do głosu.

— Tylko pomyśleć, proszę pana, że służyłem przy działach! A potem trzymałem linę, gdy wyciągano kulę!

— Moje gratulacje.

— Oczywiście to nic takiego, a jednak... Pan Askew powiedział, zanim nas zwolnił, że po paru dniach ćwiczeń zrobiłby z nas świetnych artylerystów!

— Naprawdę?

— I że dalibyśmy radę wszystkim żabojadom na świecie, nie mówiąc już o przeklętych Jankesach!

— Musiało panu być przyjemnie. Tak, Bates, brandy. Bates, porozumcie się z Wheelerem co do pozostawienia w mojej kabinie butelki brandy ze szklanką.

— Doskonale, sir.

— I szklaneczkę brandy dla pana Pike'a.

— Ależ nie, proszę pana, nie mogę. Nie jestem przyzwyczajony do brandy, proszę pana. Piecze mnie w usta. Wolałbym piwo.

— Słyszeliście, Bates? To wszystko.

— Tak jest, sir.

— Tak mi było pana żal, proszę pana. Co prawda, kiedy uderzył się pan w głowę o sufit — to znaczy o pokładnik, tak to się chyba nazywa — nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, takie mi się to wydało komiczne, chociaż na pewno musiało pana bardzo zboleć.

— I nadal boli.

— Ale znajdowaliśmy się wtedy, jak to powiedzieć, w stanie takiego napięcia, że wystarczyło byle co, by nas rozśmieszyć, zupełnie jak dawniej, w biurze, kiedy tak trudno było nam nie śmiać się z Wilkinsa... A jak pan Askew powiedział, że pana nakarmi ołowiem, to...

— Pamiętam doskonale, proszę pana.

— Niechże pan mówi mi Dick, co? W biurze nazywali mnie Dicky albo nawet Dickuś...

— Drogi panie!

— Słucham?

— Pragnę zapomnieć o całym tym niefortunnym zdarzeniu, więc będę zobowiązany...

— Ależ oczywiście, proszę pana, jak pan sobie życzy. Tak naprawdę pan Askew wyśmiewał się po trochu z każdego z nas. Raz stałem przy działach i miałem chyba rozdziawioną gębę, chociaż tego nie zauważyłem, a pan Askew zapytał: „Połknąłś pan szpunt?” Jak się wszyscy śmiali! Wie pan, szpunt to taka zatyczka na końcu...

— Tak, wiem. Piwo jest dla pana Pike'a, Bates.

— No to, proszę pana, śmierć żabojadom... Ojej, teraz nie wypada już tak mówić, prawda? A więc zdrowie króla Ludwika. Mój Boże, chyba się upiję.

— Ciągłe jest pan podekscytowany.

— No cóż, byłem i jestem. Cała sytuacja była i jest ekscytująca. Pozwoli pan, że postawię mu brandy.

— Nie teraz, może potem.

— I pomyśleć, że służyłem przy działach! Przy działach, jak to się mówi... na bakburcie, prawda?

— Bóg raczy wiedzieć, proszę pana. Jeśli dobrze pamiętam, działa znajdują się po lewej stronie, w połowie drogi na dziób, na przód statku.

— Panie Pike.

Była to panna Granham. Powstaliśmy.

— Małżonka pańska poprosiła mnie o przekazanie panu, że potrzebuje pomocy przy bliźniaczkach. Są okropnie podniecone.

— W tej chwili, proszę pani.

Pike pobiegł, niosąc swe podeksycytowanie tam, gdzie może wcale nie być mile widziane. O ile mogłem zauważyć, piwa nawet nie tknął.

— Proszę spocząć. Pani pozwoli... Ta poduszka...

— Spodziewałam się, że spotkam tu mego... pana Prettimana. Phillips miał go strzyc.

To zabawne, że słowo „narzeczony” nie przeszło jej przez gardło. Przyznam, że wydało mi się to całkiem ludzkie i zupełnie niespodziewane.

— W tej chwili go poszukam, proszę pani.

— Ależ nie, bardzo proszę. Niechże pan siądzie — nalegam — o właśnie! Wielkie nieba, pan rzeczywiście jest ranny! Nie wygląda pan najlepiej!

Zaśmiałem się i skrzywiłem z bólu.

— Moja czaszka składa się teraz w znacznej mierze z fragmentów pokładu.

— Ma pan skórę rozdartą do krwi.

— Ależ, droga pani...

— Sądzę, że na statku sir Henry’ego znajdzie się jakiś lekarz.

— Proszę pani, w walkach na pięści trafiały mi się gorsze rany. Proszę nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

— Z tego zdarzenia uczyniono coś komicznego, ale teraz, gdy widzę jego skutki, wyrzucam sobie, że mnie to śmieszyło.

— A więc oblałem się krwią, ale nie okryłem chwałą.

— Nieprawda! Przynajmniej jeśli chodzi o damy, nasze początkowe rozbawienie ustąpiło bez reszty wzruszeniu i podziwowi. Powiedziano nam bowiem, że odszedł pan od dział i natychmiast zgłosił na ochotnika do najniebezpieczniejszego przedsięwzięcia, jakie człowiek zdolny jest sobie wyobrazić.

Mówiła oczywiście o mym kordelasie — i o mych nogach, które tak mocno wrosły tam, gdzie się znalazły, gdy z mgły dobiegł nas huk wystrzału! Przez chwilę zastanawiałem się, jak zareagować na ten niespodziewany hołd, złożony mej odwadze. Być może to równie niespodziewane, nowe oblicze zawsze surowej panny Granham przekonało mnie, by wyznać prawdę.

— Prawdę mówiąc, było nieco inaczej — powiedziałem, znów się zaśmiawszy. — Albowiem, gdy teraz wspominam to wydarzenie, rozumiem, że gdy to komiczne indywidualium wylazło z trudem spod pokładu, było tak otumanione, że kto inny „zgłosił je na ochotnika”, zanim się opamiętało!

Panna Granham popatrzyła na mnie z sympatią! Ta dama, która, jak dotąd sądziłem, składała się wyłącznie z octu, siarki, soli i pieprzu, popatrzyła na mnie z sympatią!

— Rozumiem pana i w żadnym stopniu nie umniejsza to mojego podziwu. Jako dama muszę podziękować panu za chęć obrony.

— Na Boga! Panno Granham, ani słowa więcej. Każdy dżentelmen, każdy Anglik, każdy... Dobry Boże! Panie też na pewno przeszły ciężkie chwile tam, na dolnym pokładzie!

— Owszem, były to ciężkie chwile — powiedziała z prostotą — ale nie tyle z powodu strachu, co z odrazy.

Drzwi otwarły się szeroko i do salonu wpadła drobna pani Brocklebank.

— Letycjo, panie Talbot, nasze przedstawienie! Przyjęcie!

— Zupełnie zapomniałam.

— Jakie przedstawienie, proszę pani? I jakie przyjęcie?

— Jesteśmy kompletnie niegotowe — powiedziała

panna Granham, przybierając na nowo swą zwykłą, ponurą minę. — Nadejdzie wiatr...

— Och, to nic! Możemy improwizować, jak Włosi, możemy wystąpić jeszcze dziś wieczór...

— Już teraz jest wieczór.

— Więc jutro.

— Droga pani...

— A w tym wstrętym miejscu, tam, na dole, była pani łaskawa mówić mi po imieniu, jak prosiłam, i nawet trzymała mnie za rękę, panie Talbot, bo trudno wyobrazić sobie większego tchórza, niż ja, a jeszcze ten smród, i ciemność, i hałas, i... Byłam bliska omdlenia.

— Nadal więc będę nazywać cię po imieniu, jeśli chcesz — rzekła jakby z roztargnieniem panna Granham — choć nie mam pojęcia, jakie znaczenie...

— A więc ustalone. Ale najbardziej z tego wszystkiego ekscytujące jest... Nasi kapitanowie uzgodnili, że jeśli wiatr, nie powtórzę państwu, jakim epitetem obdarzył go sir Henry, ale jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zerwie się wiatr... Co pan o tym sądzi?

— Nie mam pojęcia, choć może obaj kapitanowie zgodzą się, byśmy wszyscy razem gwizdali na wiatr.

— Ależ proszę pana, no wie pan, pana wiecznie trzymają się żarty. Jest pan zupełnie taki, jak mój małżonek.

Moja twarz musiała zdradzać przez ułamek sekundy, co sędzę o takim porównaniu. Panna Granham uśmiechnęła się, a pani Brocklebank zaniemówiła nawet — na króciutką chwilę.

— To znaczy, jeśli chodzi o żarty, proszę pana. Przecież nie ma dnia, żeby mąż nie zrobił jakiegoś kawału, od którego wprost pękam ze śmiechu. Czasem to nawet martwię się, czy nie działam na nerwy innym pasażerom.

W głowie mi szumiało, coś się w niej otwierało i zamykało z powrotem. Głosy pań dobiegały teraz do mnie jakby z bardzo daleka.

— Mówiła pani, że ma dla nas jakieś wieści.

— Ach, tak! No, bo zgodzili się, że jeżeli jutro dalej nie będzie wiatru, możemy wydać bal! Tylko pomyślcie państwo! Oficerowie wystąpią w pełnej gali, zagra ta mała orkiestra z Alcyone... To będzie takie eleganckie!

Nie chciało mi się wierzyć.

— Kapitan Anderson zgodził się na bal? Toż to niemożliwe!

— Z początku wcale nie miał zamiaru się zgodzić, proszę pana, nawet myśleć o tym nie chciał! Ale potem lady Somerset porozmawiała z sir Henrym, ten zaś złożył wizytę kapitanowi — czyż to nie cudowne... och, wprost niebiańskie... I to jeszcze nie wszystko!

Nie wszystko? Czy może być coś cudowniejszego niż...

— To było takie niespodziewane. Podobno sir Henry, gdy już uzyskał zgodę kapitana, stwierdził, że na pewno po wplynięciu w tropiki wydano nam z ładowni kufry i omal się nie przewrócił, kiedy się okazało, że nie! Wygląda na to, że na wszystkich statkach, które przewożą pasażerów, przeznaczają się jeden dzień na przewietrzenie i wymianę i poukładanie i... zresztą ty wiesz, o co mi chodzi, Letycjo, nawet jeśli pan Talbot nie ma o tym pojęcia! Podobno kapitan Anderson celowo nie dopuścił do tej ceremonii, z czystej złości na to, że... Wiecie, jak to określił? Mówiła mi panna Chumley, która słyszała to od lady Somerset, jej zaś w najgłębszej tajemnicy zwierzył się sir Henry, że kapitan Anderson wyraził swą złość, chyba na to, iż kazano mu wieźć emigrantów; powiedział, że wiezie świnie! Tak czy inaczej o świcie wydadzą nam wszystkie kufry i pudła, a bal zacznie się o piątej, z nadejściem zmroku.

— Jeśli tylko pogoda się nie zmieni. A jeśli będzie

wiatr? Nie możemy przecież tańczyć i żeglować równocześnie!

— Lady Somerset powiada, że wiatru nie będzie — po prostu to czuje! To prawdziwa sensatka! Sir Henry twierdzi, iż jego „mała czarownica” już załatwi, że pogoda zachowa się przyzwoicie. To czarująca, rozkoszna para. Podobno niektórych z nas podejma obiadem lub kolacją.

Zapadło wymowne milczenie, którego przerwać nie miała ochoty ani panna Granham, ani ja. Wreszcie odezwała się znów pani Brocklebank.

— Lady Somerset ma fortepian, ale mówi, że niestety dawno już nie ćwiczyła. Namawia pannę Chumley, by to ona zagrała, bo robi to przecu- downie.

— Skąd pani to wszystko wie?

— I kto to jest panna Chumley? — dodała panna Granham.

— Panna Chumley jest sierotą, protegowaną lady Somerset, a przy tym cudownym dzieckiem.

— Wielki Boże — powiedziałem. — Czy rzeczywiście taka z niej skończona pianistka?

— Zabrali ją ze sobą do Indii, gdzie ma zamieszkać u dalekich krewnych, bo jedynym jej bogactwem jest ów talent.

Czy przytaczam tę rozmowę we właściwym miejscu? Nie pamiętam. Na pewno w którymś momencie przyłapałem się na myśli, że to wszystko absurd, że to niemożliwe — że coś złego dzieje się z moją głową. Jak w końcu udało mi się uciec? Pamiętam, iż panna Granham nalegała, bym postarał się odpocząć, ale ja minąłem drzwi mojej komórki i poszedłem na śródookręcie, skąd ruszyłem schodkami na mostek. Nie potrafię powiedzieć, jak długo stałem tam, wpatrując się w niewidzialny widnokrąg, próbując skupić myśli! Nigdy jeszcze nie zaznałem tak dziwnego stanu! Teraz wiem, że był on wynikiem pod niecenia, obawy i wielokrotnych uderzeń w głowę, które wciąż odzywały się w jej wnętrzu niczym bicie dzwonów. W pewnej chwili pojawił się przy mnie Wheeler. Nalegał, bym spróbował zasnąć, ale odprawiłem go szorstko. Z dołu dobiegł mnie stłumiony ryk i wkrótce potem przyszedł Bates, błagając, bym nie spacerował po mostku, bo tuż pode mną znajduje się koja kapitana, który właśnie się położył. Ruszyłem przed siebie niczym we śnie. Znów podszedł do mnie Wheeler.

— Proszę pana, wszyscy państwo już dawno się pokładli i smacznie śpią.

— Wiesz, Wheeler, co sądzę o pani Brocklebank?

— Podobno oberwał pan dziś w głowę, ale niech się pan nie boi, zostanę z panem.

— Czyż to sztylet, co w moje ciało się obraca?

— Chodźmy, proszę pana, czas spać. Zostanę...

— Ręce precz ode mnie, człowieku! Kto trzyma wachtę?

— Pan Cumbershum, proszę pana.

— A więc jesteśmy bezpieczni.

Co za stek bzdur! Wheelerowi musiało jednak udać się w końcu przekonać mnie lub zmusić, bym zszedł pod pokład. Zdziwiłem się, jak wszystko zmieniło się w korytarzu. Po pierwsze oświetlały go teraz dwie potężne lampy olejne! Przed kajutami wznosiły się stosy kufków, pudeł i toreb, również moje, wśród których zauważyłem pudło zawierające resztę mej podróźnej biblioteki. Wheeler posadził mnie na krześle i ściągnął mi buty.

— A właśnie, Wheeler, przypomniało mi się, że z ciebie okropny niezgrabiasz. Jak to się stało, że znalazłeś się za burtą?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Wheeler?

— Poślizgnąłem się, proszę pana. Smatka do polerowania mosiądzu wyleciała mi z dłoni i zaczęła

się o łańcuch kotwiczny. Musiałem wyleźć po nią za burtę i, jak mówię, poślizgnąłem się. Przy całym zamęcie, jaki panował w mej głowie, wiedziałem przecież, co naprawdę zaszło. Jego śmierć była niektórym po myśli. To on doniósł na Billy'ego Rogersa, więc musiał za to zapłacić. Jednak wciąż znajdowałem się w tak dziwnym stanie, że skinąłem tylko głową i pozwoliłem, by dalej krzątał się przy mnie.

— Wheel er, ty jesteś duchem.

— Nie jestem duchem, proszę pana.

— Idźże się przespać.

— Zostanę z panem, bo lepiej, żeby pan nie był sam. Zdrzemnę się tu, na pokładzie.

Krzyknąłem chyba na niego, bo wreszcie poszedł sobie, ja zaś opadłem na koję.

6

## WIELKI DZIEŃ

Bo rzeczywiście trudno znaleźć lepsze określenie. Dzień ów, od chwili, gdy wstałem, aż po jego szczególne zakończenie — jakże pragnąłbym zachować go w pamięci, z najdrobniejszymi szczegółami, do końca życia. Do tego brak mi niestety umiejętności. Słowa, słowa, słowa! Oddałbym je wszystkie, zgodziłbym się być niemy, za jedną chwilę... Zresztą nie. Co ja wypisuję!

Właśnie przed chwilą wspominałem ten długi, nie dokończony list Colleya. Wątpię, by sam miał świadomość swej zręczności w opisie i narracji, lecz właśnie ta jego naiwność, cierpienie i potrzeba znalezienia przyjaciela — choćby nawet miała nim być kartka papieru — dały jego piarstwu siłę, którą mogę tylko podziwiać, lecz nie potrafię naśladować.

W chwili, gdy piszę te słowa, wplótłszy własne nogi w nogi krzesła, pokład kołysze się to w jedną, to w drugą stronę — nawet w kajucie nie zdejmuję płaszcza.

Ale po kolei. Obudziłem się spocony w wilgotnym upale. Ubierałem się, a tymczasem hałas dochodzący z korytarza był taki, że nie dałby mi zmrużyć oka, nawet gdybym chciał zasnąć. Zresztą natura nie zwraca uwagi na takie drobnostki jak popękana głowa!



Ubrawszy się więc, ostrożnie przebyłem korytarz, kierując się ku miejscu odosobnienia na sterburcie — powrót przypominał zaś zwiedzanie bazaru! Szedłem teraz nie tylko między tobołami i pudłami, kufkami i torbami, lecz również między uwijającymi się wśród nich wszystkimi pasażerkami! Żaden targ Wschodu nie powstydzilby się różnorodności rozkładanych przez nie tkanin. Były tam też znajome mi panie: i Zenobia, i drobna pani Pike; spomiędzy istnej tęczy sukien wynurzyła się panna Granham i posłała mi olśniewający uśmiech! Z początku zamierzałem skorzystać z bólu głowy jako pretekstu, by wykręcić się od balu, ale ten uśmiech, wraz z figlarnie pochlebny spojrzeniem pani Brocklebank — wyznaję to szczerze — sprawiły, że zmieniłem zdanie. Kazałem Wheelerowi, by wyciągnął mój frak, spodnie po kolana, i lekki strój galowy, z materiału poleconego mi przez kogoś, kto odbył podróż po Indiach. Nim przebrałem się wreszcie w ten ostatni, również salon dla pasażerów zmienił się w zakład modystki. Panna Granham siedziała na tym samym miejscu co wczoraj, nie była może ładna, ale nieopisanie podekscytowana, zadowolona, przystojna! Miała na sobie suknię z granatowego jedwabiu oraz misternie upięty, nieco jaśniejszy szal, krzyżujący się na łonie. Całość sprawiała wrażenie aż nadto śmiałe jak na guwernantkę. Zresztą zaraz przypomniałem sobie, dobry Boże, że nie jest już żadną guwernantką, lecz narzeczoną człowieka, który, choć wyznaje odrażające poglądy polityczne, jest niezaprzeczalnie i zamożny, i dobrze urodzony. Krótko mówiąc, panna Granham ukazała nam się teraz niczym motyl wydobywający się z kokonu!

— Co za uroczy poranek, panno Granham; pani zaś jesteś równie promienna jak on.

— Piękne słowa naszego rycerskiego obrońcy.

Byłoby jeszcze piękniej, gdyby słońce pokazało się zza chmur.

— Za to złote są mgły.

— To już prawie poezja! A jak też ma się pańska głowa?

— Teraz wiem, co znaczy „silny jak dąb”. Moja czaszka musi być z dębiny.

— Pański strój jest doskonale dostosowany do klimatu.

— Ubrałem się tak wyłącznie dla wygody, ale wy, drogie panie, dokładacie wszelkich starań, by nas olśnić.

— Nie ma pan chyba zbyt dobrej opinii o naturze kobiecej. Tymczasem, co tu kryć, musimy być przygotowane na uroczystości trwające cały dzień. Czekają nas obiady w mesie kapitańskiej na Alcyone, bal na pokładzie naszego statku i przedstawienie w wykonaniu naszych marynarzy!

— Wielkie nieba!

— Wierzę, że będzie to z korzyścią dla wszystkich na tym, tym...

— Niezbyt szczęśliwym statku?

— To pańskie słowa, nie moje.

— Ale żeby bal...!

— Sąsiedzi mają orkiestrę.

— Ale przedstawienie w wykonaniu naszych marynarzy...!

— Mam nadzieję, że będzie wzniosłe, choć obawiam się, że wręcz przeciwnie.

— Ale bal... Panno Granham, czy mogę zarezerwować sobie u pani jeden taniec?

— Wielce mi to pochlebia, ale czy nie powinniśmy nieco zaczekać? Prawdę mówiąc, nie dowiedziałam się jeszcze, jak na takie zabawy zapatruje się pan Prettiman, więc do tego czasu...

— Oczywiście, proszę pani. Zamilknę zatem i tylko pozwolę sobie mieć nadzieję.

Drzwi otwarły się, by wpuścić do środka ładną panią Brocklebank, niosącą całe naręcza jakiegoś pieniacego się materiału. Już po sekundzie obie panie pograżyły się w dyskusji o sprawach tak tajemniczych, że wycofałem się, nie przeszkadzając im więcej. Jeżeli mowę naszych marynarzy nazwałem kiedyś „językiem brezentowych płaszczy”, to narzeczce, którym posługiwały się (równocześnie) obie damy, należałoby określić terminem „płynna kra- wiecyczna”. Potwierdziło to podejrzenia, których nabrałem, gdy Pike gadał o „bakburcie”. Zrozumiałem teraz, że moje próby wyrażania się językiem marynarzy są niczym innym niż nieudolną afektacją; z równym powodzeniem mógłbym rozprawić o la- mówkach, klinach i wstawkach! Niech reszta pasażerów męczy się z językiem marynarskim — ja obstaję przy mowie szczurów lądowych! Żegnam cię więc, Falconerze, ciebie i twój „Słownik morski”, i to bez krztyny żalu — owszem, z niejaką ulgą.

Wziąłem ze swej komórki kapelusz i wyszedłem na śródokręcie. Słońce blade przebijalo przez mgłę. Od linii widnokręgu nie dzieliła go jeszcze odległość większa niż jego własna średnica, ale przygotowania do wszystkich czekających nas wrażeń szły teraz pełnym wiatrem — to jest, były już mocno zaawansowane. Może zresztą wolno mi powiedzieć „pełnym wiatrem”, jako że zwrot ten upowszechnił się na tyle, iż stracił swe konkretne, żeglarskie znaczenie? Tak czy inaczej widok, który ukazał się moim oczom, koniecznie musi zostać opisany, choć nie sądzę, by kiedykolwiek zatarł się w mej pamięci. Na wysokości grotrei statek nasz obwieszony był tentami — zarówno prawdziwymi, jak i przystosowanymi do tego żaglami. Choć szybko wznoszące się słońce świeciło jeszcze pod nimi, w późniejszych godzinach miały rzucać na pokład przyjemny cień. Podobnie uczyniono na Alcyone, choć tam oczywiście zawieszono

żagle wyżej względem masztów. Dawało to efekt dwóch równoległych ulic — stanowiliśmy razem małe miasteczko, a przynajmniej wieś, wieś położoną w tej opustoszałej głuszy. Sprawiało to iście absurdalne wrażenie. Rozpasanie, niemal buntowniczość naszych marynarzy, jakie ogarnęły ich n.a wieść

O pokoju, zniknęły teraz bez śladu — pracowali bez szemrania i, jak się zdawało, całkiem dobrowolnie, najpewniej dzięki czekającej ich zabawie. Jak małe dzieci, wkroczyli w świat fantazji i sprawiali wrażenie, że czują się w nim dobrze. U tentów podwieszano wimple oraz inne, większe flagi — nawet kwiaty, choć nie te z kajuty kapitana, jak początkowo sądziłem, lecz przemyślnie sporządzone ze skrawków tkaniny. Z Alcyone dobiegały nawet odgłosy ćwiczącej orkiestry! Ale mimo tego wszystkiego trwały też nieprzerwanie czynności żeglarskie — dwóch ludzi stało przy naszym nieruchomym kole sterowym, dwóch innych przy kole Alcyone. Samotny nawigator spacerował po mostku z lunetą pod pachą; podobnie czynił inny aspirant na sąsiednim statku! Nic wątpię, że ponad tentami wre praca przy kikutach naszych okaleczonych masztów, że gdzieś z fok-, grot- lub bezanmasztu ktoś wpatruje się bez przerwy w horyzont, z którego słońce zaczynało już podnosić lekką mgiełkę. Wszystko to było tak niespodziewane

I małownicze, że zapomniałem o dzwonieniu w głowie i prawie doszedłem do siebie. Spostrzegłem teraz, że nasze dwie ulice oddzielają wielkie kawały drewna, które spuszcza się wzdłuż burty, gdy statek stoi w porcie, by nie uszkodził się o kamienne nabrzeże. Przecznicą łączącą te oceaniczne ulice był trap, stromy ale na tyle szeroki, by nawet panie mogły przejść po nim bez trudu. Od strony Alcyone na rogu tej przecznicy stało dwóch żołnierzy w czerwonych mundurach, po naszej stronie zaś strzegło skrzyżowania dwóch wyraźnie zde gustowanych ludzi

\*

Oldmeadowa, umundurowanych na zielono. Podszedłem do relingu i spojrzałem w dół, akurat na czas, by zauważyć zamykającą się furtę działową, a raczej ostatni cal tego zamykania! A więc i w taki sposób załogi obu statków porozumiewały się między sobą, czy chcieli tego ich oficerowie, czy nie — bo oczywiście zręcznym tym małpom z łatwością przychodziło przeskoczyć z masztu na maszt, z rei na reję, jak w gęstym lesie! Trudno o dyscyplinę, gdy dwa statki stoją obok siebie burta w burtę!

Po trapie wspiął się z Alcyone jeden z tamtejszych aspirantów, zasalutował, i zapytawszy mnie o godność wręczył mi biały, lekko perfumowany liścik. Rozwinąłem go.

Kapitan sir Henry Somerset z małżonką pragną, by Pan Edmund FitzHenry Talbot zaszczycił swą obecnością wydawany na pokładzie Alcyone obiady który, jeśli pozwolą na to pogoda i wiatr, odbędzie się o godzinie dwunastej. Strój spacerowy, wystarczy ustna odpowiedź.

— Oczywiście przyjmuję z rozkoszą.

Powróciłem do mojej komórki. Pamiętam doskonale, jak perswadowałem sobie, że to nie sen czy majaczenia wywołane uderzeniem w głowę. Mimo to myśl o tej niezwykle osadzie czy wiosce, wybudowanej o tysiąc mil od najbliższego lądu, a teraz spowitej wilgotną mgłą, która, unosząc się nad pokładami obu statków, zdawała się wkradać i do mego umysłu — myśl ta sprawiała, że wszystko, co dotąd zaszło i co jeszcze miało się zdarzyć, stawało się jakby nieważne, wręcz błahe, że pozostawiona za plecami Anglia i leżące przed nami antypody to tylko linie wykreślone na mapie. A jeszcze powrót Wheelera, który znalazł się na kursie fregaty, co było akurat tak prawdopodobne jak to, że nić rzucona w kierunku ucha igielnego sama nawlecze się przez nie! Nie mieliśmy innego świata. Dwie równoległe

ulice... Wtem zadzwoniły szklanki na Alcyone, odpowiedziały im, jak echo, szklanki z naszego statku — i tak o przedpołudniowej wachcie zabrzmiały cztery szklanki. Do dna!, krzyknięto na Alcyone, który to toast powtórzono zaraz kilka kroków ode mnie na naszym pokładzie... Tłumy wypełniające oba górne pokłady i pokłady na dole, gorączkowa, lecz na wół tylko zrozumiała krzątanina, trwająca na obu statkach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zapewniająca przeżycie nas wszystkich na morzu... klepki pokładu i ich czarne, ociekające smołą styki — i tych styków równoległe linie, które czasem stawały się tak dręcząco konkretne, że ich ruch był nie do zniesienia — i nie było żadnej innej rzeczywistości, tylko ta.

Co za groch z kapustą! Próbuję wyrazić moje myśli, ale nie potrafię. Ta tropikalna pustka stała się teraz całym światem — całym wyobraźnianym światem. W niej następował punkt zwrotny historii, koniec największej wojny, w niej znajdował się środek najdłuższej podróży — była... niczym! I wszystkim — osłupieniem, zimnym faktem. Próbuję nagiąć język do mych myśli, ale bez powodzenia.

— Edmundzie.

Okręciłem się na krześle. Przez drzwi zaglądał do środka Deverel. Przyznam się, że dość nie w smak była mi ta wizyta.

— O co chodzi, Deverel? Właśnie miałem...

— Dobry Boże! On ma własny zapas brandy! Kieliszeczek, jeśli łaska, dla zakały statku...

— Proszę bardzo. Ale czy tobie...

— ...nie zabroniono pić, jak synkowi pastora? Niech go szlag, teraz mamy pokój, więc już mnie nie zakuja w kajdany. Jeśli nie zwolni mnie z aresztu, złamię mu szablę przed nosem, zejdem na brzeg i tyle mnie zobaczy!

— Co ty wygadujesz?

— Bo cóż on teraz może, Edmundzie? Załatwić

mi naganę jego lordowsko-admiralskiej mości, spisaną na pergaminie? Niech spróbuje mnie złamać! Złamię najwyżej moją szablę, a teraz, kiedy mamy taki pokój, jest ona tyle warta, co byle sztuciec!

— Szabla szlachcica...

— Na wschód od Suezu każdy biały człowiek da sobie radę.

— Nie jesteśmy na wschód od Suezu.

Deverel wychylił znaczną część zawartości kieliszka. Zakrzusił się, a potem dodał:

— O nic nie będę go prosił. Gdybym to zrobił, złamałby nie tylko moją szablę, ale i mnie. Muszę zachować godność.

— Jak wszyscy.

— Mam plan, a ty mu go przedstawisz.

— Ja?

— A kto? Reszta to tchórze, a cóż ty masz do stracenia?

— Bardzo wiele!

— Powiesz mu, że zobowiązuję się nie sprawiać żadnych kłopotów, dopóki nie dopłyniemy do najbliższego portu.

— To dobrze.

— Czekaj. Tam złożę moją rezygnację.

— Albo sami z ciebie zrezygnują, Deverel...

— ...co nawet bardziej prawdopodobne? Ale ty nie pijesz, Edmundzie, i w ogóle jesteś dziś okropnie nudny.

Powiesz mu, że gdy tylko przestanę być oficerem, zaniesiesz mu moje wyzwanie...

— Ja?

— Nie rozumiesz? Wyobrażasz sobie, co powie stary burczymucha, kiedy go wyzwę na pojedynek?

— Owszem.

— Przecież kiedy wydawało się, że Alcyone to żabojady, dygotał jak źle wybrany żagiel.

— Mówisz poważnie?

— A nie widziałeś?

— Nie doceniasz go.

— To już moja sprawa. Ale powiesz mu?

— Słuchaj, Deverel... Jack. To szaleństwo.

— Powiesz mu!

Milczałem krótką chwilę, tyle tylko, by podjąć decyzję.

— Nie.

— Nie? Tak po prostu?

— Przykro mi.

— Na Boga, wcale nie jest ci przykro! Miałem

o tobie lepsze zdanie, Talbot!

— Słuchaj. Bądźże rozsądny. Nie rozumiesz, że w żadnym wypadku nie wypada mi iść do kapitana z czymś, co jest ni mniej, ni więcej, tylko otwartą groźbą? Gdyby nie to, że zachowujesz się teraz jak w gorącej wodzie kąpany...

— Myślisz, że jestem pijany? A może, że się boję?

— Oczywiście, że nie. Uspokój się.

Deverel nalał sobie znowu, nie tyle, co za pierwszym razem, ale i tak sporo. Szyjka butelki zadzwoniła o brzeg kieliszka. Najważniejsze było teraz nie pozwolić mu naprawdę się upić. Z udawaną niedbałością sięgnąłem ku niemu i wyjąłem mu z dłoni kieliszek.

— O, dziękuję, stary.

Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Potem z jakimś dziwnym śmiechem rzekł:

— „Lordzie Talbot”, przyznaję, że śmiały z ciebie gość.

— Ach, to miało być dla ciebie? Przepraszam, myślałem...

— Ależ nie, proszę bardzo.

— Pierwszy dzień pokoju. No, to do dna!

Wypiłem i zakrzusiłem się piekielnie. Deverel

przypatrywał się w milczeniu, po czym powoli usadowił się na drugim końcu koi.

— Edmundzie...

Spojrzałem na niego sponad kieliszka.

— Edmundzie, co ja mam zrobić?

Teraz Deverel już nie wyglądał groźnie. To dziwnej ale wydawać by się mogło, że po tych wszystkich brawurowych czynach ostatnich dwudziestu czterech godzin w miejsce znanego mi dotąd młodzieńca pojawił się inny, znacznie mniej pewny siebie. Zauważyłem teraz, że choć wzrostu więcej niż średniego, jest on drobnej budowy i słabo umięśniony. Z kolei jego twarz... Ze zdumieniem spostrzegłem, że te skierowane w przód, gęste bokobrody są próbą, może nieświadomą, zakrycia słabego, lekko cofniętego podbródka. Szlachcic Jack, dzielny Jack-zawadiaka! Siłę, by tak głęboko zatopić ostrze w reling dał mu, i to na krótko, paroksyzm wściekłości i, tak jest, strachu. Zrozumiałem to tak nagle i niespodziewanie, że poczułem się równie jak on zagubiony i pełen obaw. Straszna rzeczą jest wiedzieć za dużo. A ja wiedziałem teraz, że gdyby nie jego nazwisko i postawa, które okazały się jedynie imitacją, a nie oznaką prawdziwej wartości, mógłby zostać lokajem, służącym, kamerdynerem! Kiedyś uważałem, że jest największym dżentelmenem ze wszystkich oficerów na statku i rzeczywiście — jakie to wszystko skomplikowane — nim był! Zaniedbania i gwałtowne czyny, jakich się dopuszczał, nie miały żadnego związku z tym, co teraz odkryłem. Jego ostatni szalony plan, biorący za podstawę fizyczne tchórzostwo kapitana, choć nie miał na to najmniejszych dowodów, wręcz przeciwnie, plan ów był kompletną mrzonką. Przypuszczałem, że Anderson potraktuje wyzwanie Deverel- la, cywila czy nie cywila, z jednakową pogardą, i nikt nie będzie miał mu tego za złe. Nie można pozwolić, żeby Deverel brnął dalej w swym szaleństwie!

— Bardzo proszę, panie Deverel... Jack... Pozwól, niech się zastanowię.

Odchylił się do tyłu i lekko skurczył w sobie, jakby ulotniło się z niego jakieś napięcie. Sprawiał teraz wrażenie, jakby z szacunkiem czekał na werdykt myśliciela! Prawda była jednak taka, że...

— Słuchaj no, Deverel...

— Jeszcze przed chwilą, nie mówiąc już o tym, kiedy mieliśmy razem rzucić się na nieprzyjaciela, nazywałeś mnie Jack.

— Tak jest! Nie zapomnimy nigdy o tamtych chwilach, prawda? A więc, Jack. Posłuchaj. Dopiero co porządnie oberwałem w głowę, i to ze trzy razy... Naprawdę nie potrafię teraz zebrać myśli. Ciągle mnie boli.

— Kieliszek...

Prawą dłonią wykonałem bezwiednie niecierpliwy gest.

— Wiesz dobrze, że chciałbym... że zrobię... wszystko, co się da. Po pierwsze muszę pogadać z Summersem.

— Dobry Boże, przecież to metodysta!

— Naprawdę? Wiedziałem, że zagadnienia moralne wielce go obchodzą, ale nie miałem pojęcia, że...

— Czy tylko na tyle cię stać?

— To dopiero pierwszy krok. Muszę wiedzieć, jaka jest twoja sytuacja, to znaczy jak ona przedstawia się w świetle prawa morskiego. Ty sam traktujesz to zbyt osobiście i nie jesteś jeszcze zdolny do bezstronnego osądu.

— Przecież byłeś przy tym!

— Ciałem, owszem, ale bez czucia, którego pozbawił mnie koniec jakiegoś sznura.

— I taka ma być ta twoja pomoc?

— Tak to już z tobą jest, Deverel, że ty chciałyś wszystko teraz, zaraz.

— Serdeczne dzięki, panie Talbot!

— Naprawdę staram się, by ci pomóc, ale nie oczekuj ode mnie natychmiastowego działania, nie jestem oficerem marynarki.

— Już niczego od ciebie nie oczekuję, na Boga!

— Uspokójże się wreszcie! Nie możesz traktować całej sprawy, jakby to był abordaż. Pośpiech wszystko popsuje.

— Co takiego? Kiedy na obu statkach jest dwóch kapitanów i kilku poruczników starszych ode mnie rangą? Jak nie mogą mi załatwić sąd wojenny! Do diabła z nim i z tobą!

—Jack!

Dziwne, jak uspokajająco działa na niego to słowo! Choć nie rozchmurzył się, a jego pierś wciąż gwałtownie wznosiła się i opadała, przemówił jednak łagodniejszym tonem:

— Jest ich tu dość, by urządzić mi sąd wojenny tu, na miejscu.

— Teraz, kiedy w każdej chwili wiatr może pchnąć nas w dalszą podróż? Wiesz dobrze, że nie mam pojęcia o regulaminie marynarki wojennej, ale przysięgłbym, że nie mogą cię sądzić na morzu. Nie jesteśmy już w stanie wojny, ty zaś nikogo nie podżegałeś do buntu. I nie groziłeś kapitanowi użyciem siły! Poza tym, do diabła, jeśli nie zerwie się wiatr, czeka nas bal i przedstawienie, a jakby tego było mało, dostałem od sir Henry'ego zaproszenie na obiad! Do cholery, człowieku, nie rozumiesz, że pokój, abdykacja i rozwiązanie wielkiego kryzysu w sprawach całego cywilizowanego świata...

Deverel podskoczył na koi, jakby go giez ukąsił.

— Na obiad? Człowieku, przecież to doskonała okazja! Załóż się, że Anderson też tam będzie! Wystarczy, że po paru kolejkach oznajmisz mu w obecności sir Henry'ego...

— On prawie nie pije. Poza tym...

Ni stąd, ni zowąd poczułem, że w głowie znowu mi szumi... nie, śpiewa!

— Żebyś ty wiedział, jak cholernie boli mnie głowa.

— A więc nie kiwniesz palcem.

— Zorientuj się, na czym stoimy... jeśli zwrot ten ma jakiegokolwiek znaczenie w tej wodnej otchłani!

Możemy wiele zyskać, jeśli będziemy postępować ostrożnie.

— Czyli muszę czekać... Znosić upokorzenia ze strony człowieka, którego mój ojciec nie zaprosiłby do stołu!

— Zrobię dla ciebie, co tylko się da, choć może nie będzie to wiele.

— Nie musisz tak się strzępić!

Ubawił mnie ten dziwny zwrot. To prawda, że przemawiałem z niejaką pasją, ale Deverel jakoś znów stał się bardziej sympatyczny. Zauważył mój bezwiedny uśmiech, źle go zrozumiał i znów chciał wpaść w złość, więc odezwałem się szybko, byle tylko nie dopuścić go do głosu:

— Jeżeli Anderson będzie na obiedzie, sprowadzę rozmowę na pojedynki i spróbuję się zorientować, jak zareagowałby na wyzwanie.

— Ja nie muszę się orientować. Przerazi się, że ktoś może go postrzelić!

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Anderson, kapitan, który, jak mówiono, niejedną raz proch wachał! Anderson, który jeszcze jako aspirant brał udział w abordażu, a potem prowadził okręt wojenny na Biskaje pod Cochranem! Było gorzej niż myślałem. Podniecenia Deverela nie da się wytłumaczyć jednym kieliszkiem mojej brandy. Już trząsał się z niecierpliwości, zacierał ręce i uśmiechał się nerwowo! Spróbowałem go trochę uspokoić.

— Mój drogi, bardziej prawdopodobne jest, że będzie miał odwagę — niektórzy nazywają to odwagą moralną — z miejsca odrzucić każde wyzwanie. Coraz częściej uważa się w naszym kraju, że to szaleństwo narażać życie dla jakiejś błahostki. Wcale

nie twierdę, że twoja sprawa jest błaha, ale tak może się wydawać innym.

— A wierzę!

— Obiecuję ci, że go wysonduję.

— Tylko tyle?

— W chwili obecnej nic więcej nie mogę uczynić.

— W chwili obecnej, mój panie? To bardzo wygodne stwierdzenie.

Nie odpowiedziałem. Deverel przyglądał mi się krytycznie; potem na jego twarzy pojawił się pogardliwy uśmiešek. Odezwałem się szybko:

— Powtarzam. W chwili obecnej nic więcej nie mogę uczynić.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko spoglądał w lustro nad miednicą. Potem rzekł:

— Jak cała reszta.

Milczałem, więc ciągnął:

— O, wiem dobrze, że mówią o mnie szlachcic Jack i Jack-zawadiaka. Czy nie wyczuwasz w tych przezwiskach pogardy? Pamiętasz, że kiedy wyrzucali Colleya za burtę, Summers rozmyślnie zwlekał z oznajmieniem mi, że mamy odpaść od wiatru? Spodziewałem się tylko, że przynajmniej ty, prawdziwy dżentelmen, nie jak tamci przekłeci par-weniusze, będziesz po mojej stronie, że przynajmniej ty nie pragniesz mojej zguby...

— Chyba oszalałeś!

Nic już nie powiedział, tylko po chwili podniósł się powoli. Popatrzył na mnie z ukosa i zaczął uśmiechać się nieprzyjemnie, takim wewnętrznym, skrytym uśmiechem kogoś, kto doskonale rozumie zamiary swych nieprzyjaciół i ma się przed nimi na baczności. Otworzył drzwi kajuty, rozejrzał się bystro na boki i zniknął. Pozostawił mnie w stanie wielkiej niepewności i zamętu. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wcześniej dopuściłem w naszych stosunkach do pewnej zażyłości, teraz zaś nie miałem najmniejszej ochoty prosić, by nie wymierzano mu słusznie należytej kary za niewątpliwe zaniedbanie obowiązków służbowych. Przede wszystkim nie chciałem w jakikolwiek sposób zaszkodzić porozumieniu i wzajemnemu szacunkowi, które charakteryzowały moje obecne stosunki z kapitanem. Cała sprawa wydawała się doprawdy bardzo denerwująca. Nic nie skłaniało mnie do podjęcia pośrednictwa w tej kwestii; z każdą chwilą byłem coraz bardziej przekonany — powiem już całkiem bez ogródek — że Deverel po prostu nie jest wart tego zachodu.

Do rzeczywistości przywołał mnie dźwięk wybijanych szklanek. To przecież pora, na którą zostałem zaproszony na ucztę! Zerknąłem w lusterko, zakryłem włosami ranę (przez chwilę zawahawszy się — po co mi to? Nie lepiej położyć się do łóżka?). W końcu jednak poprawiłem jeszcze strój i ruszyłem przez ów nowo otwarty zakład modniarski. Krocząc korytarzem usłyszałem nad głową, wśród ciągłego szurania bosych stóp, znany mi już odgłos pewnych, mocnych kroków. Ruszyłem za kapitanem ku szerokiemu trapowi, po którym właśnie schodził. Znalazłszy się na pokładzie Alcyone zatrzymał się sztywno wyprostowany, trzymając kapelusz na piersi. Idąc tuż za nim z trudem się pohamowałem, by nie wpaść na niego. Zachowałem na szczęście tyle przytomności umysłu, by chwycić się lewą ręką liny trapu, zerwać kapelusz z głowy prawą i stanąć następnie niemal tak sztywno jak kapitan. Pokład u stóp trapu był zatłoczony, a ceremoniał okazał się niemal równie wymyślny jak podczas pogrzebu Colleya. Byli więc tu i lokaje w białych rękawiczkach, i bosmani z gwizdkami u szyi, żołnierze, jedni z muszkietami, inni z bębnami lub trąbkami, paru aspirantów i jeden czy dwóch poruczników — na samym zaś końcu szpaleru lśnił sir Henry Somerset, wystrojony w pełny mundur galowy, a na jego okazałym brzuchu, wspaniale

obleczonym w nieskazitelną biel, marszczyła się napięta wstęga orderu! Zawyły trąby, zagrzmiały bębny, zajęczały gwizdki, a zajęci pracą marynarze obu statków wyprężyli się na baczność, wbijając wzrok w mgłę. Wszystko dlatego, że jakiś człowiek stąpnął z jednej deski na drugą! Ceremonia się skończyła. Kapitan Anderson znalazł się teraz oficjalnie na pokładzie Alcyone, więc obie załogi mogły powrócić do swych zadziwiająco różnorodnych i skomplikowanych zajęć, jeśli wziąć pod uwagę obecny stan pogody — z trapu nie widziało się prawie przeciwnych krańców obu statków. Teraz i ja wystąpiłem naprzód. Spotkało mnie wielce uprzejme powitanie sir Henry'ego, który nie dostał jeszcze zaszczytu poznania mego ojca chrzestnego, lecz jak cały świat... i tak dalej. Poprowadził nas na swe pokoje, przez cały czas rozmawiając z naszym kapitanem. Jakąż loterią jest marynarka wojenna! Sir Henry urządził się na statku z wielkim rozmachem. Przejawy jego bogactwa spotykało się na Alcyone co krok. Na rufie każdy ślad pleśni na drewnie był pozłożony. Szliśmy ku schodni — nie, zwalczę pokusę! — ku schodkom, po chodniku z włókna kokosowego, byśmy nie pobrudzili sobie stóp na rozplywających się stykach klepek pokładu. Z mostka prowadziły w górę płócienne kominy, przymocowane do olinowania bezana — niech to diabli, chyba nie wytrzymam i znów zacznę mówić po marynarSKU! — tym sposobem wyziewy z wnętrza statku miały zostać zastąpione czystszyM powietrzem. Dotarliśmy na mostek, gdzie skończył się chodnik. Spojrzałem pod nogi, próbując ostrożnie lecz nieskutecznie omijać styki klepek, co zaraz zauważył sir Henry.

— Drogi panie, bez obaw, bardzo proszę. Nie pobrudzi się pan tutaj. Kapitan Anderson również zatrzymał się i spoglądał w dół.

— Na Boga, wyłożone w klin!

Wydawało się, że moja znajomość języka marynarskiego znów miała się pogłębić, właśnie kiedy zamierzałem zarzucić jego naukę.

— Wyłożone w klin, sir Henry?

Sir Henry lekceważąco machnął ręką.

— Wśród moich łupów znalazł się też ładunek rzadkiego drewna. Poszczęściło mi się. To heban, wiecie panowie...

— Ale co to znaczy: wyłożone w klin, sir Henry?

— To znaczy, że zamiast zwykle stosowanej smoly z pakułami, która tak paskudnie brudzi stopy, łączy się klepkę klinami z twardego drewna. Te wąskie klepki to mahoń. Pierwszy raz widziałem coś takiego na królewskim jachcie, gdy miałem zaszczyt być przedstawiony Jego Królewskiej Mości. Powiadam panom, wszystko, co tu mam, to ostatni krzyk mody z Bristolu! Proszę przodem, kapitanie, panie Talbot...

— Ależ nie...

— Ależ proszę...

Zstąpiliśmy do wspaniałej kabiny kapitańskiej. Dama, która ruszyła nam na powitanie, nie tyle szła czy nawet sunęła, co płynęła. Lady Somerset natychmiast zwracała na siebie uwagę każdego mężczyzny. Wspaniała, niezwykle przystojna kobieta, ubrana zgodnie z najnowszą modą — uznałem, że jej strój byłby bardziej odpowiedni na wieczór niż na środek dnia! Czy tak miał wyglądać ów „strój spacerowy”? Na dekolcie damy lśniła prawdziwa konstelacja szafirów, takich samych jak te, które przyozdabiały jej uszy i przeguby. Sir Henry musiał chyba złupić statek wiozący sułtańskiego jubilera! Suknia, udrapowana wokół biustu — nie, nie znam jeszcze na tyle „krawiecczynny”. Nie dane mi też było dłużej zachwycać się jej wyglądem, gdyż już pochylała się ku mnie z jękiem — nie znajduję bowiem innego słowa,



by opisać ceremonię powitania w jej wykonaniu. Odebrawszy hołd od Andersona (postawa na baczność i szybki skłon głowy), oderwała się od niego, podpłynęła do mnie, patrząc mi w oczy z takim natężeniem\* jakby działo się coś niezwykle ważnego, a potem odsunęła znów ku naszemu kapitanowi, mruczając głębkim kontraltem: „Z jakąż rozkoszą...” Ponieważ sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała omdleć na samą myśl o tej rozkoszy, słusznie wyciągała dłonie ku nam obu, w geście błagania o podtrzymanie jej osuwającej się na pokład postaci. Mimo wszystko była, jak na mój gust, nieco zbyt pachnąca. Uniosłem właśnie dłoń ku jej dłoni, gdy ruchem przypominającym kołysanie się trzciny na wietrze wyciągnęła obie ręce w inną stronę i znów zajęczała:

— Najdroższa, nieoceniona Janet!

Nie miałem najmniejszych złudzeń co do natury nieocenionej Janet. W jednej dłoni trzymała ona bębenek do haftowania wraz z założonym nań materiałem — we wzorze wciąż tkwiła igła z nitką —

i odwrócony wachlarz, w drugiej zaś książkę, zaznaczając palcem miejsce, w którym przerwała czytanie. Pod pachą ścisnęła poduszkę, a jakby tego było mało, z ust jej zwieszała się trzymana w zębach tasiemka.

Powierzchność miała niezwykle pospolitą. Gorączkowo klasyfikując poznawane osoby na podstawie tych nielicznych, jakie mam, informacji, natychmiast umieściłem ją w przegródce opatrzonej podpisem: „Dama do towarzystwa”. Zanim zdążyłem

O tym wszystkim pomyśleć, zgięła się w niskim dygu

I uciekła z kajuty.

— Panna Oates — zamruczała lady Somerset. — Nasza krewna.

— Daleka krewna — dodał tonem wyjaśnienia sir Henry. — Lady Somerset za nic nie chce się z nią rozstać. Takie ma już złote serduszko. Czy mogę się jej sprzeciwić?

— Kochany sir Henry niczego, ale to niczego mi nie odmawia!

Miałem właśnie rzucić dworną uwagę, której wymagała sytuacja, gdy twarz sir Henry’ego rozjaśniła się, a gospodarz przemówił bardziej energicznym tonem:

— Wejdz, Marion, wejdz! Zakładałem się właśnie, czy będziesz dziś zdolna poruszać się o własnych siłach!

Piorun, który uderzył w bezanmaszt, spłynął po nim w dół, roztopiając swój przewodnik w rozpalone do białości krople. Maszt rozszczepił się, a jego zwęglone szczątki rozpadły się we mgle na wszystkie strony. Gródź pękła z trzaskiem, a ja zginąłem w elektrycznej cieczy, która otaczała dziewczynę, stojącą przede mną w białym snopie światła.

Panie kapitanie, pozwoli pan, że mu przedstawię... Panie Talbot... Panna Chumley. Wyglądasz cudownie, Marion, istna królowa balu... oczywiście, gdyby nie obecność... Moja droga, oto pan Edmund FitzHenry - Henry Talbot. Matka jego jest de domo FitzHenry, a pan Talbot płynie właśnie...

Zapewne mówił coś jeszcze, ale ja ocknąłem się niczym po kolejnym uderzeniu, gdy panowie trzymali już kieliszki, z których jeden, nie wiem jakim sposobem, znalazł się też w mojej dłoni. Ponieważ jasnym było, że wykonałem czynność polegającą na wzięciu kieliszka i trzymałem go w dłoni przez te pierwsze chwile mego życia, mogę tylko przypuszczać, że i ja coś mówiłem, ale co — nie mam pojęcia. Ty zaś, o Marion, podniosłaś się z najbardziej nieśmiałego, najgłębszego dygu, cała muzyko, cała poezjo, której urywane fragmenty przebiegały teraz jak burza przez mój umysł! Jednak z kompletnego oglupienia wyrwały mnie dopiero słowa sir Henry'ego.

— Biedna Marion była jak nieżywa! Wystarczy najdrobniejszy ruch, dobry Boże, nawet nie fala, choćby najmniejszy wstrząs przy opuszczaniu kotwicy, i wszystko z niej leci! Mówię jej, że jak już znajdzie się w Indiach, to musi tam zostać na zawsze, bo droga powrotna na pewno ją wykończy!

— A więc na Alcyone tak kołysze, sir Henry?

— Trochę, kapitanie. Jest dość długa jak na takie ożaglowanie, a pilny rozkaz to pilny rozkaz, wie pan, jak to jest. A pański statek?

— Stateczny jak skala, a pewny jak róża kompasu. O, przecież nawet kiedy ten głupi porucznik dopuścił, żeby nas pchnęło wstecz, zamoczyło nam parapety na niecałe dziesięć sekund, a wiało mocno!

— Sir Henry, kapitanie, biedne dziecko już przez was blednie! Chodź, Marion, panowie nie będą o tym rozmawiać. Podłoga jest dziś nieruchoma jak na sali balowej, a na sali balowej przecież czujesz się świetnie!

— Co więcej — dodał kapitan Anderson — zdaje się, że bal odbędzie się na moim statku, który jest znacznie stateczniejszy od tego.

— Ach, Alcyone — zajęczała lady Somerset — wszystko jest stateczniejsze od tego cudownego, nieposkromionego stworzenia!

Nareszcie odzyskałem głos.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, że kapitan Anderson użyczyłby pani swego statku choćby i na całą podróż, panno, panno... Chumley!

Panna Chumley uśmiechnęła się — Marion uśmiechnęła się! Kąciki jej warg drgnęły — na samo wspomnienie serce bije mi tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi — o jakże słodko opisywać to zjawisko! Jednak nawet gdy Marion nie uśmiechała się, natura obdarzyła ją kształtem ust, który sprawiał, iż wyglądała, jakby śmieszył ją żart tak wesoły, że będący dla niej źródłem ciągłej radości. Zaraz też odkryłem, że jedyną radą, by nie gapić się niegrzecznie na jej usta, jest gapić się jeszcze niegrzeczniej — i jeszcze bezradniej — w jej oczy; przez to z kolei nie staje czasu, by pomówić o nosku i o tych uniesionych

€

jakby ze zdziwieniem brwiach. One to, w połączeniu z uśmiechniętymi ustami, przydawały tej twarzy wyrazu żywości i zainteresowania — o Boże! Cały kłopot w tym, że od czasów Homera opisywaniem wdzięków młodych kobiet trudzą się najwięksi poeci. Nie ma już figur stylistycznych, od niedomówienia po hiperbolę, których dotąd nie zawłaszczono sobie w tym celu! Sięgnij więc poza sztywne reguły retoryki — szuka; natchnionych niedorzeczności, prawdziwie bezczelnej magii Szekspira czy Wergilego...

Zaplątałem się we własne słowa i nie mogę ruszyć z miejsca. Jak była ubrana? Wtedy nie miało to najmniejszego znaczenia, ale teraz...

Suknię miała białą z niebieskimi wstążkami, jeśli dobrze pamiętam, przeplecionymi wokół dekoltu od ramienia do ramienia i tuż nad dłońmi wokół krezy na rękawach. Kolczyki w kształcie srebrnych kwiatków, takie same kwiatuszki na łańcuszku zawieszonym na szyi. Była szczupłą, zawsze pozostanie szczupłą, niczym ulotne marzenie, iluzja — a więc kwintesencja poezji!

Ale teraz mówił już — czy raczej: przemówił — kapitan Anderson. Przypominam sobie słowa, których wówczas nie zarejestrowała moja świadomość:

— Nie, nie, panie Talbot. My nie płyniemy do Indii, lecz do Sydney! Poza tym nasz statek pełny jest emigrantów, pasażerów, ładunku...

— Widzisz, moja droga — powiedział ze śmiechem sir Henry — nie ma rady! Musisz już płynąć do Indii, i to na Alcyonel

— Zupełnie nie rozumiem — odezwała się lady Somerset — dlaczego panowie tak się spieszą, skoro już pokonaliśmy Francuzów. Kapitan Anderson na pewno...

Obaj kapitanowie wybuchnęli śmiechem. Tak, Anderson śmiał się!

Znów odzyskałem głos:

— Panno Chumley, jeżeli przeniesie się pani na nasz statek, ustąpię pani mojej kajuty, a sam będę spać na dolnym pokładzie albo w żęczach. Gwarantuję, że noce będę spędzał na pokładzie, spacerując tam i z powrotem, jak pan kapitan, tylko że po przeciwległej burcie — o, zresztą mamy przecież pustą kajutę. Natychmiast przenoszę się tam, więc panna Chumley może zająć moje miejsce!

Mam wrażenie, że całą tę tyradę wypowiedziałem głosem szaleńca. Przeznaczeniem mężczyzny jest być poetą — teraz to rozumiem, Edmundzie, Edmundzie, ty żaloszny polityku!

Anderson opowiedział pokrótce o Colleyu — o jego niesubordynacji i o „niskiej gorączce”, na którą zapadł po swym ostatnim wybryku. Ja tymczasem zapomniałem o swym postanowieniu, by bronić dobrego imienia pastora. Zrobiłem to już w moim dzienniku, a teraz liczył się tylko grom z jasnego nieba, ów coup de foudre.

— Rozeszła się plotka, proszę pani, że jest pani cudownym dzieckiem. W pierwszej chwili zlekceważyłem owo określenie, ale teraz widzę, że to szczerą prawdą.

— Cudownym dzieckiem, proszę pana?

— Cudownym dzieckiem, pani!

Odpowiedziała mi śmiechem, srebrzystym jak kwiatuszki wokół jej szyi.

— To nieporozumienie, sir. W ten sposób nazywa mnie w swej łaskawości lady Somerset, gdy czasem śpiewam jej dla rozrywki.

— Mnie jednak wydaje się pani cudowna i zawsze taką pozostanie.

Nadal uśmiechała się, ale minę miała nieco zdumioną — i nic dziwnego, bo niezależnie od tego, co mi wyrządził piorun, dla niej było to tylko spotkanie z czymś — czy kimś — niespodziewanie i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu znajomym. Słowa

„znajomy” używam w sensie „rozpoznawany”, a może i „natrętny”! Ledwo domyśliłem się tego, już zyskałem potwierdzenie:

- Czy kiedyś już się nie spotkaliśmy, proszę pana?
- Gdyby tak było, pani, na pewno bym o tym pamiętał!
- Oczywiście. A więc ponieważ jesteśmy sobie nieznajomi...

Urwała, odwróciła wzrok, zaśmiała się niepewnie, a potem znów spojrzała na mnie i zamilkła. Ja też milczałem; oboje wpatrywaliśmy się w siebie z napiętą uwagą. Odezwałem się pierwszy.

— I tak... i nie!

Spuściła oczy i wtedy zorientowałem się, że trzymam w lewej ręce jej prawą dłoń. Nie pamiętam, kiedy to się stało, więc puściłem ją teraz z przeproszającym gestem, który zbyła kiwnięciem głowy.

Do mojej świadomości dotarło następnie, że sir Henry przemawia teraz do Janet, ale zupełnie innym tonem niż ten, którym witał pannę Chumley.

— No, chodźże, Janet, na miłość boską! Nie masz się czego bać i nie musisz nic mówić, bo i tak jesteś zaproszona tylko po to, żeby przy stole było do pary.

— Najdroższa Janet! Tu, jeśli łaska, między kapitanem Andersonem a sir Henrym.

Odsunąłem fotel dla lady Somerset, która wpłynęła na swe miejsce. Sir Henry uczynił to samo z krzesłem panny Chumley; przypuszczam, że Anderson podobnie usłużył nieocenionej, nieszczęsnej Janet. Chcąc nie chcąc musiałem przez jakiś czas zabawić rozmową panią domu, z czego wywiązałem się gorzej niż źle, gdyż całą uwagę skoncentrowałem na sir Henrym, użalającym się nad panną Chumley, że nie dane jej będzie wystąpić na dzisiejszym przedstawieniu i pokazać załodze, na czym polega prawdziwe śpiewanie. Na szczęście lady Somerset miała ów szósty zmysł towarzyski, właściwy chyba wszystkim kobietom, niezależnie od klimatu i koloru skóry, gdyż odwróciła się ode mnie i nawiązała z Andersonem banalną rozmowę, która jednak stała się dla niego wybawieniem; biedak gapił się teraz ponuro i w milczeniu na Janet, ta zaś utkwiała oczy w talerzu. Sir Henry, wyraźnie zadowolony, że ktoś inny zajął się jego głównym gościem, zaczął zapałem, który w pełni tłumaczył obfitość jego tuszy. Panna Chumley bawiła się odrobiną jedzenia na swym talerzu, ale nie zauważyłem, by najdrobniejszy kęs trafił do jej ust.

— Nie jest pani głodna?

— Nie.

— A więc i ja nie tknę niczego.

— Mimo to wypada, by choć pobawił się pan widelcem, o, tak. Czyż to nie eleganckie?

— Czarujące. Jeśli jednak nie zacznie pani jeść, stanie się pani jeszcze bardziej eteryczna!

— Trudno o piękniejszy komplement dla młodej osoby, sir, i trudno o bardziej zachwycającą perspektywę!

— Być może dla pani; dla mnie jednak najbardziej zachwycającym widokiem... nie, proszę mi wybaczyć.

Pozwalam sobie na zbyt wiele... Nie śmiem... Nie, nie wytrzymam! Ta sympatia od pierwszego wejrzenia, owo rozpoznanie...

— „I tak... i nie”?

— Ach, pani! Jestem oszołomiony, nie, olśniony! Na miłość boską, niech mnie pani ratuje!

— Nic łatwiejszego, drogi panie. Skoro mamy bawić się rozmową, wyjawię szybko, z kim ma pan do czynienia. Jestem sierotą, proszę pana, odebrałam podstawowe wykształcenie, uzupełnione językiem francuskim, elementami włoskiego i geografii, w szkole dla dzieci duchownych na Salisbury Close. Potrafię też wyrecytować panu poczet królów Anglii, kończąc na „Jerzym, trzecim tego imienia, niech

Bóg zachowa go w swojej opiece”. Jestem, rzecz jasna, pobożna, skromna, zręcznie posługuję się tą okropną igłą i umiem śpiewać prawie nie fałszując.

— Błagam panią, by coś pani zjadła, choćby najmniejszy kąsek, gdyż cała ta wiedza musi czymś się żywić! Boskie stworzenie naprawdę pochyliło się lekko ku mnie! Nasze głowy znalazły się upajająco blisko.

— Niech się pan nie martwi, drogi panie. Jestem też dość przebiegła, w tej chwili zaś w ogóle nie głodna!

— Pani łamie mi serce! To niemożliwe! Czyżby te ciasteczka w pani kabinie...!

— Panie, sądziłam, iż wyjawienie tej tajemnicy nie sprawi, że stanę się dla pana odrażająca!

— Już jestem przez panią zaczarowany. I to nie pierwszy raz, bo... kiedy widzieliśmy się ostatnio... och, gdzie to było, w Kitaju, w Mongolii, w Timbuktu?

Sir Henry przerwał na chwilę przeżuwanie potraw.

— A więc, Talbot, podróżowało się tu i tam?

— Bynajmniej, sir Henry.

— No, to Marion tym bardziej nie.

Znów się zaśmiała.

— Wuju, razem z panem Talbotem wymyślamy sobie bajkę. Lepiej tego nie słuchać, bo to wierutne brednie.

— Brednie, panno Chumley? Zraniła mnie pani do żywego.

Nasze głowy znów się zbliżyły.

— Nie chciałam tego, proszę pana. Proszę mi wierzyć, że są ludzie, którzy wierzą w bajki.

Nadal nie rozumiem, dlaczego oczy zaszyły mi wtedy łzami! Dorosły mężczyzna, człowiek rozsądny, by nie rzec wyrachowany, polityk — a robi mu się

mokro pod powiekami, tak że z trudem powstrzymuje się, by nie ronić łez!

— Pani, sprawiasz, że jestem niewymownie szczęśliwy. Z radością zdaję się na pani łaskę i nie- łaskę.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której połykałem — nie jadło jednak, lecz ły. To na pewno przez tę ranę na głowie, bezsenność, na pewno — bo przecież nie z powodu tego, co było dla mnie oczywiste!

Ona jednak szepnęła:

— Zapędziliśmy się. Proszę mi wybaczyć, powiedziała więcej niż powinnam, i pan, zdaje się, również.

— Tu rozejrzała się wokół: — I zdaje się, że uciszeliśmy cały stół! Helen!

Ale lady Somerset, ta wspaniała kobieta, pośpieszyła mi w sukurs.

— A cóż my, starsi, możemy mieć ważniejszego do powiedzenia? Cieszcie się sobą, moi drodzy, póki czas!

Anderson rozmawiał z sir Henrym. Oczywiście wyłącznie na tematy zawodowe, kto dostał jaki statek i tak dalej. Lady Helen uśmiechała się, kiwała głową,

i — niech będzie błogosławiona — nie zwracała na nas uwagi.

Siedziałem więc i żałowałem gorąco, że moje rany — nie zadrapania, lecz rany — nie są prawdziwe!

Żałowałem, że nie poprowadziłem straceńczego ataku na okręt nieprzyjaciela i nie wróciłem jako śmiertelnie ranny bohater, tak śmiertelnie ranny, że ktoś inny mógłby mnie pielęgnować, jeśli nie ten poznany przed chwilą anioł. Równie gorąco żałowałem, że nie mam munduru czy orderu, czym mógłbym ją olśnić, i przeklinałem w duchu ten świat, na którym dekoruje się ludzi starych, choć im to nie jest już do niczego potrzebne! Mimo to wyczuwałem od pierwszej chwili, że jest to dziewczyna inteligentna

i rozsądna, której nie zależy wyłącznie na wstęgach i galonach... Och, mój Boże, co też mówię! Ona przecież nie...

O czym rozmawialiśmy? Nie pamiętam już, bo słowa nasze nic nie znaczyły w porównaniu z przepływem uczuć, jakie przelewały się przez ten dziwny salon! Czasem, przysięgam, panowało między nami żywe milczenie, słodkie jak miód. Zapewne pod wpływem przepięknego uczucia staliśmy się, czy też ja stałem się, sensatem na podobieństwo lady Somerset! Czułem przy sobie najczystszy byt Marion, coś nowego w życiu, nową wiedzę, nowe poznanie, świadomość; a i ona, przysięgam jeszcze raz, była w ten sam sposób świadoma mnie. Wokół rozlegał się dźwięk innych głosów, ale nas wchłonęła do wewnątrz srebrzysta bańka mydlana, do której nikt poza nami nie miał wstępu.

Bańka mydlana! Potraktowałem te szczęśliwe godziny niczym rozrzutny dziedzic, któremu zdaje się, że pieniądze rosną na drzewach, i wystarczy kazać rządcy machnąć różdżką, by leciały z nich nie liście, lecz gwinee. Jak bezmyślnie roztrwoniłem te dwie godziny, które powinienem raczej podzielić na sto dwadzieścia minut, siedem tysięcy dwieście sekund, każdą zaś z tych sekund powinienem hołubić, smakować — nie, to zbyt pospolite słowo — cenić każdą, najmniejszą chwilkę — cenić, tak, to dobre słowo. Oczarowanie! Niczym jakiś rycerz ze starej legendy, Edmund FitzHenry Talbot spędził te trzy godziny na samym początku swej wielkiej kariery życiowej, śpiąc na tarczy w ruinach świątyni miłości! Wybaczcie młodemu człowiekowi, młodemu głupcowi, jego ekstazę! Teraz wiem, że świat wysłuchuje uniesień przychylnie tylko wtedy, gdy wyrażają je usta geniusza.

Cóż więc pamiętam? Z czasu gdy trwały czary — niewiele, pod koniec uczty obudził nas dopiero z transu niechętny pomruk Andersona o „tym przeklętym balu”.

— Bal, proszę pani, zapomnieliśmy o balu! Czeka nas przecież bal! Bal, słyszy pani? Przetanęczmy całą noc. Musi mi pani przyrzec swą dłoń... och, na co? Na każdy taniec, rzecz jasna, no a jeśli nie, to na niektóre — na większość — na najdłuższy — który jest najdłuższy? Będzie kotylion! T ak! I allemande... Czy pozwolą nam odtńczyć walca?

— Nie sądzę, proszę pana. Lady Somerset, jako wielbicielka lorda Byrona, nie zgodzi się na walca, prawda, Helen?

— Lady Somerset, błagam panią! Byron nie ma kropli oleju w głowie, a jeśli nie cierpi walca, to tylko dlatego, że jest kulawy! Pies ogrodnika!

Nastąpiła ogólna dyskusja. Marion zgadzała się ze mną, twierdząc (Szekspir był poza konkurencją), że żaden anglojęzyczny poeta nie dorównuje Po- pe'owi. Sir Henry oznajmił, że większość z tego, co się wypisuje, to brednie, Anderson pomrukiwał, lady Somerset recytowała: „Tocz fale wód swych, oceanie siny!”

— Helen! Tylko nie to! Czy pragniesz posłać mnie prosto z powrotem do łóżka?

Bańka mydlana prysła.

Lady Somerset urwała na „biczu flot tysiąca”.

— Sir Henry! — zawołałem. — Czy nie powinniśmy płynąć razem, przynajmniej do Przylądka? Niech powie panu kapitan Anderson, z jakim trudem przyszło nam przygotować się do pozornej choćby obrony!

— Zrobiłbym wszystko, by zadośćuczynić pańskiej prośbie, ale nie jest to w mojej mocy. Poza tym nie macie się już czego bać, bo teraz Francuzi są naszymi sojusznikami!

— Nie miałem na myśli...

Anderson zwrócił się do mnie.

— Alcylene nie płynie chyba, tylko leci, że tak szybko dotarła tu z Plymouth. Wystarczyłoby parę godzin, żeby zniknęła nam z oczu. — A potem, zwracając się ku sir Henry<sup>mu</sup> dodał: — Musiał pan wyliczyć co do joty, ile płótna wciągnąć na maszty!

— A wie pan, kapitanie, że aż do Gibraltaru ruszała się jak mucha w smole? Powiadam panu, co jakiś czas musiałem sam stawać za sterem! Mój pierwszy oficer tak jakoś wybierał kurs, że mówię mu w końcu: „Słuchajcie, Bellamy, to przecież fregata, niech to diabli, a nie jakiś zasrany statek handlowy”. A jak się sprawuje pański pierwszy?

— Nie narzekam, sir Henry. Załoga jest w porządku, ale też ustawiłem ich sobie jeszcze jak przeciwny wiatr trzymał nas przy Spithead.

— Przeciwny wiatr? Trzeba było nas widzieć w Plymouth, naprzeciw Shit Creek. Holowali nas stamtąd parowcem. Wielki Boże, nigdy w życiu nic mnie tak nie zadziwiło.

— A jeszcze ten dym — zajęczała lady Somerset — dym z tego metalowego komina. Zabrudził mi płaszcz podróżny. Marion mówiła, że poduszkę miała całkiem czarną.

— Helen!

— Mówiłaś, mówiłaś, moja droga. Nie pamiętasz, ile kłopotu miałyśmy z twoją głową?

— Ależ lady Somerset! — zawołałem. — Czy można mówić takie rzeczy o tak nadobnym przedmiocie? Ale co to jest parowiec?

— To niezwykle wynalazek, proszę pana — powiedział sir Henry — i przysięgam na wszystko, że jego powstanie możliwe było tylko dzięki wynalazczemu geniuszowi naszego narodu! To statek z kotłem parowym. Siła tego kotła obraca wielkie koła łopatkowe, umieszczone w środku długości każdej z burt. Gdyby nie to, że koła są obudowane, wyrzucałyby w górę fontanny wody.

— Za dużo tam ognia pod pokładem — wtrącił Anderson. — Nic mnie nie zmusi, żebym to polubił. Wystarczy, że wybuchnie jeden, a spali się cała flota.

— A jak połamią się te łopatki — dodał sir Henry — to koniec, bo nie ma tam ani żagli, ani wiosł. I mówię panu, Anderson, przez cały czas, kiedy nas holowali, nim ruszyliśmy prawym halssem, omijając od wschodu Eddystone, kotwice tak dyndały się i tłukły, że straciłem człowieka, który akurat siedział na zawietrznej, i to razem z deską klozetową!

— A w Portsmouth budują jeszcze większy — powiedział Anderson. — To będzie koniec prawdziwej żeglugi.

— Zdaje się, że ich zastosowanie jest dość ograniczone — odezwała się panna Chumley. — A w dodatku wyglądają obrzydliwie.

— Brudzą i smrodzą, to fakt — odpowiedział jej sir Henry — ale nie da się zaprzeczyć, że wyciągnięto nas pod wiatr w dwie godziny, a halsując stracilibyśmy cały dzień.

Wreszcie udało mi się zebrać myśli.

— A czy większa jednostka tego typu nie mogłaby pływać na pełnym morzu?

— Zapewne tak, proszę pana, ale nie ma takiej potrzeby. Zwykły statek da sobie radę, jeśli tylko ma gdzie manewrować.

— A parowe okręty wojenne? Mogłyby same wypływać z portu i niszczyć nieprzyjaciela?

Obaj żeglarze ryknęli śmiechem... Słowo daję, nigdy jeszcze nie widziałem, by kapitan Anderson był równie ożywiony. Przez parę chwil przerzucali się urywanymi uwagami w narzeczu marynarskim. Wreszcie sir Henry otarł oczy.

— Wina dla pana Talbota! Tylko kiedy znajdzie się pan w rządzie, błagam, niech pan bierze każde ministerstwo, byle nie Admiralicję!

Panna Chumley (to wzruszające, jak skwapliwie pośpieszyła mi z pomocą) rzekła bohatercko:

— Ale nie odpowiedziałeś panu na pytanie, wuju! Jestem pewna, że pan Talbot byłby świetnym admirałem, czy jak to się tam nazywa!

— Proszę nie wyśmiewać się z pana Talbota — dodała lady Somerset. — Ze zniecierpliwieniem czekam, co masz mu do powiedzenia.

— No, no, lady Somerset — odparł sir Henry — pierwszy raz się zdarza, że jesteś zaciekawiona tym tematem. Wydawało mi się, że w marynarce interesowały cię dotąd tylko włosy blond, bohaterstwo i poezja! Dobry Boże, przecież gdybyśmy mieli parowce na tyle duże, żeby mogły walczyć z nieprzyjacielem, musielibyśmy pomieścić na nich drugie tyle załogi, żeby utrzymać je w czystości, nie mówiąc już o wrzucaniu węgla pod kocioł!

Duchowe wsparcie panny Chumley dodało mi animuszu.

— Jestem pewien, że geniusz mechaniczny Brytyjczyków dałby sobie radę ze wszystkimi problemami.

— Niech teraz pan coś powie, kapitanie — odezwał się sir Henry. — Wydaje mi się, że ze świecą by szukać w całej flocie kogoś równie rozumnego jak pan!

Zdawało mi się, że kapitan Anderson poczuł się lekko urażony tym oskarżeniem o posiadanie rozumu. W końcu od tego niedaleko już do posądzenia o inteligencję!

— Główny zarzut — rzekł — jeśli w ogóle warto odpowiadać na tak bezsensowne pytanie, jest następujący: niekiedy zdarza się, że całymi miesiącami nie można zawinąć do portu. Statek zaś napędzany parą zużywa węgiel. A ponieważ jego maksymalna długość ograniczona jest długością drewna zdatnego do budowy kadłuba, jego zasięg ograniczony jest ilością węgla, jaki zmieści się w ładowniach. Po drugie, jeżeli miałby to być okręt wojenny, koło łopatkowe umieszczone na każdej burcie zmniejszy pełną salwę burtową, czyli ogólny ciężar pocisków, jaki może z siebie wyrzucić. I po trzecie, wystarczy, że podczas bitwy jedna kula uszkodzi kruchy mechanizm koła, by statek został unieruchomiony.

— Panie, otrzymaliśmy odpowiedź — zwróciła się do mnie panna Chumley. — Zostaliśmy pobici.

Ach, jak słodko zabrzmiało to „my”!

— Jeśli chodzi o mnie, nie zrozumiałam ani słowa, kapitanie — powiedziała lady Somerset — bo, wyznając, byłam najbardziej tępą uczennicą w mojej klasie.

— Nic... — rzekła na to panna Chumley. Uniosła kąciki ust i (oto skutki ciągłego słuchania języka marynarskiego) na jej policzku po sterburcie pojawił się rozkoszny dołeczek. — Nic... Nic naprawdę tak nie przystoi młodej damie, jak odpowiednia doza niewiedzy.

Ale po tej ostatniej uwadze lady Somerset rzuciła pozostałym paniom znaczące spojrzenie, więc panowie natychmiast powstali. Damy opuściły towarzystwo, sir Henry zaś wskazał nam ustronne miejsce. I tak oto, wygnaniec z raju, stałem ramie w ramie z kapitanem Andersonem, dokonując czynności fizjologicznej w „ocean siny” lorda Byrona. Już teraz cierpiałem niewymowne katusze, pozbawiony bliskości tych uniesionych w uśmiechu kącików ust, a... O Boże, jaki ja jestem nudny! Spotkało mnie to, co zawsze uważałem za mit, za teatralną konwencję: miłość od pierwszego wejrzenia, ów coup de foudre, zupełnie jak w bajce — ale ona sama przecież powiedziała, że są ludzie, którzy wierzą w bajki!

Może — rzeczywiście, może tak jest.

Pośpiesznie wróciłem do kajuty i do brandy. Panie nie pojawiły się, więc ogarnął mnie okropny strach,



że już ich więcej nie zobaczymy. Gadałem same głupstwa\* ale pozostałem na miejscu, bo tak uczynili obaj kapitanowie. Znów przeszli na język marynarski. Słuchałem więc o naszych nadwerżonych zapewne tulejach, o stengach i pijanym poruczniku, którego zaniedbanie dało sir Henry'emu okazję do wygłoszenia zręcznego komplementu, a mianowicie że tylko dzięki temu wypadkowi miał szczęście dogonić nas na tym pustkowiu. Obaj panowie zgodzili się też, że jeżeli w ciągu dnia zerwie się choćby lekki wiatr, żaden z nich nie chce pozbawić załogi obiecanej rozrywki. Dowiedziałem się, że kapitan Anderson, choć proszony o to przez specjalną deputację marynarzy, nie zgodził się wydać im alkoholu mimo święta, i że następnym razem zrobi to dopiero, gdy zarzucimy kotwicę, bo dwie porcje rumu w ciągu jednego dnia to pierwszy krok ku całkowitemu rozprzęgnięciu dyscypliny. I tak dalej. Wpadłem już niemal w rozpacz, gdy panie wreszcie powróciły do towarzystwa. Kapitańska kajuta fregaty musi oczywiście służyć i jako jadalnia, i jako salon. Niewątpliwie zawdzięczam lady Somerset, że z n ó w znalazłem się — wbrew wszelkim zasadom — u boku panny Chumley na ławie we wnęce okiennej, jak bym to określił, gdyż było to pod wielkim oknem rufowym, choć pewnie fachowo nazywa się to zupełnie inaczej — może tylną ławką wioślarską? — a zresztą jakież to może mieć znaczenie? Bądź błogosławiona, lady Somerset!

Obawiam się, że gadałem jak najęty. Wcale nie po brandy. I nie całkiem też z powodu tak długiej bezsenności. Było to najtragiczniejsze z upojień, najbardziej bezsensowne, najśłodsze.

— Pani, błagam panią o allemande... i o kadryla...

i o kotyliona...

— Który więc mam wybrać?

— Ależ wszystkie, jeśli łaska! Nie zniósłbym...

— Przecież to nie wypada, drogi panie, i na pewno świetnie pan o tym wie!

— A więc jestem gorącym zwolennikiem tego, co nie wypada. Allemande zatańczymy wokół grotmasztu, kotyliona od końca do końca śródokręcia, kadryla zaś...

— Ależ panie! Taka biedna, bezradna, młoda osóbką, jak ja...

— Bezradna? Jesteś pani akurat tak bezradna jak Alcyonel Nie mam najmniejszych wątpliwości, że dokonała pani tak licznych podbojów, że tyłoma nie może się poszczycić nawet sir Henry. A teraz i ja znalazłem się na liście podbitych.

— Nie jestem aż tak okrutna. Uwolnię pana. Ani też...

— Ani co?

— Zawarto pokój, proszę pana. Miejmy i my w nim swój udział.

— Nie będzie pani aż tak okrutna, by wypuścić mnie ze swej niewoli!

— Uczyni to za mnie wiatr. Ach, jak okropnie się boję, że powróci to obrzydliwe kołysanie! Niech mi pan wierzy, mai de mer to coś tak obrzydliwego

i poniżającego, że nawet młoda dama przestaje zważać, jakie to nieprzystojne!

— Może jednak jakoś temu zaradzimy.

— To straszna rzecz te rozkazy. Nawet gdy byłem ledwo żywa, sir Henry nie chciał zwinąć jednego choćby żagla, żeby zmniejszyć kołysanie, mimo wszelkich próśb lady Somerset. Widzi więc pan, jak niedaleko sięga władza, którą raczył mi pan przypisać.

— Gdyby poprosiła go pani osobiście...

— Wtedy nie byłam zdolna do niczego i pragnęłam już tylko śmierci. Za to potem, gdy rozeszła się wieść, że niepowstrzymanie zbliżamy się do waszego statku, nie wiedząc czy to wróg, czy przyjaciel, bliskie niebezpieczeństwo śmierci, której tak pragnęłam, bardzo ale to bardzo mnie przeraziło!

— Czy mogę teraz mówić szeptem? Zgrywałem zucha, ale — czułem dokładnie to samo!

Zaśmialiśmy się oboje.

— Cenię sobie pańskie wyznanie. Nie wydam pana!

— Czy lady Somerset również uległa tym obawom?

Ciemne loki panny Chumley znów znalazły się blisko mnie a ich właścicielka mówiła teraz z za wachlarza.

— Tylko o tyle, o ile było jej z tym do twarzy, proszę pana. Przypuszczam, że miała nadzieję na spotkanie z korsarzem!

Zaśmiałem się głośno.

— A potem oczom waszym ukazał się „nasz przeklęty, zgniły wrak” jak mawiają marynarze, z pootwieranymi furtami działowymi, ale w większości bez zębów!

— Ależ, panie!

— A co tam! Czyli umowa stoi? Przyrzeka mi pani swą dłoń na tyle, a nawet więcej tańców niż wypada?

— Cóż będę mogła uczynić, gdy pochwyci mnie pan i nie puści? Grzech ten spadnie na pana.

— Będę więc grzesznikiem zatwardziałym. Zamilkliśmy. I właśnie wtedy podjąłem jedyną, desperacką próbę skierowania tej zwiewnej jak mgiełka konwersacji na poważniejsze tematy. W chwili jednak, gdy brałem oddech, by uczynić to bezcelne wyznanie — pani, jestem jak gromem rażony — zauważyłem, że uśmiech lady Somerset stał się nagle bardzo sztuczny. Kapitan Anderson powstał. Serce krajało mi się na myśl, że nasza wizyta jest — nieodwołalnie — skończona. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób opuściłem ten zaczarowany pałac, dotarłem do mej komórki, z sercem podchodzącym do gardła, cały czas rozmyślając — jakie to komiczne! — o tym, kto też teraz z nią rozmawia i... Zresztą na próżno się wysiłam! Nie jestem poetą, którego zadaniem — teraz to zrozumiałem — jest pomagać człowiekowi przetrwać takie właśnie chwile. „Świat chętnie zapomniany”

i „Wszystko dla miłości”! Tak właśnie, słowo daję, czułem się teraz! Z nagłym strachem przypominałem sobie o moim wyglądzie i pomacawszy głowę rzeczywiście wyczułem nieprzyjemną twardość zakrzepłej wśród włosów krwi, więc mogłem myśleć tylko o tym, jak odrażające musiało się to wydawać „młodej osobce”. Okazała mi niezwykłą uprzejmość i — o, biedny głupcze, biedny Edmundzie, co za upadek, nie, co za wzlot — nie, ani jedno, ani drugie, już raczej — po prostu — żywcem do nieba wzięty! Wiedziałem, że będę cierpieć, już cierpiałem, ale nie zamieniłbym się z nikim innym na świecie, chyba że może jest już ktoś, jakiś inny mężczyzna — przecież na Alcyone aż się od nich roi! O, Boże!

A w dodatku nie wywiedziałem się, co Anderson sądzi o pojedynkach!

Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opisuję. Ogień wypalił we mnie zmęczenie i swym niewidzialnym płomieniem dostarczył mi chwilowych zapasów sił, które utrzymywały mnie przy życiu, choć padłem na kolę niczym... ale brak mi słów odpowiednich do stanu, w jakim się znalazłem, ja, człowiek tak rozumny, tak szczerze obdarzony zdrowym rozsądkiem! Tak, zakochałem się, jestem zakochany, tak głęboko, tak platonicznie! Była w tym i podniecia, i obawa — obawa przed nowym, nieznanym mi dotąd światem, do którego nie pasowałem ani charakterem, ani skłonnościami, światem ryzyka, światem hazardu... Ona płynie do Indii, ja na antypody... moja kariera... ten korzystny traktat z...

Edmund Talbot leżał w pełnym stroju na koi, niczego nie pragnąc więcej, niezdolny myśleć o niczym innym, tylko o córce pastora, dziewczynie bez grosza przy duszy!

Po chwili opamiętałem się na tyle, by wezwać Wheelera. Musiałem wołać i wołać, coraz głośniejszym głosem, nim wreszcie przyszedł.

- Do diabła, człowieku, jedź od ciebie rumem!
- Przecież wydawali rum, proszę pana, a mnie należało się coś ekstra.
- Kapitan Anderson...
- Sir Henry przekonał go, proszę pana. Sir Henry to prawdziwy dżentelmen.
- Doskonale. Proszę przenieść moje rzeczy naprzeciw, do kajuty po panu Colleyu.
- Nie wolno mi, proszę pana!
- A cóż to ma znaczyć?
- Nie było rozkazu, proszę pana!
- No, to ja ci go wydaję.
- Kapitan Anderson...
- Widziałem się z nim przed chwilą. Nie miał nic przeciwko temu, więc siedź cicho!

Wheeler zaczął mrużyć coś pod nosem, ale przerwałem mu, mówiąc:

- Zresztą zanim zabierzesz się do tego, przygotuj mi tu mój strój wieczorowy.

Spodnie do kolan, pończochy, frak — służący nie potrzebował wielu wskazówek i wkrótce uporał się z robotą. Przebrałem się, po czym przeszedłem przez korytarz do kajuty Colleya. Znacznie dziwniejsze wrażenie, niż mi się zdawało, wywarło na mnie to, że znalazłem się w kajucie na sterburcie, a więc w takiej, której prawa strona zmierza ukośnie ku dziobowi! Była lustrzanym odbiciem tej, którą zajmowałem dotychczas — miałem takie wrażenie, jakbym nagle został mańkutem! Od dziobu, jak zresztą z najróżniejszych części statku, dochodziło tu mnóstwo dźwięków. Podniesione głosy i śmiechy dobiegały też z kilku kajut. Trwały ciągle „odwiedziny”; gdyby ośmielił się uczynić coś podobnego prosty marynarz, spotkałaby go surowa kara, gdyż równałoby się to z „nielegalnym opuszczeniem statku”. Jednak wśród pasażerów i młodszych oficerów zrobił się taki ruch między jedną mesą a drugą, że na naszym końcu statku panował znacznie weselszy nastrój niż w kajucie sir Henry\*ego.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Entrez!

Był to Summers. Miał na sobie swój zwykły, znoszony mundur, na jego twarzy zaś malowało się zaniepokojenie.

— Panie Talbot, co to znaczy?

— Człowieku, czemuż nie przebrał się na bal?

Zignorował moje pytanie.

— Zmieniłeś kajutę!

— A, o to chodzi. Może się zdarzyć, że weźmiemy na pokład pannę Chumley.

— Edmundzie, przecież to nonsens!

— Charlesie, nie jestem dziś w pełni sił umysłowych. Może odłożymy dyskusję na później?

— Rzeczywiście nieźle oberwałeś w głowę, ale kajuta Colleya...

— Nie mogę przecież skazać panny Chumley na spanie na koi, na której ten nieszczęśnik umarł ze wstydu! Summers pokręcił głową i wcale się nie uśmiechał.

— Ale czy nie rozumiesz...

— Ach, dajże już spokój, człowieku! Czemuż nie przebrał się na tańce?

Mimo opalenizny widać było, jak oblewa się rumieńcem.

— Nie wybieram się na bal!

— Metodysta!

— Jak już ci kiedyś mówiłem, nie nauczyłem się tańczyć, panie Talbot — oznajmił dumnie. — Nie miałem okazji poznać się z kadryłami, allemandami

i walcami. Zapomniałeś, że mojego stanowiska dochrapałem się zaczynając od służby pod pokładem?

— Przecież żeglarze tańczą!

— Nie tak, jak państwo.

— Nadal cię to gryzie, Charlesie?

— Od czasu do czasu. Ale sam zgłosiłem się do pełnienia wachty podczas balu — jeśli, oczywiście, zerwie się wiatr.

108

— Los nie byłby chyba aż tak bezlitosny...

— Będę skracał sobie czas, spacerując po mostku i rozmyślając o naszej nagle odmienionej przyszłości.

— Odmienionej? Dlatego, że zawarto pokój? Nie, szanowny panie. Pilnie nauczyłem się historii i wiem, iż nic się nie zmieni. Historia uczy tylko jednego: że nikt nie uczy się od historii.

— Kto to powiedział?

— Ja. Nie wątpię, iż ktoś powiedział to przede mną, a inni powiedzą to po mnie — z równie nikłym skutkiem.

— Jesteś cynikiem.

— Kto, ja? Gdybyś tylko wiedział, drogi Charlesie... Jestem podekscytowany i... — słowo „zakochany” zadrżało mi na ustach, lecz resztki rezerwy, jakie zachowały się jeszcze w moim usposobieniu, nie pozwoliły mi go wypowiedzieć... — w stanie lekkiego zamroczenia, wywołanego częściowo niewielką ilością brandy, częściowo faktem, że nie spałem chyba od kilku dobrych lat!

— Te uderzenia w głowę...

— Sam je sobie zawdzięczam.

— Na Alcyone mają cyrulika.

— Ani słowa, Charlesie! Na pewno nie pozwoliły mi iść na bal, a o tym nie chcę nawet myśleć!

Summers pokiwał głową i wyszedł. Z odgłosów, jakie teraz mnie dobiegały zrozumiałem, że zbliża się godzina „przedstawienia”. Otwarłem drzwi mojej nowej komórki i wmieszałem się w tłum dążący teraz korytarzem w kierunku schodków, skąd mieliśmy oglądać przedstawienie, przygotowane przez załogę. Jak dziwnie było patrzeć na przechodzące obok mnie panie: pannę Granham w kolorze niebieskim, panią Brocklebank w zielonym, pannę Zenobię we wszystkich kolorach tęczy! Jednak rozbawienie, w jakie wprawiło mnie to uroczyste zgromadzenie, w niczym nie dorównywało zdumieniu, jakie ogarnęło

109

nonie, gdy znaleźliśmy się na śródokręciu! Po pierwsze zmierzch ustąpił już nocy, nocy ciemniejszej niż zwykle z powodu wilgotnej mgielki, która wciąż spowijała oba statki. W tym morzu nocy znajdowała się wyspa, nasza wyspa, nasz cały świat, obecnie tak przystrojony światłami, że miał stanowić mikroskopijny punkcik wśród bezkresnych odmętów, urósł do rozmiarów olbrzymiej areny. Marynarze wszędzie porozwieszali latarnie, a że niektóre z nich miały kolorowe szkiełka, nasze ulice i place były nie tylko jaśniejsze niż w dzień, lecz również zalane wszystkimi barwami tęczy. Wszędzie wisały chorągiewki, girlandy, korony i berła z kwiatów, zbyt wielkich, by uważać, że są prawdziwe. Dodajmy do tego teraz olśniewające stroje pań, blask mundurów oraz skrzypce, trąbki i bębny orkiestry sir Henry'ego, których wesołe dźwięki wydobywały się z jakiejś ukrytej jaskini, gdzieś na dziobie naszego statku! Damy i oficerowie z Alcyone wyszli właśnie na swój plac i podążali pochodem ulicą, która przedtem była trapiem na nasz, większy plac. U wejścia młody pan Taylor, wystrojony jak na wesele, pomagał paniom przedostać się bez szwanku, co czynił z przesadną jak na swój niepoważny wiek atencją! Musiałem w końcu zbliżyć się, by uwolnić od niego pannę Chumley, gdyż robił wszystko, byle przedłużyć jej przejście po trapie. Z niejaką stanowczością odpędziłem kilku poruczników i, nie bawiąc się w żadne uprzejmości, usadziłem pannę Chumley po lewej ręce kapitana Andersona, sam zajmując miejsce przy jej drugim boku. Jeżeli załoga nazywa mnie w żartach „lordem Talbotem”, mam chyba prawo choć raz skorzystać z mojej reputacji! Spodziewam się, że podobna determinacja i powodzenie towarzyszyłyby mi przy abordażu, gdyby do niego doszło. Po prawej stronie kapitana Andersona zasiadła lady Somerset.

Sir Henry powstał, a wraz z nim całe zgromadzenie na dziobie i na rufie. Orkiestra zagrzmiała jeszcze donośniej; z wielką powagą wykonano „Boże, chroń króla”. Gdy przebrzmiał hymn i wszyscy chcieli na powrót zająć miejsca, przed front wystąpił jeden z marynarzy i odśpiewał „Panuj, Brytanio”; refren powtarzali wszyscy z wielkim zapałem i radością. Potem wznoszono wiwaty ku czci naszego króla, króla Francji, księcia regenta, imperatora Rosji, a potem już za obecnych, a więc ku czci sir Henry'ego i jego małżonki, kapitana Andersona... i, klęć się na Boga, gdyby sir Henry nie wygłosił paru świetnie dobranych słów podziękowania, wiwatom nie byłoby końca! Wreszcie jednak dane nam było zasiąść. Rozpoczęło się przedstawienie. Wystąpił jakiś niski i podstarzały czelczyzna, recytując orację, spisana w jego mniemaniu wierszem — przysięgam, że w życiu nie słyszałem równie koślawych kupletów.

Sir Henry Somersecie, kapitanie Andersonie Pokój już zawarto, morze i ląd nie płonie. Więc teraz błagamy pokornie i panów, i panie, Pozwólcie się nam zbliżyć i złożyć uszanowanie.

Moim pierwszym odruchem było uczucie litości i wstydu za tego osobnika. Teraz jednak, gdy o tym myślę, muszę przyznać, że cichy, lecz niezaprzeczalnie pensjonarski chichot panny Chumley nie miał w sobie ani krztyny współczucia. A przecież człowiek ten umiał czytać i pisać — i samo to już było niezwykle. Jego łysina błyskała ku nam odbitym światłem latami. Trzymał w dłoni kilka kartek. Po niejakiem czasie zorientowałem się, że owo przemówienie miało wielu autorów. Nie przyszło im na

myśl, może nie starczyło papieru, a może doświadczenia w podobnych sprawach, by całość przepisać jeszcze raz na czysto! Patrzył więc to na jedną kartkę, to na drugą, i jeszcze na trzecią, którą trzymał do góry nogami, przez co musiał chować ją za plecami i zaglądać sobie pod pachę, przemawiając do nas w tej pozycji. Jeden ze współtwórców miał chyba poważniejsze ambicje poetyckie, bo w jednej chwili górnołotnie pisał o tym, jak to Francuzi

...Na próżno orali

Dziobami swych statków pienne fali,

a już parę linii poniżej porzucał wszelkie metafory, głosząc:

Wygraliśmy wojnę zmęczony się srodze,

Już tylko przekłęci Jankesi stoją nam na drodze...

Pochyliłem się ku pannie Chumley i już miałem powiedzieć, jak bardzo jestem tym wszystkim zażenowany, gdy szepnęła mi zza wachlarza, że nie ubawiła się tak od czasu, gdy słuchała kazania, wygłoszonego przez biskupa na jej bierzmowaniu! Wpadłem w zachwyt — a więc to niebiańskie stworzenie jest takie dowcipne — i miałem właśnie wyznać, że jeszcze mocniej przywiązała mnie do siebie, gdy przerwał mi ryk śmiechu od strony forkasztelu...

— Co on powiedział, proszę pani?

— Coś o jakimś Billym Rogersie. Kto to?

Byłem oczywiście oburzony, ale ukryłem to

przed nią.

Ś

— To jeden z naszych marynarzy.

Ledwo jednak odwróciłem się z powrotem ku „scenie”, usłyszałem, że:

Pan Prettiman i jego pani ślub wnet wezmą w Panu,

Bo chcą zaoziącać całą partię małych republikanów...

Trzeba przyznać, że załoga pozwalała sobie trochę za wiele. Z przykrością stwierdzam, że śmiechowi marynarzy towarzyszyły głośne brawa, zupełnie już nic na miejscu, wśród dostojniejszej części publiczności. Tyle było z tego pożytku, że nasz pan filozof spuścił wzrok i zapłonił się zupełnie jak jego groźna narzeczona — i jej też zdarzyło się to, przynajmniej raz w żydu. Zaczęło mi świtać w głowie, że nastąpi teraz seria bezkarnych żartów, i z niejakim rozbawieniem wysłuchałem aluzji do pana Brocklebanka i nawet usiłowałem zachować kamienną twarz (ach, jaki ryk odezwał się z forkasztelu!), gdy, opisując wiatr, mówca powiedział:

Ryczał tak, że zbudziłby nieboszczyków ciała

Albo jak „lord Talbot”, gdy rąbnął się w głowę

przy działach.

Zaraz jednak wynagrodzono mi tę obrazę, a nad moją i panny Chumley głową rozjarzyło się słońce, gdy rzekła surowo:

— Co za złośliwość!

— Jakie masz dobre serce, moja...

Och, nie śmiałem nawet użyć tego prostego, miłego, bezpośredniego „moja droga” względem tej uśmiechniętej dziewczyny, którą znam od chwili, gdy Bóg wyciągnął z Adama pierwsze żebro!

— ...panno Chumley.

Kuplety ciągnęły się dalej, jeden za drugim, aż

wreszcie zakończyły się konkluzją, która nie dotyczyła jednak ani służby, ani wierności\* lecz pożywienia! Jeśli przedstawienie to można porównać do statku, naprawdę poszedł on na dno! Główna myśl ostatniego fragmentu sugerowała, że powinniśmy teraz podążać do któregoś z portów Ameryki Południowej i zaopatrzyć się tam w świeże mięso i zieleninę. Ja sam nie mam najmniejszych powodów do narzekań na to, co nam serwują, i chciałem właśnie podzielić się tą uwagą z moją piękną sąsiadką, gdy usłyszałem:

Uważamy,

Że od żarcia na tym statku takie wiatry mamy, Aż dziw bierze, że one nie pchnęły tej balii Przez całe wielkie morze do samej Australii.

Sir Henry wybuchnął głośnym śmiechem i rzucił Andersonowi jakiś żart. Mały Tommy Taylor śmiał się tak, że aż spadł z krzesła. Ku mojemu zdumieniu na tym skończyła się oracja; mówca skłonił się, czy raczej dygnął, po czym wrócił do tłumu emigrantów

i marynarzy, stłoczonych u wejścia do forkasztelu

i schodków na pokład dziobowy. Ci nagrodzili go gorącymi brawami] skandowano też: „Świeże żarcie, świeże żarcie!”, ale okrzyk ten szybko ucichł. Miejsce mówcy na pokładzie zajęła teraz pani East! Musiała już dojść do siebie po poronieniu, przynajmniej na tyle, by poruszać się o własnych siłach, ale nadal była straszliwie wychudzona, jak po ciężkiej chorobie.

— To pani East.

— Pan ją zna?

— Słyszałem o niej. Była śmiertelnie chora. Doszło do... Ledwo wyżyła, biedactwo.

Pani East zaczęła śpiewać!

Efekt był zupełnie niespodziewany. Na miasto spłynęła absolutna cisza, której nie mącił żaden ruch, żaden dźwięk. Kobieta stała, odziana w najprostszą sukienkę, złożywszy przed sobą dłonie, w postawie tej podobniejsza dziecku niż dojrzałej niewieście — wrażenie to potęgowało jeszcze fizyczne wyniszczenie. Śpiewała bez towarzyszenia jakiegokolwiek instrumentu, ale głosem swym potrafiła uciszyć rozgrzanych alkoholem marynarzy. Dziwna to była pieśń, dziwna i nieskomplikowana zarazem. Nazywała się „Dziewczę o poranku”, a choć prosta jak polna róża, wciąż prześladowała mnie jej brzmienie — ach, nie ze względu na panią East, już raczej ze względu na samą melodię i słowa — tak jak dźwięki gwizdków bosmańskich prześladowały mnie po pogrzebie nieszczęsnego Col- leya. Nie przeczę, że nadal czułem zamęt w głowie, że zapomniałem już niemal, co to sen — a jednak, podobnie jak tamte gwizdki, pieśń ta odmieniła wszystko. Wprowadzała nas, a raczej m n i e w świat zamków, jaskiń, otwartych przestrzeni, do nowych pałaców uczuć — jakie to wszystko niedorzeczne

i nieprawdopodobne! Łzy, które potrafiłem powstrzymać u wejścia w nowe życie, popłynęły teraz. Nic na to nie mogłem poradzić. Nie były to łzy smutku czy radości, lecz — sam nie wiem, jak to w ogóle możliwe — łzy zrozumienia! Pieśń dobiegła końca, a milczenie trwało, jakby ludzie załogi wsłuchali się w echo, nie chcąc wierzyć, że cichnie w oddali. Potem rozległo się jakby stęk- nięcie i wreszcie długie i na pewno najszczęsze brawa. Panna Chumley złożyła wachlarz, puściła go, tak że zawisł na jej małym paluszku i trzykrotnie złożyła dłonie.

— Dobrze śpiewa, prawda, proszę pana?

— O tak.

— No, mój nauczyciel śpiewu życzyłby sobie wnące; tremolo i, rzecz jasna, więcej ćwiczeń.

— Tak, chyba tak.

— Ależ panie... Pan...

— Błagam o wybaczenie. Proszę pamiętać, że po tym uderzeniu w głowę nie jestem w pełni...

— To ja powinnam prosić o wybaczenie! Podoba mi się pańska wrażliwość. Pieśń była doprawdy wzruszająca, dobrze i czysto zaśpiewana. I jaka naturalna! Proszę! Czy teraz jest pan choć trochę szczęśliwszy?

— Pani, uszczęśliwia mnie każde jej słowo.

— Po odniesieniu takich ran musi pan przejść długą rekonwalescencję! Nie może pan od razu przeżywać tyle wzruszeń. Proszę spojrzeć! Teraz chyba będą tańczyć matelota, więc możemy rozmawiać bez obawy, że zagłuszymy muzykę. Czy wie pan, że kiedyś musiałam napisać wypracowanie na temat: „Sztuka a Natura”? Nie do wiary! I choć młode damy są niestety zbyt potulne — czy może powinnam powiedzieć: zbyt pełne poczucia obowiązku — podczas gdy pozostałe koleżanki bardzo wymownie broniły Natury — wie pan, ostatnio modna jest wiara w Naturę — ku swemu zdziwieniu odkryłam, że wolę Sztukę! Wtedy to właśnie stałam się osobą dorosłą. Byłam chyba jedyną młodą damą w mojej szkole, która twierdziła, że sieroty są ofiarami Natury, a ich nadzieją jest właśnie Sztuka. Muszę panu powiedzieć, że potraktowano mnie bardzo srogo.

— Mieliz serce...

— Niestety!

— Jestem już w pełni sił i jeszcze raz proszę panią o wybaczenie.

— Tak się cieszę! Prawdę mówiąc, dla pana naraziłam się na duże niebezpieczeństwo, wspominając o tym nieszczęsnym wypracowaniu. Gdyby lady Somerset się dowiedziała, że wygłaszałam jakieś opinie przeciwko Naturze, byłaby głęboko wstrząśnięta. Jest przeświadczona, że Indie są rajem Natury. Obawiam się, że bardzo się rozczaruje.

— A pani?

— Ach, cóż ja? Moje oczekiwania nie mają tu najmniejszego znaczenia. Młode damy są jak statki, drogi panie. Nie one decydują, co się z nimi stanie i dokąd popłyną.

— Zasmuca mnie ta opinia.

— Och, może coś da się zrobić! Panie, tylko nie bądź pan smutny!

— Co mamy począć?

— Jak to? Cieszymy się tym przedstawieniem, bałem i... i towarzystwem! Czyż mogę wyrażać się jaśniej?

Matelota odtańczono znacznie gorzej, niż widuje się to zwykle w teatrach. Potem na „scenie” pojawiło się ośmiu tancerzy w chałatach i słomianych kapeluszach. W rękach dzierżyli drewniane miecze, które, chodząc w koło, unosili w górę, złączywszy je sztychami, co spotkało się z dość leniwym aplauzem publiczności. Dwóch innych nakryło się kocem i udawało konika, który popełniał tyle nie- przyzwoitości, ile tylko mógł i gonił za co młodszymi kobietami. Potem, zataczając krąg, zaczął podkraść się do miejsca, gdzie siedziały damy, ale tam zaraz powiedziano mu ostro, żeby wracał, skąd przyszedł. Tak też uczynił, ale za pomocą jakiegoś prostego mechanizmu podniósł ogon w taki sposób, że gdyby uczynił to prawdziwy koń, jego woźnica natychmiast straciłby pracę! Wreszcie sir Henry wstał, dziękując załodze za przedstawienie i życząc wszystkim, by cieszyli się nowo zawartym pokojem. Orkiestra zajęła teraz inne miejsce i rozpoczął się nasz kadryl. Załoga, udając, że nie rozumie aluzji sir Henry’ego, tłoczyła się w każdym miejscu, skąd był dobry



widok; wśród marynarzy panował istic szampański humor. Mógłbym teraz przytoczyć rozmowę, jaką prowadziliśmy z panną Chumley, wydaje się jednak, że była dość banalna. Pomimo tego, co piszą w powieściach, komuś, kto wyszedł z wprawy, bardzo trudno równocześnie tańczyć i rozmawiać. Nie uzyskawszy ode mnie większej pomocy panna Chumley również milczała. Poruszaliśmy się w tańcu w poczuciu jedności nie wiem czy nie miłszej od najpiękniejszych słów.

Mimo to w pewnej chwili poczułem lekkie zaniepokojenie. Oto Deverel, choć ciążył na nim areszt i zakaz picia, wbrew wszelkim rozkazom dołączył do towarzystwa. Ponieważ oficerowie przyszedli na bal bez broni, Deverel niczym nie wyróżniał się spośród innych panów i mógłby, nie zauważony, brać udział w balu. Ja jednak dostrzegłem od razu, że pił już wcześniej, teraz zaś, gdy roznoszono kieliszki wina i innych trunków, porwał jeden i wychylił go do dna, wbrew wyraźnemu zakazowi kapitana. Potem poprosił pannę Chumley do tańca, tymczasem ja — bez najmniejszej ochoty, a za to z dobrze udawanym zapałem — zatańczyłem z lady Somerset. Tak zajęty byłem skomplikowanymi krokami i wyuczoną konwersacją partnerki, że tylko od czasu do czasu mogłem sprawdzić, jak też zachowuje się Deverel. Widziałem jednak, że nie jest może nachalny, lecz na pewno bardzo przymilny. Lady Somerset wygłosiła opinię, że kroki i kolisty ruch allemande czynią ten taniec bardziej naturalnym — zapewne miała na myśli większą zbieżność z Naturą — niż uroczysty kadryl.

O Boże, co ten Deverel wyprawia z dłonią Marion! Lady Somerset chwaliła wysiłek naszej załogi, która tak wyszorowała pokład piaskiem, że prawie, prawie przypomina parkiet prawdziwej sali balowej. Deverel wyraźnie przysunął się do swej partnerki! Zmyliłem nogę.

— Ależ, panie! Teraz prawa! Prawa!

Jakoś udało się nam złapać z powrotem rytm. Zacząłem błagać lady Somerset, by pozwoliła swej protegowanej przesiąść się na inny statek — mamy wolne miejsce — bo czyż można skazywać tak delikatną osobę na podobne cierpienia... Ale lady Somerset na moje pierwsze słowa przestała kołysać się w tańcu, wykazując niespodziewanie zdrowy rozsądek i, jak teraz to widzę, dalekowzroczność.

— Ależ panie! Oboje wiemy dobrze, o czyje cierpienia, obecne i przyszłe, naprawdę panu chodzi!

— Nie pozwolę, by jakiegokolwiek okoliczności odwiodły mnie od zamierzonego celu!

— Oto słowa godne młodego kawalera! Zresztą całe to zdarzenie jest jakby rodem z poezji, ja zaś, wielbicielka muz, muszę odgrywać rolę, którą ośmieszają wszyscy poeci!

— Ależ nie, pani!

— Ależ tak. Gdyby nie ucierpiał pan na skutek doznanych ran i myślał racjonalnie, na pewno przyznałby mi pan rację. Marion jest pod moją opieką i musi pozostać na Alcyone. Nie ma co do tego dwóch zdań. W świetle dziennym oprzytomnieje pan, a wtedy...

Urwała i przez chwilę tańczyliśmy w milczeniu. Miałem wrażenie, że panna Chumley traktuje Deverela jak impertynenta. Nic nie mogłem uczynić. Mimo to...

— Jeśli góra nie przyjdzie do Mahometa...

Taniec dobiegł wreszcie końca, co powitałem z ogromną ulgą, i z podobnym uczuciem zauważyłem, że panna Chumley ledwo pozwoliła Deverelowi odprowadzić się na miejsce. Oddawszy lady Somerset jej mężowi powróciłem do panny Chumley, po to tylko, by ujrzeć rozpartego na mym krześle Deverela.

— O, panie Deverel, zdaje się, że zajął pan moje miejsce!

— A, Edmund lord Talbot. Gratuluję awansu, mój chłopcze. Dzięki temu stajesz się człowiekiem najwyższej rangi na całym Atlantyku, co na pewno stanie kością w gardle staremu burczymusze i pierdzielowi!

Panna Chumley, która nie zdążyła jeszcze usiąść na dobre\* pośpiesznie poprosiła\* byśmy wyszli zacerpnąć świeżego powietrza, gdyż\* jak powiedziała wachlując się energicznie, atmosfera stała się nie do zniesienia dla kogoś, kto dopiero co przybył z Anglii. Podałem jej ramię. Razem podeszliśmy do relingu na mostku\* gdzie, na całe szczęście, można było odpocząć, przynajmniej od doku. Ach\* gdybym choć mógł zapelnąć tło naszego dialogu krajobrazem tropikalnej nocy — gwiazdami, atramentowo ciemnym morzem\* rozgwieżdżonym i lśniącym, lecz cóż! Los dawno już roztrwoniał całe to piękno na moje igraszki z panną Brocklebank. Jakże teraz wstydzilem się ich — choć to przecież śmieszne, czułem się przez nią zbrukany! Zapragnąłem zmyć z siebie tę nieczystość, by nie przekazać jej stojącemu teraz obok mnie młodemu, delikatnemu stworzeniu! I kto tu jest gorliwszym metodystą? Widok, jaki rozciągał się wokół nas, odpowiadał raczej stanowi, w jakim się znalazłem: gęsta mgła, cuchnąca już na skutek tego, że dwa zatłoczone statki od dłuższego czasu tkwiły w tym samym miejscu! Staliśmy przy relingu twarzą w twarz. Ja spoglądałem w dół na nią, ona w górę na mnie. Wachlarz poruszał się coraz wolniej. Jej usta poruszyły się, tworząc kształty słów, lecz ich nie wypowiadając. Nikt z krwi i kości nie wytrzymałby tego dłużej.

— Pani, znajdę jakiś sposób... Nie możemy się rozstać! Czy nie czujesz tego, nie rozumiesz? Ofiaruję pani — cóż mogę ofiarować? Chyba zaprzepaszczonej karierę, i cześć do ostatniego tchu, i...

Ale ona na wpół odwróciła się ode mnie. Popatrzyła

w dół, ku śródokręciu\* potem nagle okręciła się

i spojrzała w przeciwną stronę, dysząc ciężko. I ja zerknąłem w dół. Deverel właśnie opuszczał kieliszek, który uniósł w jej kierunku, potem zatoczył się trzy kroki w bok, wyciągnął lewą rękę i wsparł się o maszt.

Skrzyżował nogi, porwał kolejny trunek z tacy\* którą przenoślił przed nim Phillips\* uniósł kieliszek gestem, w którym odczytałem buńczuczne wyzwanie i przepił wprost do kapitana Andersona! Należy pamiętać, że wszystko to zdarzyło się na oczach załóg obu statków — na oczach wszystkich mieszkańców miasta!

Zobaczyłem, że kapitan Anderson patrzy na niego wilkiem i pochyla się w swym fotelu; wiedziałem, choć nie był odwrócony w moją stronę, że wysuwa w przód swą groźną szczękę! Nie rozpoczął się jeszcze kolejny taniec, muzyka nie grała, usłyszałem więc, jak wszyscy obecni, każde z gniewnych słów kapitana.

— Panie Deverel, został pan aresztowany i zakazano panu spożywania alkoholu. Proszę natychmiast powrócić do swej kajuty i nie ruszać się stamtąd!

W życiu nie widziałem równie wściekłego spojrzenia jak to, z którym Deverel słuchał rozkazu. Uniósł kieliszek, jakby chciał nie wypić go, lecz rzucić w kapitana... ale zwyciężyły w nim widać resztki zdrowego rozsądku, bo odwrócił się i chlusnął trunkiem do spływnika.

— Chryste, Anderson!

Do Deverela rzucił się Cumbershum; już trzymał go za ramię.

— Siedź cicho, głupcze! Nic nie mów!

Szarpnął nim niecierpliwie i na wpół poprowadził,

na wpół zaciągnął na rufę. Nagle wszyscy zaczęli rozmawiać, tu i ówdzie buchnął śmiech. A potem zagrała muzyka.

— O pani, zostańmy tu, gdzie jesteśmy!

— Nie mogę rozczarować waszego pana Taylora.

— Małego Tommy'ego Taylora? Wielki Boże, a to beczelny smarkacz! Już ja go wytargam za uszy... O, proszę spojrzeć! To właśnie on, a za jedno z tych uszu prowadzi go nasz pan Askew. Musiał widać coś przeskrobać! Straciłaś pani partnera, więc możemy zostać tu, na rufie po zawiętrznej stronie, aż do następnego tańca, do którego znów panią poproszę. Czy będzie pani stawiać opór?

— Jestem pańską branką.

— Gdybyż tak było! Jest pani jednak litościwa i nakłoni ucho mej serdecznej prośbie.

Znajdujący się pod nami sir Henry i kapitan Anderson powstali.

— Czy mogę prosić na słowo, sir Henry? Może na mostku?

Obaj kapitanowie wspięli się po schodkach na mostek. Panna Chumley szepnęła do mnie.

— Czy nie powinniśmy wracać?

Położyłem palec na ustach. Obaj panowie minęli nas i weszli na drugie schodki. Zaczęli spacerować tam i z powrotem, więc gdy zbliżali się do miejsca, w którym staliśmy, głosy ich docierały do nas wyraźnie, a potem cichły, gdy szli w przeciwną stronę.

—...on jest z t y c h Deverelów, prawda? Paskudna sprawa!

Znów zawrócili...

— Nie, nie, Anderson. Nie ma czasu na sąd wojenny. Wie pan, że nakazano mi pośpiech.

I jeszcze raz...

— ...nadzieję, że w podobnej sytuacji uda się panu ograniczyć zarzuty do takich, za które masz pan prawo sam wymierzyć karę... Młody głupiec! I do tego jeszcze Deverel! Nie, nie, Anderson. To pański statek i pański oficer. Ja niczego nie słyszałem, rozumiesz pan, ja byłem zajęty rozmową z narzeczoną Prettimana. Wspaniała kobieta.

panna Chumley jeszcze raz szepnęła:

—Myślę, że naprawdę powinniśmy wracać!

— Przecież i tak widzi nas co najmniej połowa naszego małego świata, proszę pani, więc... Dobry Boże, a cóż oni wyprawiają?

Chodziło mi o załogę statku, która tańczyła własnego kadryla na dziobie! Była to, mówiąc bez ogródek, parodia naszego, zresztą okrutnie udana. Nie sądzę, żeby oni sami wiedzieli, jak świetnie wyszła im ta satyra! Nie umieli oczywiście wykonywać prawdziwych figur skomplikowanego tańca, ale nadrabiali to poruszając się przesadnie dostojnym krokiem, dygając i zginając się w ukłonach. Ten młodzian w spódnicy z żaglowego płótna, chwiejący się jak trzcina na wietrze przed każdym, kogo mijał, to nikt inny, tylko lady Helen! Tańczył też krępy staruch, trzymający na barana jednego z „chłopców okrętowych”. Wspólnie byli całkiem okazałego wzrostu; reszta tancerzy kłaniała im się uniżenie. A wszyscy czynili taki hałas, śmiejąc się i klaszcząc, że prawie nie słychać było muzyki. Do tego właśnie tańca młody pan Taylor miał zaprosić pannę Chumley, która teraz z błyszczącymi oczyma przyglądała się widowisku na dziobie.

— Ach, jacy oni radośni i weseli! Gdybym tylko... Przez chwilę milczała, ale ja czekałem. Wreszcie przemówiła, kręcąc głową.

— Nie rozumiałby pan.

— Więc oświeć mnie, pani.

Jeszcze raz pokręciła głową.

Tymczasem sir Henry i kapitan Anderson zeszli z mostku i z powrotem zajęli swe honorowe miejsca obok „parkietu”.

— I my też musimy już wracać.

— Jeszcze chwilkę! Muszę...

— Błagam, niech pan nic nie mówi. Proszę mi

wierzyć, że jaśniej niż pan pojmuję nasze położenie! Niech pan już nic nie mówi!

— Nie mogę rozstać się z panią, nie otrzymawszy więcej oznak przychylności niż każdy inny mężczyzna na obu statkach!

— To kotylion!

Zeszliśmy więc na dół i ustawiliśmy się do tego ostatniego tańca. Właśnie wtedy zadźwięczały szklanki i bosmańskie gwizdki, a zaraz po nich chóralne niemal rozkazy oficerów:

— Nie słyszeliście? Cicho tam! Cicho tam!

Zadziwiające, jak potulnie (mimo uprzednich złośliwości i podwójnych racji rumu) załoga udała się na stanowiska. Koniec naszej zabawy oglądała już tylko orkiestra sir Henry'ego oraz kilku emigrantów, wśród nich pani East. W tańcu nie rozmawialiśmy prawie wcale, choć, jak wiadomo, właśnie kotylion jest jakby stworzony do konwersacji. Z trudem dotrwałem do końca.

Wreszcie muzyka umilkła, choć powinienem raczej powiedzieć — albowiem taniec był teraz dla mnie nie przyjemnością, lecz cierpieniem — że skończyła się moja udręka. Niektórzy pasażerowie pożegnali się z kapitanem Andersonem i udali na spoczynek] podobnie uczynili oficerowie z Alcyone. Sir Henry zabrał małżonkę i zaczął rozglądać się dokoła, ta jednak pociągnęła go stanowczo ku trapowi. Na obu statkach gasły latarnie. Kapitan Anderson, skryty teraz w cieniu, stał przy grotmaszcie, przyglądając się temu, co jeszcze przed chwilą było „salą balową”, jakby chciał sprawdzić, jakie poniósł straty. Panna Chumley ruszyła ku trapowi. Zebrałem się na odwagę i chwyciłem ją za rękę.

— Powtarzam, nie mogę pozwolić pani odejść, nie otrzymawszy więcej oznak sympatii niż każdy inny mężczyzna na obu statkach! Jeszcze choć przez chwilę...

— Ale ja jestem Kopciuszkim, który musi ucie- kać...

— Już lepiej powiedz pani, że odjeżdżasz swym czarodziejskim powozem.

— Przecież zmieniłby się w dynię!

Z pokładu Alcyone dobiegł nas słodki głosik lady Somerset:

— Marion, kochanie!

— Powiedz więc, że znaczę dla ciebie więcej niż inni panowie...

Zwróciła się ku mnie i zobaczyłem wtedy, że oczy błyszczą jej w mroku, i usłyszałem szept, szept płynący z głębi serca:

— Och, tak...

I już jej nie było.

I znów polały się me łzy. Dobry Boże, jakaż ze mnie cieknąca łajba\* niegdyś w ogóle wody nie przepuszcza-  
jąca\* teraz za to popękana od dziobu po rufę! Stałem jak wrośnięty w pokład\* ale tym razem nie ze strachu\*  
lecz ze szczęścia. Czy wydarzy mi się kiedykolwiek coś piękniejszego? Nie sądzę\* chyba że... Kapitan Ander-  
son odwrócił się, rzucił mi burkliwie: „Dobranoc, Talbot” i właśnie wchodził na schodki, gdy z dołu wynurzył  
się, czy raczej wytoczył, Deverel. Trzymał w dłoni kartkę papieru. Podszedł do Andersona i stanął przed nim.  
Papier pchnął ku twarzy kapitana.

— Składam rezygnację... osoba prywatna... wyzywam na pojedynek...

— Idź spać, Deverel! Jesteś pijany!

Wtedy w owym półmroku, rozjaśnionym jedynie przez dalekie światła rufowe, rozegrała się zupełnie  
niezwykła scena: oto Deverel usiłował wręczyć kapitanowi papier, ten zaś cofał się przed nim. Rozpoczęła się  
gonitwa, będąca idiotyczną, lecz zażartą parodią dziecinnego berka. Kapitan uciekał wokół grotmasz- tu —  
Deverel biegł za nim. Ten, nieświadom, że kapitan postępuje tak, by nie dać się spoliczkować — za coś takiego  
groziłaby Deverelowi nawet kara  
śmierci — krzyczał: „Tchórz! Tchórz!” i nie ustawał w pogoni. Na miejscu zjawili się Summers i pan Askew\* a  
razem za nimi pan Gibbs. Jeden z nich zderzył się z kapitanem, przez co Deverel wreszcie go dopadł. Nie wiem,  
czy do zderzenia doszło celowo, ale Deverel był bez wątpienia tego zdania, ponieważ wydał okrzyk triumfu.  
Zaraz potem zniknął pod kłębowiskiem ciał innych oficerów. Kapitan oparł się o grotmaszt i ciężko dyszał.

— Panie Summers.

Z podrygującej kupy ciał odezwał się stłumiony głos Summersa.

— Tak jest, sir.

— Zakuć go.

Odpowiedzią na to było prawdziwie zwierzęce wycie Deverela. Kupa ciał drgnęła jeszcze gwałtowniej.  
Wycie nie ustawało, oprócz krótkiej przerwy, kiedy Deverel wbił zęby w pana Gibbsa — teraz wył i kłął na  
przemian ten ostatni. Grupka szamoczących się mężczyzn ruszyła wreszcie ku kajutom na rufie, gdzie zniknęła.  
Byłem wstrząśnięty] zauważyłem cień we mgle, to sir Henry wchodził na mostek Alcyone. Miałem wrażenie, że  
patrzy na nasz statek, ale nie odzywał się ani słowem.

Obok nas przebiegł w samej koszuli młody pan Willis. Zniknął gdzieś na dziobie. Kapitan Anderson stał  
nad złożoną kartką papieru, leżącą na pokładzie. Oddychał ciężko i szybko. Po chwili odezwał się do mnie:

— Panie Talbot, nie przyjąłem tego. Jest pan świadkiem.

— W jakim sensie pan tego nie przyjął, kapitanie?

— Nie wziąłem tego do ręki. Nie wykonałem żadnego ruchu, żeby to wziąć do ręki.

Nic nie odpowiedziałem. Wracał młody pan Willis, a za nim szedł jeden ze starszych marynarzy, niosąc w  
ręce coś, co rytmicznie pobrzękiwało.

— A to kto, u diabła?

— Kowal — odparł Anderson ze swą zwykłą opryskliwością. — Przyda się przy krępowaniu więźnia.

— Dobry Boże! Dobry Boże!

Nadbiegł Summers.

— Sir, on teraz leży bez ruchu. Zupełnie opadł z sił. Czy nie uważa pan...

Czułem prawie, że kapitan patrzy na niego wilkiem.

— Proszę wykonać moje rozkazy, panie Summers. Jeżeli jest pan taki delikatny, otrzyma pan później ich potwierdzenie na piśmie.

— Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

— A teraz zajmijmy się tym papierem. To dowód rzeczowy. Proszę zauważyć, że nawet go nie dotknąłem. Bardzo proszę podnieść go i przechować do późniejszego okazania.

— Tak jest, sir.

— Panie Talbot, czy widział pan, jak wszystko się odbyło?

Nie odpowiedziałem.

— Panie Talbot!

Jak będzie najlepiej dla nieszczęsnego Deverela? W mojej głowie, zajętej już tylko jednym: przytłaczającą nieobecnością Marion Chumley, mojej jedynej, mojej świętej, nie starczyło już miejsca na surowość prawa i roztropne kalkulacje!

— Nie zamierzam mieszać się do spraw służbowych.

Kapitan wydał z siebie dwukrotny dźwięk, który pisarze oddają najczęściej literami: „Ha! Ha!” W tym jednak przypadku byłoby to nie tylko niedokładne, lecz i mylące, ponieważ dźwięki te stanowiły wysoce niepoehlebny komentarz na temat mojej osoby i mojego postępowania, a z wesołym śmiechem nie miały nic wspólnego. Być może o takim właśnie dźwięku

pisze Stary Testament, że wydaje go rumak „wśród boju”. Anderson wyrażał swą opinię o mnie w sposób, którego nie można przelać na papier i użyć jako dowodu rzeczowego. To jasne, że opinia ta była niepoehlebna. Ale wszelkie doznania tłumilo we mnie oczarowanie, zachwycenie, nic nie tracące ze swej słodyczy, i potrzeba, by w samotności położyć się i czekać, aż — po ilu to już dniach i latach — przyjdzie na mnie sen.

Rozzłościł mnie.

— Do diabła, a czego pan ode mnie oczekuje? Podobnie jak pan jestem świadom wszystkich okoliczności oraz ich następstw...

— Nie sądzę, proszę pana.

— Całkiem możliwe, że w sądzie liczyć się będzie każde słowo, więc nie zamierzam wypowiadać się pochopnie!

Kapitan Anderson znów popatrzył na mnie wilkiem w gęstniejącym mroku, a potem, szybko skinąwszy głową, odwrócił się i pomaszerował na mostek. Chwyciłem się za głowę; gdzieś spod pokładu dochodziły ohydne dźwięki uderzeń młota o żelazo. Zbliżyłem się do trapu, nawet teraz pilnowanego przez dwóch żołnierzy po obu stronach przejścia. Wróciłem tą samą drogą, wspiałem się na palcach na mostek i przechyliłem przez reling, zastanawiając się, czy uda się mi odnaleźć fragment drewnianej ściany, za którym może usiłuje zasnąć Marion. Po pokładzie Alcyone zbliżył się do mnie sir Henry.

— Sir Henry!

— Co za piekielna awantura! Teraz już wszystko w porządku?

— Sir Henry, muszę z panem pomówić!

— O Boże! No cóż, niech nie gadają, że Somerset nie wysłuchał FitzHenry’ego. Włóż na pokład, chłopcze... Nie, nie tędy, do diabła! Chcesz wpaść do wody? Tamtędy, po trapie!

w

Poszedłem więc we wskazane miejsce. Spotkaliśmy się u wejścia na rufę.

— A więc chodzi pewnie o małą Marion, co? To czarujące dziewczę, mój chłopcze, ale na korespondencję musicie mieć zgodę lady Somerset...

— Nie, nie, sir Henry, chodzi mi o znacznie więcej!

— Dobry Boże! Czy ta mała błaznica...

— To sama słodycz, proszę pana. Błagam pana, niech mnie pan weźmie na Alcyone.

— Dobry Boże! Czyś ty...

— Jestem Mahometem.

— Dobry Boże! Piłeś, tak, na pewno piłeś! A niech to!

— Nie, sir. Chciałbym popłynąć na...

— Chłopcze, co ty bredzisz? A twoja kariera, twój ojciec chrzestny, twoja matka, niech to diabli!

— Ale...

Ale co? Ale co?

— Wszystko bym dla ciebie zrobił, chłopcze, ale to przesada!

— Błagam pana!

— A, zapomniałem. Przecież ty nieźle oberwałeś w głowę, chłopcze! No, to teraz cię odprowadzę!

— Proszę mnie puścić!

— Bywaj tam który!

Charles Summers i Cumbershum wyrosli przy mnie jakby spod ziemi; pomagał im chyba jeden z wartowników przy trapie. Gdy wlekli mnie z powrotem na mój statek, myślałem tylko o jednym: że jeżeli Marion słyszała całe zajście, na pewno nigdy mi nie wybaczy... A potem znalazłem się na własnej koi. Wheeler ściągał ze mnie spodnie i ineksprymab- le. W powietrzu unosił się silny zapach środka uśmierającego.

Tego, co działo się potem, nie da się oddać bez naturalnych zdolności Colleya w sztuce opisu. Nie pamiętam też, kiedy chwyciło mnie delirium ani, co jeszcze dziwniejsze i straszniejsze, kiedy wydarzyło mi się to poprzednio! Opowiadano mi tylko potem, że cyrulik, wyrwany z koi w środku nocy, rzeczywiście musiał przyjść na nasz statek i zbadać mnie, choć czegoś takiego zupełnie sobie nie przypominam. A może posiłek na pokładzie Alcyone i wszystkie następne wydarzenia przyśniły się po prostu młodzieńcowi, trawionemu prawdziwą, fizyczną gorączką po trzykrotnie odniesionych ranach? Ale nie. Zapewniono mnie, że wszystko to wydarzyło się naprawdę, i że zachowywałem się jak każdy zdrowy, miody człowiek — to jest aż do chwili, gdy po ciemku udałem się na sąsiedni statek na rozmowę z sir Henrym. Wtedy to, zupełnie jakby puściły we mnie wszelkie hamulce, doznałem przejściowego zaburzenia rozumu. Oczywiście pamiętam, że nie walczyłem, lecz wrywałem się ludziom, którzy usiłowali mnie powstrzymać. Pamiętam też, z jaką desperacją starałem się wytłumaczyć wszystkim, że moja przesiadka na Alcyone jest absolutnie konieczna; jednak moi pielęgniarze czy strażnicy wzięli to za kolejny dowód zaburzeń umysłowych, wywołanych przez doznane urazy głowy! Potem, gdy ściągali ze mnie odzienie, zorientowałem się, że nie potrafię powiedzieć czego chcę, i że z ust wydobywa mi się opętańczy bełkot. Znajdowałem się w kajucie Colleya, ponieważ najpierw wnieśli mnie do tej, którą zajmowałem dotąd, zobaczyli oczywiście, że jest pusta i zaraz musieli wlec mnie na drugą stronę korytarza. Tam rzucili mnie, nie bez narażenia mojej głowy na kolejny uszczerbek, na koję, która zawsze przypominać będzie tego nieszczęśnika. Powiedziano mi potem, że cyrulik mógł tylko doradzić odpoczynek, a zresztą obiecywał, że w końcu wyzdrowieję, bo czaszkę mam nienaruszoną. Leżąc, przywożdzony przez mych oprawców do koi, gadałem ponoć za dwóch

rzeczy, których ani oni, ani ja sam nie rozumiałem. Wreszcie udało im się jakoś wlać mi do ust środek uśmierzający, i to w takiej dawce, że zaraz zacząłem śpiewać tak radośnie, jakbym znajdował się już w anielskim chórze. Śpiewając więc i płacząc z radości zapadłem w końcu w sen, który można chyba nazwać zdrowi ciel skim.

Jeżeli uzdrowienie ma polegać na pełnym uzmysłowieniu sobie sytuacji, w jakiej się znajdujemy, gorąco polecam wszystkim chorobę. Od czasu do czasu wypływałem na powierzchnię świadomości; albo, jeżeli opiaty miały zanieść mnie do jakiegoś siódmego nieba, należałoby powiedzieć, że od czasu do czasu dawałem nura w świadomość, nigdy jednak jej nie osiągnąłem. Pamiętam twarze — Charlesa Summersa, jak można by się spodziewać, panny Granham, pani Brocklebank. Mówiono mi, że błagałem pannę Granham, by mi coś zaśpiewała. O Boże, jak poniżającym stanem bywa delirium! Te obmierzłe a poniżające zabiegi przy chorym! Poza tym było też inne poniżenie, to, które zawdzięczam sobie samemu — choć znów jeżeli można mieć do mnie pretensje, to tylko o niezgrabność ruchów: ciągle tylko uderzałem się w głowę, podczas gdy inni pasażerowie kamie przygotowywali się do obrony statku! Czy w delirium, czy zdrowy, i tak muszę złościć się na siebie i na los.

Świadomość zaczęła powracać tak samo, jak odeszła — skokami. Najpierw świadomość ruchu: głowa wciska się w poduszkę, potem opada na nią swobodnie. Powtórzyło się to niezliczoną ilość razy: leżałem i nagle, niczym powiew chłodnego wiatru, zrozumienie: płyniemy, mamy wiatr, mamy falę. Nie ma już płaskiej tafli wody, jest wzburzone, falujące morze. Pamiętam, że krzyknąłem wtedy. Wypadłem z koi, po omacku otwarłem drzwi na zalany wodą korytarz. A potem znalazłem się na pokładzie, na schodkach, i niezgrabnie wdrapywałem się na wanty, wyjąc przy tym bezsensowne słowa.

Tak. To pamiętam; tak, udało mi się pozbierać do kupy to zdarzenie, mimo całego absurdu. Statek płynie, jak tylko może, boczna fala, silny wiatr. Mimo że wieje mocno, statek posuwa się powoli, bo krótkie kikuty masztów nie pozwalają rozwinąć pełnych żagli. Dzięki Bogu na pokładzie prawie pusto. I oto ten wynędzniały młodzieniec, o rozwichrzonej czuprynie i kilkudniowym zaroście, zataczając się wyłazi od strony rufy; spod powiewającej na wietrze koszuli nocnej wyziera bezwstydnie chude ciało! Piotrowin ten drapie się na wanty i zawisa na nich, wpatrując się przed siebie w pusty horyzont, i wrzeszczy!

— Wracaj! Wracaj!

Ściągnęli mnie. Opowiadano mi, że nie stawiałem oporu, lecz pozwoliłem, by zaniecono mnie jak trupa na koję Colleya. Pamiętam jak Summers wyjmował klucz z zamka i wkładał go z zewnątrz. Przez jakiś czas później każdy, kto mnie odwiedzał, przekręcał klucz w jedną stronę wchodząc, a w drugą wychodząc — stoczyłem się więc do poziomu szaleńca i więźnia. Pamiętam też, że gdy Summers wyszedł ode mnie po raz pierwszy, zostawiając mnie samego, długo jeszcze leżałem na wznak i płakałem.



Nikt nie potrafi płakać wiecznie. Nadszedł wreszcie czas, gdy w smutek mój wmieszała się, a potem niemal go zagłuszyła świadomość, że statek kołysze się teraz inaczej niż przedtem, bardziej dokuczliwie i niespokojnie, że chwilami buja nami już nie z rozdrażnieniem, lecz w dzikim gniewie. Byłem zbyt słaby, by to zrozumieć lub zwalczyć, więc popadłem w dziecinną panikę na myśl, że wszyscy opuścili tonący statek, zostawiwszy mnie na pewną śmierć. Pamiętam wreszcie, niech mi Bóg wybaczy, że zacząłem wołać Charlesa Summersa, a potem zrobiłem awanturę Wheelerowi, gdy ten pojawił się zamiast pierwszego oficera.

— Muszę widzieć się z panem Summersem! Idź po niego!

Po dłuższym czasie, który statek starał się wykorzystać na wyrzucenie mnie z koi, pojawił się wreszcie Charles. Stał w drzwiach nie zamykając ich za sobą i popatrzył na mnie z gniewem.

— O co chodzi tym razem, Edmundzie?

Słowa „tym razem” sprawiły, że oprzytomniałem.

— Przepraszam. Zdaje się, że znowu bredziłem.

— To wszystko, Wheeler! Rozmawiam z panem

Talbotem. Słuchaj no, Edmundzie, jestem tu gospodarzem...

— Kim?!

— Odpowiadam za więcej spraw, niż w ogóle możesz sobie wyobrazić. Mimo najszczęśliwszych chęci naprawdę nie mogę poświęcać ci tyle czasu! O co więc chodzi?

— O to kołysanie. Oszaleć można!

— Wielkie nieba, Edmundzie, ty chyba już oszalałeś! Słuchaj. Miałeś wypadek. Cyrulik z Alcyone orzekł, że cierpisz na skutki wstrząśnienia mózgu, i zalecił sen i odpoczynek.

— To niemożliwe, kiedy tak kołysze.

— Na kołysanie nic się nie poradzi. Poczujesz się lepiej, jeśli ci to wytłumaczę?

— Będzie mi lżej na duchu, gdy się przekonam, że nie toniemy.

Przez chwilę nic nie mówił, potem się roześmiał.

— A więc dobrze. Czy wiesz, jak działa mechanizm zegarka?

— A cóż to ja jestem? Zegarmistrz? Wystarczy, że umiem nakręcić zegarek.

— No, wreszcie zaczynasz zachowywać się jak dawny Edmund.

Otworzył usta, by mówić dalej, ale w tej samej chwili przerwał mu wrzask. Dobiegał z jednej z odleglejszych kajut — pewnie darło się któreś z dzieci Pike'a. Charles zignorował krzyki i znów się odezwał:

— Statek jest jak wahadło. Wahadło, im krótsze, tym szybciej się porusza. Nasz statek, pozbawiony steng, stał się właśnie takim krótszym wahadłem, co wzmogło jego kołysanie. Jeżeli statek straci całe maszty, okres między jednym wahnieniem a drugim jest tak krótki, że w ogóle nie da się na nim płynąć, tak wszystkich rzuca, przyprawia o mdłości i męczy. I pewnie niejeden statek tak właśnie skończył.

— Ale nie nasz!

— Oczywiście, że nie. Nasze wzmożone kołysanie może najwyżej być przykre dla pasażerów. Mam nadzieję, że jakoś to zniosą. Kilku panów zgromadziło się właśnie w salonie. Mówili o tobie. Chcieliby, żebyś do nich dołączył.

Z trudem uniosłem się z koi.

— Przyjmij moje przeprosiny, Summers. Doprowadzę się do porządku i zrobię, co w mojej mocy, by podnieść na duchu mych współpasażerów.

Charles zaśmiał się, ale teraz znacznie przyjemniej.

— Z otchłani rozpaczy do szlachetnego postanowienia w niecałe dziesięć sekund! Jesteś bardziej zmienny niż myślałem.

— Nic takiego.

— No cóż. Panowie z radością cię powitają, choć rozsądniej byłoby, gdybyś, jak panie, pozostał u siebie.

— I tak za długo tu się wyleguję.

Charles wyjął klucz z zewnętrznej strony drzwi i wsadził go w zamek od wewnątrz.

— O jedno tylko cię proszę, Edmundzie: uważaj na siebie. Pamiętaj o zasadzie: jedna ręka dla ciebie, druga dla statku! W twoim wypadku radziłbym jednak obie zachować dla siebie — dość już oberwałeś po głowie.

To powiedziawszy wrócił do swych zajęć.

Najostrożniej jak tylko potrafiłem, wstałem z koi i popatrzyłem na siebie w lustrze. To, co zobaczyłem, przerażyło mnie. Moja twarz była nie tylko pokryta gęstym zarostem, ale też tak chuda, że aż koścista.

Przesunąłem palcem po wystających policzkach, dotknąłem chudego obecnie nosa, odgarnąłem włosy z czoła.

To przecież niemożliwe, żeby człowiekowi skurczyła się czaszka!

Zawołałem Wheelera, który pojawił się tak szybko, że musiał chyba stać tuż za drzwiami. Kazałem mu, by pomógł mi się ubrać, odrzuciłem propozycję, że mnie ogoli, i sam tego dokonałem w jednym kubku wody, zaledwie letniej na początku, a zimnej jak lód, gdy skończyłem. Udało mi się ogolić kosztem jednego tylko zacięcia na lewym policzku, co uważam za spory sukces przy takim kołysaniu statku. Przez cały ten czas Wheeler nie odstępował mnie ani na krok. przeprosiwszy, że się wtrąca, powiedział, że jeżeli rzeczywiście mam zamiar dołączyć do panów w salonie, powinienem założyć gumowe buty, tak wszystko zalane jest wodą. Oto więc wreszcie kuśtykam, szeroko stawiając stopy, trzymając się jedną ręką poręczy, zamocowanej na zewnątrz pasażerskich „komórek”. Statek rzuca mną złośliwie na wszystkie strony, a strugi wody przelewają się po pociemniałych deskach korytarza. Od razu zorientowałem się, że poruszam się z takim trudem nie tylko ze słabości. To, co poprzednio było tylko niewygodą, teraz stało się prawdziwą próbą sił i zręczności.

Kiedy pojawiłem się w salonie, nagle zapanowała cisza. Wszyscy usadowili się przy jednym końcu długiego stołu tuż pod rufowym oknem. Pierwszy siedział pan Bowles, sekretarz radcy prawnego, Po jego lewej ręce znajdował się młody oficer, Oldmeadow, za nim pan Prettiman, a naprzeciw pan Pike. Opadłem na ławę obok niego, dobiegłszy pędem do stołu. Oldmeadow spojrzał na mnie z góry. Trzyma tak głowę nie z pychy, lecz dlatego, że do takiego sposobu patrzenia zmusza go wymyślny hełm, jaki noszą oficerowie jego pułku. On sam jest najspokojniejszym i najmniej wojowniczym z ludzi jakich znam.

— Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej, Talbot? To dobrze, że pan przyszedł.

— Dziękuję, rzeczywiście już mi lepiej.

Skłamałem, ale w dobrej wierze. Nie na wiele jednak się to zdało, gdyż pan Bowles pokręcił głową.

— Wcale nie wygląda pan na rekonwalescenta, ale co tu kryć, nikt z nas nie czuje się dobrze.

— Nie jest chyba aż tak źle. Przynajmniej coś się dzieje.

— Jestem odmiennego zdania. A już kobiety i dzieci...

Jakby na potwierdzenie tych słów horyzont za oknem szczególnie gwałtownie pochylił się w jedną stronę, a potem uciekł gdzieś w dół. Mokry pokład uniósł nas w górę, a potem, gdy zaczął opadać, zawisliśmy na chwilę w powietrzu. Poczulem, że pot występuje mi na czoło.

— Myślę, panowie, że...

Ale Bowles, którego żołądek nie reagował na wybryki statku, mówił dalej:

— Jeśli już pan przyszedł, najlepiej będzie pana dokooptować. Teraz nasz ruch...

— ...jest wynikiem skrócenia masztów, proszę panów. Wahadło... Właśnie dlatego...

Bowles uniósł dłoń do góry.

— Nie o ten ruch nam chodzi, proszę pana. Myślę o tym, że nasz komitet musi zacząć działać.

— Musimy mieć wzgląd na moje dzieci. I oczywiście na moją małżonkę też, ale te dzieciątka, Phoebe i Arabella...

Z dużym wysiłkiem woli zdobyłem się na przekonujący, mam nadzieję, śmiech.

— No cóż, drodzy panowie, zadziwiacie mnie! Wiemy wszyscy, że Brytania panuje nad falami, ale...

— Uważamy, że można coś zrobić.

— Ale co? Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób można cokolwiek zrobić w naszej sprawie! Chyba że macie na myśli podobny plan, jaki miał w głowie biedny Dryden? Pamiętam, że czytałem w jego Annus Mirabilis opis bitwy morskiej z Holendrami, podczas której nasi marynarze, gdy odstrzelono im maszty, „unieśli je wyżej, niż przedtem tkwiły”.

— Panie Talbot...

— Przyznam, że nawet takiemu młodemu szczyrowi

rowi lądowemu, jakim byłem wówczas, pomysł ten wydał się szczytem absurdu! Nie sądzę, by...

Pan Prettiman zaczął krzyczeć:

— Przewodniczącym zebrania wybrano pana Bowles. Chce pan, by je odroczone, czy też opuści pan salę obrad?!

— Za pozwoleniem, panie Prettiman. Nie jest winą pana Talbota, że uznał nasze zebranie za czysto towarzyskie. Otóż, proszę pana, ukonstytuowaliśmy się jako komitet i doszliśmy już do pewnych wniosków. Zamierzamy przedstawić kapitanowi nie tyle nasze opinie, gdyż wątpię, byśmy mieli do tego prawo, lecz głębokie przekonanie, które wszyscy podzielamy. Spisałem to w punktach. Punkt pierwszy. Dalsze kontynuowanie kursu pod wiatr i związane z tym kołysanie poważnie uszkodzonego statku stanowi istotne zagrożenie życia i zdrowia, szczególnie w odniesieniu do kobiet i dzieci. Punkt drugi. Uważamy, że środkiem zaradczym byłaby zmiana kursu celem dopłynięcia pełnym wiatrem do któregoś z portów Ameryki Południowej, aby dokonać tam koniecznych napraw oraz podreperować zdrowie pasażerów.

Pokręciłem głową.

— Gdyby zmiana kursu była możliwa, dowództwo statku dawno by ją przedsięwzięło.

Oldmeadow zakrakał w kołnierzyk — tak chyba mają w zwyczaju udawać śmiech oficerowie jego formacji.

— Rany boskie, wcale nie, Talbot. Oni myślą przede wszystkim o statku i tych tam z forkaasztelu, ale my, a już na pewno wojsko, może domagać się uwzględnienia swych żądań!

— Znacznie przedłużyłoby to czas, który spędzimy w podróży.

— Mała Phoebe i Arabella...

Bowles znowu uniósł dłoń.

— Chwileczkę\* Pike. Mieliśmy nadzieję, że pan Talbot zgodzi się z nami, ale czy jego zgoda ma jakiegokolwiek znaczenie?

— Co takiego?!

— Proszę nie zrozumieć mnie źle. Chodzi mi o to, że decyzji i tak nie podejmie pan czy ja, lecz kapitan. W tej chwili rozważamy tylko jedno: przekazanie naszych życzeń kapitanowi. Zresztą najlepiej powiem panu od razu, że in absentia właśnie pana wybraliśmy do tej zaszczytnej misji!

— Do diabła!

— Jesteśmy przekonani, że nikt nie nadaje się do tego lepiej niż pan... Mógłby pan wziąć ze sobą to biedne maleństwo, moją Phoebe, podciągnąć jej sukieneczkę i pokazać kapitanowi odparzenia, których nikt by nie zniósł, szanowny panie, a co się stanie, jeżeli...

— Pike, na miłość boską!

— A skoro uważa pan, że nie licuje to z pańską godnością, sam wezmę ją za rączkę...

— Co za bezczelność, Pike! Zabiorę ją i samego diabła, jeśli tak mi się spodoba! Na Boga, dajcież mi się zastanowić! Jestem...

Skryłem twarz w mokrych dłoniach. Nękanie nudnościami... Zakochany w dziewczynie, która zniknęła już za rozkołysanym horyzontem... Głowa pęka mi i boli... Już czuję w ustach smak torsji...

Bowles przemówił po chwili spokojniejszym tonem:

— Przecież to komplement dla pana. Oddajemy się w pańskie ręce, bo nikt inny nie może liczyć na uważne posłuchanie u kapitana. Pański ojciec chrzestny...

Pokręciłem głową. Zamilkł. Zastanawiałem się przez chwilę.

— Zabieracie się do tego od złej strony. Deputację do kapitana należy wysłać dopiero, gdy zawiodą wszystkie inne środki. Osobiście zresztą jestem przeciwny zmianie kursu. Dzieci zawsze miewają jakieś wysypki. Przecież... nawet moi bracia... Musimy wytrzymać... Musimy przebrnąć przez tę pustynię, aż dotrzemy do celu. Ale panowie dotknęli mojej... mojej... Spróbuję przekonać pierwszego oficera, by to on przedstawił kapitanowi wasze żądania. Jeżeli pierwszy oficer tego nie zrobi, lub jeśli ta pierwsza próba spotka się z odmową kapitana, wtedy, owszem, sam do niego pójde. — Wreszcie uniosłem twarz znad dłoni i mrużąc oczy rozejrzałem się po wpatrzonych we mnie obliczach.

— Musimy postępować z największą ostrożnością. Pozycja pasażera na okręcie wojennym... Władza kapitana jest praktycznie absolutna. Kto mógł przypuszczać, gdy nazwałem go naszym tyranem, że potem zdarzy się coś takiego? Wasze poglądy, panowie, przekażę pierwszemu oficerowi. Może nawet jest teraz na pokładzie... a więc...

Wstałem, ukloniłem się, zatoczyłem do drzwi i niezgrabnie pobiegłem zalany wodą korytarzem; udało mi się jakoś otworzyć drzwi komórki. Opadłem na kolę. Kiedy wszedł Wheeler, który, jak podejrzewam, czekał tuż za drzwiami salonu, a następnie mojej kajuty... Zdaje się, że ten człowiek szczęśliwy jest tylko wtedy, gdy znajduje się na odległość ręki ode mnie, jakbym dla większej wygody nosił go przytroczonego pod pachą... Wheeler pomógł mi przebrać się w nieprzemakalny płaszcz. Znowu poczułem się źle, więc zamierzałem go odesłać, ale on odpowiedział, że woli zostać, by posprzątać kajutę i zrobić z kają „co się da”. Nie zastanawiałem się, skąd wzięła się ta jego niespodziewana pracowitość; przysiadłem tylko na chwilę na krześle, by dojść do siebie. Wreszcie stanąłem na nogi, otwarłem drzwi <sup>1</sup> w tej samej chwili struga wody wlała się do mojej komórki przez wysoki próg, który miał właśnie temu

zapobiegać. Ruszyłem ku dziobowi przez rozjaśnione dziennym światłem śródokręcie, chwytając się po drodze wszystkiego, co mi wlało pod rękę. Wiatr wiał teraz z lewej strony, nad moją głową wisiało szare niebo, morze też wydawało się szare, z brudnobiałą pianą... Mokra, stara łajba, obskurna jak spódnice żebraczki! Woda w korytarzu była niczym w porównaniu z całymi falami, które przewalając się po otwartym pokładzie, stanowiły ciągle zagrożenie dla przebywających tam ludzi. Wszędzie zamocowano liny bezpieczeństwa, te jednak jeszcze bardziej odstraszały od wyjścia na pokład; sprawiały zresztą wrażenie, że ich jedynym zadaniem jest utrzymanie w całości obwiązanego nimi mokrego, poobijanego pudła, jakim jest nasz statek. Widziałem, jak jakiś marynarz przedzierał się wzdłuż jednej z takich lin do forkasztełu. Trzymał się jej jedną ręką, fale zalewały go aż po pas, a strumienie spienionej wody lały mu się na głowę i ramiona z pokładu dziobowego. Poczekiałem, aż kołysanie na chwilę zelżeje, zataczając się popędziłem na zawietrzną i chwyciłem się kołka pod relingiem. Szeroko otwarłszy usta chciwie zaczerpnąłem wilgotnego powietrza, które nareszcie uspokoiło mój roztrzęsiony żołądek. Myśl o kolejnym zadaniu wymagającym z mojej strony taktu i inteligencji budziła we mnie taką samą irytację, jaką czułem wtedy, gdy Charles Summers poprosił mnie, bym uczynił coś dla tego nieszczęsnego Colleya! W dodatku powodzenie mej misji, czyli zmiana obecnego kursu i skierowanie statku ku wybrzeżom Ameryki Południowej, oznaczałoby dla mnie nie tylko późniejsze przybycie na antypody! Rozwiałoby całkowicie te krucho nadzieje — może coś zatrzyma ich na Przylądku Dobrej Nadziei, a może nawet popędzimy i ocalimy ich statek, gdy pozbawiony masztów i bezradny znajdzie się na naszym kursie — na zobaczenie się z panną Chumley wcześniej, niż w najodleglejszej z odległych przyszłości!

Zakląłem głośno. Uderzony siódmą falą statek, jakby chciał jeszcze bardziej mi dopiec, stanął dęba niczym spłoszony koń i prawie zatrzymał się w miejscu, mimo wydętych żagli. Rozejrzałem się wokół, usiłując zrozumieć nasze położenie i to, co zobaczyłem, dało mi wiele do myślenia.

Ostatnim razem obserwowałem, jak statek nasz daje sobie radę podczas takiej pogody, gdy płynęliśmy przez Kanał. Tam jednak, wiedząc jakby, że znajduje się pod okiem Starej Anglii, zdawał się brać chętny udział w igraszkach morza i nieba, idąc z nimi w zawody. Teraz było inaczej. Jak koń, który czuje zmęczenie i wie, że coraz bardziej oddala się od własnej stajni, narowił się i włókł noga za nogą. Przydałoby się poczęstować go batem — albo, jeszcze lepiej, by poczuł zapach pełnego żłobu! Choć dziobem mierzył ostro pod wiatr, prawie nie posuwał się naprzód. Fale przelewały się pod nim — a czasem, można by powiedzieć, nad nim — on zaś ledwo unosił się w górę, po czym opadał w to samo miejsce w dolinie fali. Zebrałem się na odwagę, by stanąć przy relingu i rozejrzeć się dokoła. Nagrodą był mi widok zielonych włosów, wijących się w morskiej pianie, zupełnie jakby owe mityczne a okrutne siostry pływały wokół naszego statku, dągnąc go w dół i w tył! Zanim zdążyłem ochłonąć z dreszczy,

0 jakie przyprawił mnie ten widok, już całe morze,

1 włosy, i piana, wzniosło się nade mną, na mnie, zalało mnie i ciągnęło z tak przerażającą siłą, że tylko trzymając się oburącz żelaznego kołka udało się mi uniknąć zmycia za burtę — a więc i pewnej śmierci.. Ktoś krzyczał mi prosto w ucho:

— Teraz nie ma tu miejsca dla pasażerów! Proszę wracać, jak tylko będzie można! No, już, biegiem! Głos zabrzmiał niezwykle władczo. Puśdłem się, jak kazano, biegiem, rozchlapując na boki te kilka cali płynącej wody, gdy pokład opadł na chwilę do pionu, a potem zaczął wznosić się w drugą stronę. Nagle

nogi odjechały mi gdzieś w bok i pewnie wykonałbym ślizg, który zakończyłby się roztrzaskaniem kości w spływniku, gdyby nie to, że mój towarzysz złapał mnie za ramię i prawie zaniósł do schodków na rufę. Tu pchnął mnie ku relingowi, sprawdził czy mam się czego trzymać, po czym odsunął się na krok.

— O mała pana nie zmyło. Pan Talbot, jeśli się nie mylę.

Gdy ściągnął zydwestkę, ukazały się spod niej złote loki, i to obfitsze niż można by się spodziewać u mężczyzny. Był ode mnie niższy, ale to samo da się przecież powiedzieć o większości ludzi! Uśmiechnął się do mnie z wielką serdecznością, nic sobie nie robiąc z wody, która właśnie obryzgała nas od stóp do głów. W pierwszym wrażeniu dostrzegłem niebieskie oczy, różowe policzki i czerwone wargi, tak delikatne, jakby w jakiś sposób udało się im uniknąć i dzikiego wichru, i tropikalnego słońca.

— Dziękuję za pomoc. Prawdę mówiąc, nie jestem jeszcze w pełni sił. Niestety nie wiem, z kim mam przyjemność...

— Benêt, proszę pana. Porucznik Benêt, przez jedno „n”, z ostrym akcentem nad drugim „e”.

Wyciągałem ku niemu wolną dłoń, by grzecznie się przywitać, ale w tej samej chwili na jego twarzy odmalował się gniew. Oczy rzucały skry, gdy zadzierał głowę ku górze, wpatrując się gdzieś w płataninę lin i płótna.

— Francis, ty duma pało! Niech zobaczę jeszcze raz, że puszczasz beket, bo tak ci wygodniej, to znacznie wygodniej zrobi ci się na gretingu! — Z powrotem odwrócił się ku mnie. — Jak dzieci, proszę pana. Przez niedbalstwo zginą tam, gdzie pan mógł zginąć przez niewiedzę. Za pańskim pozwoleniem odprowadzę pana do kajuty... Ależ nie, to żaden kłopot...

— Kiedy pan jest tak zajęty statkiem!

W odpowiedzi znów spojrzał ku górze.

— Panie Willis! Siedzi pan na maszcie za karę, ale nie zwalnia to z odpowiedzialności za to, co się dzieje, i za ludzi. Proszę postarać się, żebyśmy nie stracili grotmasztu. A teraz, proszę pana — biegiem!

Ku własnemu zdziwieniu spostrzegłem, że wykonuję polecenia tego młodzieńca ze skwapliwością, której nie wzbudziłby we mnie sam kapitan Anderson. Co więcej, gdy razem z nim wskakiwałem pod pokład, pomyślałem sobie, że to świetna zabawa!

— To wszystko, Wheeler. Zechce pan usiąść, panie Benet.

— Jest pan chory. Ja też, choć zdrowy na ciele, cierpię, ale cierpię na umyśle. Żagle me wzdyma wiatr.

Z kobiet najpiękniejsza

Postaci i rysów przenajniezwyklejsza.

— Te i inne wersy tworzyłem podczas ostatniej psiej wachty. O, już sobie przypominam. Naprawdę szło to tak:

Od wszelkich innych kobiet jest piękniejsza,

Postaci i rysów przenajniezwyklejsza.

— Wersy te płyną wprost z mojej duszy.

Mimo tych katuszy

Nawet piórkiem żalu nie dotknę twej duszy.

— Prawda\* że dobre, zwłaszcza to o tym piórku? Bolesne podejrzenie schwyliło mnie za serce.

— Pan jesteś z Alcyonel

— A skądże, jeśli nie stamtąd, mogłem wziąć się na tym pustkowiu?

Długiej długie wygnanie jest teraz mą dołą.

— Jak się panu podoba ta aliteracja? Oczywiście jeszcze się spotkamy, ale teraz wzywają mnie pod pokład na naradę z pierwszym oficerem.

Wyszedł z pośpiechem. Zawołałem Wheelera, który jak zwykle czekał w pobliżu mojej kajuty. Pomógł mi wyswobodzić się z płaszcza.

— To wszystko, Wheeler.

Młody człowiek o złotych włosach i pięknym obliczu, mający do dyspozycji całe tygodnie, by poznać się z panną Chumley! Zawsze myślałem, że poeci przesadzają, opisując rozpacz taką, jaka mnie teraz ogarnęła! Odzyskałem świadomość, słysząc dziwne odgłosy dobiegające z „komórek” po mojej stronie korytarza. Stopniowo zbliżały się i wreszcie okazało się, że źródłem ich jest cieśla okrętowy, pan Gibbs. Kolana owinięte miał jakimś paskami skóry.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę sprawdzić klepki.

— A po cóż to?

Pan Gibbs podrapał się w swe piaskowe włosy. Stał

o krok ode mnie; poczułem woń mocnego alkoholu.

— Chodzi o to — o, przepraszam — że łajba podobno zaczyna się rozłazić, i nie byłoby w tym nic dziwnego, taka jest stara...

— „Poddaje się jak stary bucior”.

Pan Gibbs sprawiał wrażenie, jakby bardzo ucieszył się, że go rozumiem.

— O właśnie, proszę pana, dokładnie tak. Pasażerowie nie mają się czego bać. Aż dziw bierze, że dżentelmen taki jak pan, co to na morzu był ledwo przez jedną psią wachtę, tak już się na wszystkim rozumie. Jak byłem u pana Brocklebanka, ani rusz nie mógł pojąć, o co mi chodzi, choć po prawdzie dał mi się napić za fatygę...

Pan Gibbs urwał i wlepił wzrok w moją butelkę brandy, ale ja ani drgnąłem. Klęknął więc i zaczął wyciągać spod koi obie szuflady, co nie było łatwe w tak małym pomieszczeniu.

— Cóż pan tam wyprawiasz, Gibbs? Ostrożnie! To moje koszule!

— Nie pobrudzę panu strojów, tylko muszę tam wsadzić rękę... O!

— Nie słyszy pan, co mówię?

— Muszę dostać ręką tam, gdzie...

Nagle jego głos przeszedł w pisk. Cofnął się, wepchnął palce do ust i ssał je, kiwając się z boku na bok i jęcząc.

— Co panu, Gibbs?

Dalej kiwał się i jęczał, trzymając jedną dłoń w ustach, a drugą ją podtrzymując.

— Brandy!

— No, jeśli pan musi... Człowieku, aleś ty zbladł!

Pan Gibbs nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami jak moja szklanka. Wyciągnął butelkę z jej dziury na półce nad miednicą, zębami wyciągnął korek, przytknął szyjkę butelki do ust i jednym haustem wychylił ze ćwierć flaszki.

— Pan będziesz pijany jak bela!

Z powrotem włożył brandy do dziury, kilkakrotnie zgiął palce i podmuchał na nie.

— Żeby po tylu latach poharatać się jak byle czeladnik! A tak, rozłazi się — jedni zwą to tak, drudzy inaczej, ale przecież wychodzi na jedno, nie?

— Czy coś nam grozi?

— Rozłazi się. Wie pan, łajbie niezbyt wyszło na zdrowie, że ją wtedy pchnęło wstecz. Tak, tak, rozłazi się. Tak naprawdę trudno orzec, co się dzieje... Ale jak człowiek tłukł młotkiem w każdy kawałek drewna i jeździł nosem po klepkach jak pies za suką, no, to zaczyna mieć ją w głowie...

Ją?

— No, zna się wszystkie kształty lepiej niż tyłek własnej żony, lepiej niż na planie. Każdy ruch, każdy nit...

— Chodzi panu o nasz statek?

Gibbs przysiadł na piętach.

— Tak, tak, nasz statek. Jak się człowiek naogląda, to już tylko się napić.

— A więc coś nam grozi!

Gibbs spojrzał na mnie zezem, marszcząc brwi jakby z wysiłku. Znowu podrapał się w te krótkie, piaskowe włosy i wreszcie jakby doszedł do siebie. Wypogodził twarz i uśmiechnął się — ale uśmiech ten nie był zbyt przekonujący.

— Grozi? E, wie pan, nie ma się czym martwić! Znałem ci ja statki, co to zdawać by się mogło, że lada chwila rozleca się na kawałki, a wracały do domu, jakby były całe ze starego drewna, jak Boga Kocham. Tylko że...

Urwał i znów possał palce.

— No mówże, człowieku!

Gibbs uśmiechnął się do mnie, ale jakoś blado.

— Nasz też jest ze starego drewna. Tam, gdzie to się liczy, nie ma ani kawałka drewna, co by nie był starszy od najstarszego człowieka z załogi, no, może poza tym biedakiem Martinem Daviesem. Niebezpiecznie jest tylko, kiedy się łączy stare ze świeżym. Jak byłem jeszcze taki mały, zauważyłem kiedyś, że z jakiegoś sęka rośnie pąk — na pewno był martwy, ale skąd miałem o tym wiedzieć? Powiedziałem o tym pomocnikowi cieśli, ale on zrobił tylko tyle, że dał mi w ucho.

Tu Gibbs popatrzył w zamyśleniu na moją butelkę brandy, znacznie już opróżnioną.

— Nie radziłbym panu, Gibbs.

— No, cóż. Byłem wtedy smarkaczem, ale ten pąk śnił mi się potem całymi nocami. Raz obudziłem się i z wrzaskiem wypadłem z hamaka. Macam dokoła,



szukam tego pomocnika — nazywał się Gilbert, ale kazał mi mówić do siebie pan — więc szukam go, a oczywiście wystarczyło podnieść rękę, żeby trafić na jego hamak. „Co jest, do cholery?”, krzyczy. „Panie Gilbert”, wrzeszczę, „ten pęk to nowa gałązka!” Wychylił się z hamaka, żeby dać mi w ucho, ale nie trafił. „Już ja ci dam gałązkę, ty łbie kapuściany”, mówi. A ja dalej: „Nie podoba mi się to. Już pokazuje się listek”. Dopiero jak mi dał w ucho, to oprzytomniałem. „Listek, tak?”, mówi. „To mnie zawołaj, jak mu kwiatki zakwitną”.

Gibbs sprawiał wrażenie, jakby było to dla niego przyjemne wspomnienie.

— A wie pan, Gibbs, że był kiedyś taki okręt, z którego wyrosło tyle zieleni, że prawie nic nie było widać spoza liści?

— E, żartuje sobie pan ze mnie.

— Az masztu wyrosła winorośl i wszyscy się upili.

— To już mi mniej dziwne. Z jakiego był portu?

— To był grecki okręt. Jeśli dobrze pamiętam mitologię.

— I też mi nie dziwne, że w tamtych stronach używają na statki świeżego drewna; ale słyszałem, że tam prawie w ogóle nie piją! Za pozwoleniem...

Znowu pociągnął łyk z mojej butelki.

— Panie Gibbs!

— No, już mi lepiej, proszę pana. Zaraz mnie rąbnie, a wtedy to już wiele sobie nie popracuję. Oho, już! Wciąż siedząc na piętach, zamknął oczy i kiwał się w rytmie przeciwnym do kołysania statku. Przez chwilę nic nie mówił, więc znów ogarnęła mnie moja nowa namiętność.

— Pan Benét to chyba bardzo sympatyczny dżentelmen. Tak sobie myślę, że umie być bardzo miły dla dam.

— O, i to bardzo, proszę pana, choć jego rodzice

to jemigranci. Część z tych wierszy, co mówili na przedstawieniu, to jego, chociaż takie były wydumane, że nie zrozumiałem ani słowa. O, teraz naprawdę rąbnęła mnie ta pańska brandy. Byłbym wdzięczny, jakby nic pan nie mówił pierwszemu. O, tak, pan Benét jest bardzo miły, a teraz mógłby już minąć Przylądek i robić z piętnaście węzłów, gdyby nie był taki miły dla żony kapitana!

—Niewątpliwie... Co? Coś pan powiedział?

—No i znowu to samo. Zawsze za dużo gadam. Wszyscy o tym wiedzą, tylko nie mówią głośno, bo to oficer. Tak, tak, przyłapał ich kapitan, jak on klęczał przed nią, a ona coś nie bardzo się opierała.

—Lady Somerset! A ja się bałem... Ale jak...

Gibbs niezgrabnie dźwignął się na nogi i zatoczył

na błąt, przy którym teraz piszę. Jego twarz, jeszcze przed chwilą tak blada, była teraz czerwona i spocona; nietrudno się było domyślić, że skutki pijaństwa zaczynały już dawać znać o sobie. Zamiast zsalutować dotknął tylko swego loczka na czole w sposób, który na pewno nie przystoi osobie pełniącej jakąkolwiek funkcję w Marynarce Królewskiej, nawet jeśli osoba ta jest prostym podoficerem. Znowu zatoczył się, otworzył drzwi i poleciał z górki na pazurki, jeśli mogę to tak określić, aż do połowy korytarza. Cofnął się, zastukał do następnej kajuty; długo jeszcze słyhać było stopniowo oddalające się odgłosy jego „prac”. Wheeler, który cały ten czas spędził chyba wciśnięty w przepierzenie z dykty, pełniące rolę ścian naszych komórek, zamknął za nim drzwi, po czym zaraz znowu je otworzył, oznajmiając pokornie, że wsunie z powrotem szuflady. Zdaje się, że nie ma już dla mnie miejsca w mojej własnej kajucie.

— Wheeler. Kołysanie Alcyone musiało być dla pań okropnie nieznośne.

— O tak, proszę pana, jak najbardziej.

— Panna... Panna Chumley na pewno spędziła całą podróż z Anglii na swej koi.

Wheeler nie odpowiedział. Miałem nieprzyjemną świadomość, że nie wypada mówić takich rzeczy służącemu. Spróbowałem inaczej.

— Pan Benêt...

Słowa utknęły mi w gardle. W żaden sposób nie potrafiłem skierować rozmowy na temat tak dla mnie rozkoszny i tak dręczący zarazem! Musi być ktoś, komu mógłbym wyznać — tak, wyznać to chyba najważniejsze słowo — że jestem zakochany i niczego więcej nie pragnę, niż rozmawiać o Przedmiocie Mojej Miłości, skoro nie mogę rozmawiać z nią samą!

— Wheeler.

Wiemopoddańczo spoglądał na mój podbródek. Wreszcie uniósł oczy i ciekawie przyglądał się każdej części mej twarzy po kolei, jakby ludzkie oblicze było dla niego czymś dziwnym i nowym.

— Doskonale, Wheeler. To wszystko.

Jeszcze przez chwilę gapił się na moją twarz, potem nagle drgnął i jakby się ocknął.

— Tak, sir. Dziękuję, sir.

— I jeszcze jedno, Wheeler. Wiesz co, szczęściarz z ciebie. Przecież to była jedna szansa na milion! Powinieneś do końca życia składać za to dzięki.

Od stóp do głów przebiegło go dziwne drżenie. Zwiesił głowę i zniknął za drzwiami, więcej już na mnie nie patrząc. Oczywiście nie nadaje się na powiernika — ale nie sądzę, by Charles Summers, zwykle pełen zrozumienia, chciał wysłuchiwać moich zwierzeń! A więc albo pan Benêt, albo nikt — pan Benêt, który na pewno zna pannę Chumley — który sam jest zakochany — który okaże współczucie...

Co zrobić, by spotkać się z nim — u niego pod pokładem?

Deverel! Deverel, mój niegdysiejszy przyjaciel, kompletnie o nim zapomniałem; przez chorobę i miłość, by nie wspomnieć o wyrachowaniu i antypatii! Deverel, zakuty w kajdany! Zejdę więc pod pokład, niby go szukając, i niby przypadkiem natknę się tam na Beneta i Charlesa Summersa. W poufnej rozmowie przedstawię nie tylko żądania komitetu, ale i moją o nich opinię. Wyrzucałem sobie brak miłosierdzia, wyrzucałem sobie, że opuściłem przyjaciela w potrzebie; tłumaczyć mnie mogą tylko odniesione rany i „wstrząśnienie mózgu”. Potem wezmę Beneta na stronę i delikatnie skieruję rozmowę na temat Alcyone i pań!

Zygzakiem i niezgrabnie ruszyłem w dół schodków, przepowiadając sobie w myśli, co mam mówić. Ostatnim razem, gdy szedłem tędy, pchała mnie — co tu dużo mówić — żądza. Idąc teraz znów przez te kołyszące się, skrzypiące, ociekające wodą poziomy, zrozumiałem aż za dobrze, jak bardzo jestem zakochany! Taki już smutny los „człowieka rozsądnego”, człowieka o ostrożnym usposobieniu, polityka, że dzień pierwszego i ostatniego uczucia przychodzi późno, a uczucie to jest tym silniejsze, im bardziej niespodziewane!

Wyobraźmy więc sobie, jak wędruję coraz niżej, aż na poziom zbrojowni — a co dziwne, tam właśnie było najjaśniejsze. Bowiem najprzytulniejsze gniazdka na każdym statku widać sobie podoficerowie, ci zaś używali chyba więcej światła niż wszyscy, skazani wyłącznie na świeczki, pasażerowie razem wzięci. Ze stropu zwisały aż trzy lampy — i to nie rozcięte butelki, które marynarze napełniają łojem, ale masywne, mosiężne — zakreślając ruchy, jakie poza baletem spotkać można wyłącznie na statku. Kiwały się równo i pod tym samym kątem, czy raczej — pióra Colleya by trzeba, żeby to opisać — sprawiały wrażenie, jakby się kiwały, bo oczywiście naprawdę kiwał się statek, lampy zaś wisiały nieruchomo i bezwładnie, utrzymywane w niezmiennym położeniu

niu przez swe ciężkie podstawy- Był to widok nienaturalny i męczący. Odwróciłem wzrok i przekonałem się, że przez kontrast z tą silną iluminacją w kątach zbrojowni panują gęste ciemności. Po ścianach wędrowały cienie, zmieniające kształty w rytm dziwnego tańca lamp. Gdy wszedłem, wszystkie trzy powitały mnie widokiem mosiężnych spodów, potem odchyliły się rzucając na mnie blask światła, potem znów zbliżyły się ku mnie. Ten rząd roztańczonych światel najspokojniejszego człowieka doprowadziłby do szaleństwa; z trudem walczyłem z zamętem umysłu i obrzydliwym posmakiem w ustach.

Gibbsa nie było nigdzie widać, ale naprzeciw mnie, po drugiej stronie umocowanego na stałe stołu siedział nasz działomistrz z leciwym aspirantem, panem Daviesem. Davies opierał pomarszczone, żylaste dłonie o stół; usta miał na wpół otwarte i gapił się wprost przed siebie. Można by pomyśleć, że to ów stale niestały ruch lamp (a wraz z nimi tańczyły po odleglejszej części wielkiego pomieszczenia ogromne cienie) zamykał mu usta, rzuciwszy go w hipnotyczny trans niczym pacjenta sławnego Mesmera, ogałał jego umysł z wszelkiej myśli, gdy tak czekał na rozkaz, który mógł nigdy nie nadejść.

Askew popatrzył na mnie oczyma bez wyrazu. Na stole stał przed nim kieliszek. Działomistrz nie wyglądał na zbyt zachwyconego moimi odwiedzinami.

— A cóż pana tu sprowadza? On już się położył. Skinął głową w kierunku szczególnie ciemnego kąta. U stropu wisiał jakiś podługowaty kokon.

— Pan Deverel...

— Proszę pana, ten tutaj to George Gibbs. Wrócił tu ni stąd, ni zowąd i zaczął opowiadać, że przymusił go pan do picia brandy, do czego nie jest przyzwyczajony. Jednym łykiem wypił całą rację rumu i tak go wzięło, że sam musiałem rozwiesić mu

hamak i go tam wepchnąć. Niech się nazywam lady Jane, jeżeli zobaczymy go do południowej wachty.

— Chcę się widzieć z porucznikiem Deverelem. Askew spojrział na mnie bystro, po czym odstawił kieliszek i wyciągnął krótką fajkę. Zaczął grzebać pod stołem.

— Martin! Gdzie jest mój tytoń?

Trącił Daviesa, który zakiwał się lekko, ale poza tym nie wykazał najmniejszej reakcji; Askew wepchnął prawą dłoń do lewej kieszeni aspiranta.

— Martin, złodzieju!

Wyciągnął długi, owinięty płótnem przedmiot i odciął plaster z jednego końca. Wcisnął plaster do cybucha, sięgnął do „półbutelki” po knot i przyłożył jego jarzący się koniec do tytoniu. Dmuchał dymem, tak cuchnącym, że aż się zakrzusilem. Uświadomiłem sobie, że kołyszę się to w jedną, to w drugą stronę we framudze drzwi, opierając się

o nią oburącz, co musiało wyglądać głupio.

— Uprzejmie pana proszę, by powiedział mi pan, gdzie znajduje się porucznik Deverel, a usunę się stąd, gdzie, jak widzę, nie jestem mile widziany.

Askew dalej pykał z fajki i nic nie mówił. Nagle światła i cienie, opętańczy balet lamp, lustrzane odbicie niepewnych ruchów morza, porwały mnie za gardło, głowę, zołądek i kolana.

— Za pozwoleniem...

Zatoczyłem się do przodu, chwyciłem stołu i opadłem na ławę. Wokół unosił się obrzydliwy dym; czułem, że na czoło występuje mi pot.

— Cóż to, panie Talbot, ostatnio nie czujemy się najlepiej, co? Niezbyt jak „lord<sup>1</sup>”, co?

Tego już było za wiele. Przełknąłem to coś, co zebrało mi się w ustach.

— Być może nie posiadam tytułu szlacheckiego, szanowny panie, ale służę obecnie Jego Królewskiej Mości w dziedzinach, o których zapewne nigdy pan

nie słyszał\* których zapewne nie potrafiłby pan nawet zrozumieć. Zachowam wdzięczność, jeśli na przyszłość będzie pan okazywać szacunek należny memu stanowisku od podoficera Marynarki, choćby i starszego.

Askew nadal pykał z fajki. Dym wisiał teraz pod sufitem, zupełnie jakby znajdował się tu gdzieś kopający, długo nie czyszczony komin. Twarz ar-tylerzysty stała się ciemnoczerwona, nie aż tak jednak, sądząc, jak pana Gibbsa, gdy nadużył alkoholu. Kiedy przemówił, głos jego łamał się i drżał.

— Niemiło panu, co?

— Niemiło? Niemiło?

— No, ciągle awanturujesz się pan, rządysz, wydziwiasz... Tyle zachodu, a tu nawet nikt tego nie usłyszy.

Spojrzałem znacząco na Daviesa, który wciąż milczał jak zakłęty. Askew wyjął fajkę z ust i przetarł ustnik żółkłym, sękatym kciukiem.

— Widzisz pan, podobało mi się, jakżeś oberwał w głowę, a jeszcze się rwał, żeby zostać bohaterem.

Powiedziałem sobie wtedy, o, będą z niego kiedyś ludzie, jeśli wcześniej nikt go nie zabije. Ale potem, jak na przedstawieniu Joss przeczytał to o „lordzie”, wystarczyłoby, żebyś pan wstał i uklonił się z dłonią na sercu i uśmiechem na twarzy, a jedlibyśmy panu z ręki. A pan co? Tylko żeś się pan nadał. Pewnie, wiem, że niełatwo zdobyć się na to, jak jest się młodym...

— Jestem już dość...

— Widzisz pan, młody pan jesteś. A ludzie są różni. Są oficerowie, podoficerowie, starsi i młodszy, marynarze tacy czy inni, i jeszcze takie zasrane biedaki, które nie wiedzą, gdzie mają gębę, a gdzie dupę, jak to mówią...

— Nie życzę sobie, by tak przemawiano do mnie przy świadkach! Porozmawiajmy w cztery oczy, szanowny panie, a może pan być pewien, że wówczas potrafię panu odpowiedzieć na te impertynencje!

— Przy świadkach? Przy jakich świadkach? Chodzi panu o Martina? Martin się nie liczy, żeby tak zdrów był. O, posłuchaj pan!

Trącił starego, potem pochylił się w bok i przemówił mu głośno wprost do ucha.

— Śpiewaj, Martin! No, śpiewaj, stary!

Urwał. Lampy tańczyły, woda szumiała, skrzypiało drewno.

— Śpiewaj, Martin.

Stary zaczął śpiewać słabym, trzęsącym się głosem:

— W dół od rzeki poprzez London Street...

Był to początek i zarazem koniec pieśni; nie kończący się koniec, powtarzany w kółko.

— Ten to jest już na samym dnie, co? A pewnie mógłby zostać porucznikiem, gdyby miał fart albo dostał kopa w górę od jakiegoś admirała. Ale teraz to mu wszystko jedno, nie? Wszystko jedno, kim był albo kim mógłby być. On już ma dość, on już jest u siebie, proszę pana. Nie słyszy nasj jego tutaj nie ma.

— Nie... Nie wiem, co powiedzieć.

— Niemiłe, co? Tak myślę, że już lepiej dostać porcję ołowiu, chociaż teraz, kiedy wojnę mamy tylko jedną, i zresztą co to za wojna, ta z Jankesami, pełno będzie ludzi, co żyją za długo, jeśli obchodzi pana moje zdanie, w co wątpię. Ale Martin nikomu nie zawadza. Jeszcze chyba nie robi pod siebie... No, dobra, Martin, możesz przestać.

Zdaje się, że szczeka opadła mi ze zdziwienia. Przełknąłem ślinę.

— Czy wszyscy...

— Ależ nie, proszę pana. Tak to już żyje się na statkach i tak się umiera. A on jest już u siebie, jak mówią. Tacy jak ja są twardzi jak dobra dębina, bo żaden z nas nie zaznał, jak to jest, kiedy się ma

rodziców i tak dalej. Ale widzi pan: Martin pamiętał rodziców, więc można powiedzieć, że ma dom, do którego może wrócić, jak do siebie. Oczywiście nie tak naprawdę, ale w jego stanie to na jedno wychodzi.

Ku własnemu zaskoczeniu bluznąłem stekiem przekleństw. Gdy wreszcie przestałem, twarz miałem ukrytą w dłoniach, łokcie zaś na stole.

— A niech mnie, panie Talbot. Pan, co to żyje wśród lordów, chociaż sam lordem nie jest. Mówi się u nas: pijany jak lord, ale żeby taka wiązanka... No, no!

— Oświadczam panu, że pan Gibbs otrzymał mocny trunek od pana Brocklebanka, a następnie wypił też i u mnie, choć wcale go nie częstowałem.

— Aha. Tak sobie myślałem, że znowu go wzięło.

— Jak pan wie, czułem się ostatnio... nie najlepiej. Teraz, gdy znowu jestem na nogach, zszedłem tu, by, oczywiście nie występując przeciwko regulaminowi Marynarki, wspomóc i podtrzymać na duchu pana Deverela. Gdzie mogę go znaleźć?

Nastało dłuższe milczenie. Askew nadal zasilął mgłę unoszącą się pod sufitem.

— Dobre pytanie, proszę pana. Wiedziałem, że nie rusza się pan z koi, ale dziwię się, że nic pan nie wie, skoro tacy byli z was przyjaciele.

— „Byli”? Przecież chyba nie umarł?

— A więc muszę panu oznajmić, że pan Deverel jest teraz na pokładzie Alcyone i wcale bym się nie zdziwił, gdyby minęli już Przylądek.

— Ależ ja myślałem...

— Że sam wsadził sobie łeb w stryczek? Tak to jest, jak się nie zna praw rządzących danym miejscem, proszę pana. Wcale nie mam na myśli prawa wojennego, tylko te ogólniejsze. Od kiedy ten kapitan powiesił swojego porucznika — zapomniałem, jak się obaj nazywali, to było gdzieś w Indiach Zachodnich — kapitanowie, nie mówiąc już o panach z Ad miralicji, bardzo pogrzczenieli. Mamy teraz regulamin i wszystko odbywa się tak, jak tam jest napisane. Zrobiono wymianę, rozumie pan?

— Porucznik Benêt!

— No, nareszcie!

— To niemożliwe, żeby taka wymiana leżała w kompetencjach zwykłego kapitana!

— Zwykłego kapitana? Mówi się, że jak tylko ze statku nie widać lądu, kapitan może zrobić z każdym co zechce. Sir Henry nie miał ochoty tak po prostu wyrzucić pana Benêta, bo straciłby jednego oficera do pełnienia wacht. Nie, nie, wolał wymienić go na kogoś innego, żeby nikt nie mógł się przyczepić. Ich lordowskie moście bardzo uważają, żeby panowie oficerowie byli w dobrym humorze. A że kapitan Anderson miał oficera w bardzo złym humorze, sir Henry zaś takiego, którego chciał się pozbyć, bo ten miał humor o wiele za dobry, straciliśmy naszego Jacka-zawadiakę, który aż się rwał, żeby stąd się wydostać, a w zamian przyjęliśmy porucznika Benêta, który zna się na wszystkim znacznie lepiej niż wypada porządnemu dżentelmenowi. Mówią, że kapitan Anderson wyłazi ze skóry, żeby mu się dobrze działo. To przecież pan Benêt wymyślił, żeby wynieść chronometry o jeden pokład w górę, niezależnie od tego, co o tym pomyśli pan Summers i cała reszta. Pan Benêt stał się zaraz bardzo popularny wśród oficerów, starszych pań, dzieci i aspirantów — nie mówiąc już o wypalonych starych przykach zarządzających artylerią statku.

— Deverel! Jack Deverel-zawadiaka! Szlachcic Jack!

— Tak, tak, proszę pana. Moim zdaniem sir Henry wpadł z deszczu pod rynnę.

— Te kobiety! Z pewnością... Ależ nie. Lady Somerset to wielka dama i ta właśnie bardziej przypadnie Deverelowi do gustu...

Askew zaśmiał się.

— Jeśli o niego chodzi\* jemu tam każdy port dobry w sztormową pogodę. Wszystko mu jedno\* czy wielka dama, czy mała dziewczynka\* co to jeszcze za kółkiem biega.

— Dziewczynka! Dziewczyna! Deverel!

— Drugiego takiego ze świecą szukać!

Zorientowałem się, że znów stoję na nogach. Moja

głowa znalazła się w niebezpiecznej bliskości jednej z lamp.

— A więc widzi pan, że darmo by tu szukać pana Deverela, tu albo i gdzie indziej, chyba że umie pan pływać szybciej niż Alcyone. Kiedy już o tym mowa, na naszym statku jest paru, co chętnie by się dowiedzieli, gdzie to przebywa nasz Jack-zawadiaka, w nadziei, że może kiedyś dostaną z powrotem, co mu pożyczyle.

— Pan Benet!

— Znajdzie pan jego i pana Summersa tam, z przodu, za grotmasztem i rufową pompą. Bóg jeden wie, co zrobią biednemu George'owi, jeśli będą chcieli wiedzieć, jak bardzo statek się rozłazi i posłą po cieśnię. Niezłeś go pan urządził, panie Talbot.

— Już panu mówiłem, że to on sam się tak urządził.

Dokoła panowały prawdziwie egipskie ciemności. Podczas poprzedniej wizyty w tych czeluściach miałem przewodnika w osobie młodego pana Taylora; poza tym wtedy statek nasz sunął przez spokojne wody tropików, a teraz miotał się na wszystkie strony jak oszalały, drogi musiałem zaś szukać po omacku. Wystarczyły dwa kroki poza krąg światła lamp zbrojowni, by zapomnieć, że w moim świecie istniały kiedykolwiek takie pojęcia jak światło czy kierunek — wystarczyło pięć, by zgubić się doszczętnie. Teraz pozostał mi jedynie zmysł słuchu: wokół wszystko trzeszczało i skrzypiało, ale słyszałem też plusk wody, jakbym znajdował się na żwirowej plaży! Czekałem przez chwilę w nadziei, że moje oczy oswoją się z ciemnością, ale tylko nasłuchiwałem się różnych złowróżbnych odgłosów! Nie wiedząc nic zgoła o ich prawdziwym znaczeniu, jakie potrafiłby ocenić każdy marynarz, z naturalnej a zrozumiałej obawy wpadłem w autentyczne przerażenie. Pod pokładem naszego statku rozlegały się pluski, kapania i szelest wody, nie te jednak dźwięki były najgorsze. Gdzieś dalej czy niżej czały się rzeczy gorsze niż te drobne, miejscowe wrażenia. Ręka

moja znalazła się nagle w czymś mokrym, nie wiedzieć skąd połała się na nią woda. Jedna dłoń zaczęła 0 drewniany występ, druga o jakiś materiał. Posuwałem się przejściem szerokości jednej zaledwie deski; do mej świadomości przenikała powoli straszliwa, bezlitosna rzeczywistość. Gdzieś, z dołu wyczuwało się rytym, którego nie słyszało się na pokładzie czy w kajucie, gdyż tam zagłuszały go donośniejsze odgłosy wiatru i morza. Był to dźwięk lejącej się strumieniami wody; rozpoczął się w pewnej odległości — gdzieś na dziobie, jeśli do końca nie straciłem orientacji. Stałem jak wryty

1 skuliłem się, w natężeniu chłonąc wszystkie doznania, ale wciąż tylko za pomocą słuchu. Oto szły mi naprzeciw z coraz większą prędkością wszystkie złożone odgłosy załamującej się fali! Minęły mnie, ale wcale nie zrobiło mi się bardziej mokro. Ciągnęły dalej, w stronę, z której przyszedłem, cichnąc powoli, tak że znów słyszałem pojedyncze pluski i kapania. Potem, gdy prawa ręka zacisnęła się instynktownie na drewnie, by przyjąć ciężar mego ciała, z jednej strony statku na drugą połała się przeze mnie woda — i oto powracała znów ta pierwsza fala! Wiedziałem już, że przelewa się ona wzdłuż statku. Zacząłem błędzić po omacku, potknąłem się o jakąś linę i przykleknąłem na chwilę na czymś, co w dotyku przypominało materiał na worki. Wreszcie pojawiło się nade mną upragnione światło, zupełnie jakby rozwarł się pokład i jakby do wnętrza statku zajrzało słońce.

Jakiś głos powiedział: — Kto tam?

— To ja!

Ale wtedy zorientowałem się, że spoglądam w zaimprovizowane biuro płatnika. Stał w wejściu, odchylwszy brezentową kotarę, i patrzył w dół.

■— Co to za krzyki? Jeszcze raz pytam, kto tam?

— To ja, proszę pana, Edmund Talbot.

— Pan Talbot! A co pan tu robi? Proszę do siebie,

Wdrapałem się po masywnych węzłach, mocujących schodnię do jakiejś jeszcze większej belki.

— Zdaje się, że chorował pan od naszego ostatniego spotkania. Bardzo proszę siadać. Ta skrzynia będzie chyba całkiem wygodna. A więc czym mogę służyć? Nie zapewnił już pan przecież tego wielkiego kajetu, który udało mi się panu sprzedać!

— Bynajmniej. Ja...

— A, zgubił się pan?

— Straciłem orientację.

Pan Jones pokręcił głową i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Mógłbym dokładnie objaśnić pańskie położenie względem konstrukcji statku, ale nie sądzę, by wiele to panu pomogło. Właśnie przeszedł pan po omacku obok kabestanu rufowego.

— Rzeczywiście nic mi to nie mówi. Odetchnę tylko i pójdę dalej. Szukam pana...

— Pana...

— Pana Summersa... albo pana Benćta.

Pan Jones przyjrzał mi się ponad półksiężycami swych okularów w stalowych oprawkach, potem zdjął je i odłożył na biurko.

— Obu dżentelmenów znajdzie pan po naszej stronie pompy, która z kolei znajduje się po naszej stronie grotmasztu. Odbywają tam jakieś zebranie.

— Czy rozważają problem bezpieczeństwa statku?

— Nie zwierzali mi się, ja zaś nie pytałem.

— Ale przecież na pewno obchodzi to pana tak samo jak innych!

— Ja jestem ubezpieczony. — Pokręcił głową i uśmiechnął się w sposób świadczący o podziwieniu, jaki żywił dla samego siebie. — Taki już jestem dziwny, wie pan.

— Ale choć zapewnił pan dzięki temu byt własnej rodziny...

— Nie mam rodziny, proszę pana. Nie zrozumiał

■

pan, o co mi chodzi. Bezpieczeństwo mej osoby złożyłem w ręce tych, którzy są, jak sądzę, najbardziej przydatni w groźnych chwilach — w ręce silnych, znających swój fach marynarzy.

— To samo stosuje się do nas wszystkich!

— Nie, proszę pana. Dlaczegoż miałbym troszczyć się o wszystkich?

— Na pewno nie jest pan aż tak samolubny i na pewno nie może pan czuć się tak bezpieczny!

— Słowa, słowa, panie Talbot.

— A więc, jeżeli pana poczucie bezpieczeństwa nie jest tylko urojone, powinno ono rozciągać się na nas wszystkich!

— To niemożliwe. Ileż osób na tym statku stać na tysiąc funtów? Może pana, ale nikogo więcej.

— Do diabła!

— Widzi pan? Mam umowę, z odpowiednimi podpisami — a przynajmniej znakami marynarzy. W przypadku tragicznego końca statku jestem wart tysiąc funtów dla kilku spośród najsilniejszych i najrzeczniejszych marynarzy świata. Takiej pewności nie daje nawet Bank Angielski.

Teraz nie mogłem już powstrzymać śmiechu.

— Żeby człowiek interesu był tak prostoduszny! Panie, przecież w przypadku katastrofy będą — czy raczej powinienem powiedzieć: będziemy — ratować najpierw kobiety i dzieci, zanim ktokolwiek pomyśli o panu!

Jones pokręcił głową, jakby z litością.

— Nie sądzi pan chyba, że gdy statek będzie tonął, ja zacznę wyliczać każdemu jego udział? Nie rozumie pan pojęcia kredytu. Ja nie mam rodziny, ale nasi marynarze owszem. Pieniądze te czekają na nich na lądzie, jeżeli mnie tam dowiozą — nie wcześniej. Wielkie nieba! Proszę pana, do szalup nie zmieściłaby się i dziesiąta część naszych towarzyszy podróży. Bez takiego załatwienia sprawy — robię to przed każdym rejsem — nasze przetrwanie na morzu byłoby istną loterią!

— Ja chyba śnię! To przecież niemożliwe, by... Nawet tak skłonni do brawury ludzie, za jakich powszechnie uważa się marynarzy... nawet oni nie będą cenić pańskiego życia wyżej niż swego!

— Drogi panie, moja szalupa już czeka! Jest gotowa do opuszczenia na wodę w każdej chwili.

— Ale kapitan...

Pan Jones stłumił ziewnięcie, potem jeszcze raz pokręcił głową i uśmiechnął się, jakby myślał o czymś miłym — może o własnym dziwactwie.

— Kiedy pan pójdzie, odsłonię na jakiś czas kotarę. Powinno panu wystarczyć światła, aż zobaczy pan ich lampę.

Sam się zdziwiłem temu, że tak potulnie i w milczeniu przyjąłem tę odprawę. Próbowałem zawrzeć nieco pogardy w lekkim ukłonie, który złożyłem płatnikowi przeciskając się obok niego w drzwiach, ale zdaje się, że nawet tego nie zauważył. W jednym przynajmniej miał rację: zanim na nowo pogrążyłem się w ciemności — dziw, jak światło zagłusza odgłos naszej wewnętrznej fali, naszej maleńkiej, wewnętrznej fali! — dostrzegłem blask innego światła, dobiegającego zza czegoś, co wyglądało, jakby karetę czy powóz okryto workowym płótnem.

— Halo! Halo! Jest tam kto?

Przez chwilę słychać było tylko żarłoczne mlaskanie wody przelewającej się przez statek, potem, ponad chlupotem fali, usłyszałem znajomy głos:

— Kto tam?

— Charles? To ja, Edmund.

Znów nastała chwila ciszy, po czym światelko pojaśniało i stało się latarnią — trzymał ją w górze młody Taylor. Blask padł na koła powozu, uprząż, dyszel, wszystko szczelnie owinięte w worki; tu rzucił mnie statek, przelewając w swym wnętrzu



wodę z jednej strony na drugą. Znalazłem się obok czegoś, co wyglądało jak chatka.

— Panie Talbot, to przekracza wszelkie granice! Musi pan odejść stąd, i to natychmiast!

— Z całym szacunkiem, sir, czy to rozsądne? Pan Talbot jest wysłannikiem...

— Za pozwoleniem, panie Benêt, to ja jestem ciągle pierwszym oficerem na tym statku i pozostanę nim aż do chwali, gdy Admiralicja postanowi inaczej!

— Z całym szacunkiem, powtarzam: ponieważ jest przedstawicielem komitetu...

Nastało milczenie. Dwie blade twarze wpatrywały się w siebie. Pierwszy poruszył się Charles Summers.

Podniósł rękę gestem jakby poddania.

— Roberts, Jessop, wracać na stanowiska. Panie Taylor, proszę zostawić tu latarnię i zameldować się z powrotem u pana Cumbershuma. Tylko proszę nie zapomnieć mi podziękować. A teraz, szanowny panie... Na miłość boską, siadajże wreszcie, Edmundzie! Na tym zwoju. Jesteś po chorobie. Lepiej, żebyś nie stał przy takim kołysaniu.

— Oprę się o tę kajutę...

— O ładownię, chciałeś powiedzieć. Błagam, przestań używać tej skrzyni jako podnóżka. Są w niej nasze trzy chronometry.

— Z całym szacunkiem, sir, są w niej tylko chwilowo.

— Skąd wiecie o komitecie i mojej misji... której rzekomo się podjąłem?

— Myślisz, że takie sprawy da się utrzymać w tajemnicy? Tak się zdarza akurat, że właśnie znalazłeś się w miejscu, które na całym statku najlepiej nadaje się na poufne rozmowy! To tutaj powinien zbierać się wasz wspaniały komitet.

— Z całym szacunkiem, sir, przejdę się parę kroków, by sprawdzić, czy Roberts i Jessop naprawdę sobie poszli.

— Bardzo proszę. No, Edmundzie, czy uznajemy, że już przekazałeś mi to, z czym przyszedłeś?

— No więc oni... Pewnie powinienem powiedzieć „my”--- są zdania, że dla dobra kobiet i dzieci należałoby wziąć kurs na Amerykę Południową.

— A słyszałeś kiedyś o martwym punkcie?

— Nie przypominam sobie...

Pojawiła się z powrotem błąda w świetle latarni twarz Beneta.

— Wszystko w porządku, sir.

Charles Summers skinął głową.

— Morze, Edmundzie, obdarzane przez dawne, dzikie ludy i poetów, takich jak pan Benet, myślami i uczuciami, zachowuje się czasem w sposób uzasadniający te błędne wierzenia. Ludzie wędrujący statkami po morzu mogą czasem znaleźć się w sytuacji sugerującej działanie jakiejś złowieszczej siły! Nie chodzi mi o sztormy czy flauty, choć i te bywają groźne, lecz o drobne wydarzenia i nieprzewidziane okoliczności, dziwne wyjątki od reguł i niezgodności ze statystyką... Czy słucha mnie pan, Benet?

— Z namaszczeniem, sir.

— ...które, choć pozbawione duszy, choć w pełni materialne, mogą jednakowoż doprowadzać do tego, że przytomni, silni, znający się na swym rzemiośle ludzie muszą patrzeć bezradnie na powoli, lecz nieubłaganie zbliżającą się zagładę.

Przez chwilę milczeliśmy wszyscy. Wokół słychać było tylko pluski i kapanie. Miałem wrażenie, że pode mną znów przetoczyła się fala.

— Nie byłem na to przygotowany. Jakież to okoliczności? Czy taką właśnie odpowiedź mam zanieść komitetowi?

— Zrozum najpierw te okoliczności.

— Spróbuję, ale już teraz kręci mi się w głowie.

— Martwy punkt. Terminu tego używa się czasem w odniesieniu do miejsca zetknięcia się dwóch pły

wów morskich, gdzie tworzy się pas nieruchomej wody. Nie znajduję słów lepiej przystających do naszego położenia. Może point non plus? Widzisz, nie chodzi o to, czy popłyniemy, czy nie popłyniemy do Ameryki Południowej — zapewne masz na myśli ujście La Platy. Otóż my nie jesteśmy w stanie tam dopłynąć. Co więcej, przekonaliśmy się też, że nie możemy liczyć na dobiecie do jakiegokolwiek miejsca na Przylądku Dobrej Nadziei. Jesteśmy zbyt daleko na południe...

— Niech go diabli! To przez niego jesteśmy za daleko na południe!

Charles zwrócił się do pana Beneta.

— Proszę zakonotować, że całkowicie nie zgadzam się z uwagą pana Talbota na temat naszego kapitana.

— Zakonotowałem, sir.

— Ale przecież statki pływają jeszcze dalej na południe! Dobry Boże, przecież... Przecież statki wielorybiczne pływają po Oceanie Południowym całymi latami!

— Wciąż się nie rozumiemy. Czy zgodzisz się — nie powiem: „skłamać” — ale umniejszyć powagę sytuacji na użytek pasażerów i, co równie ważne, załogi?

— Lepiej wytłumacz mi wszystko od początku.

Charles Summers usiadł na jakimś zwoju, Benet

na czymś, co wyglądało jak skraj ławeczki, ja zaś ułożyłem się wygodniej na moim zwoju. Latarnia stała na skrzyni z chronometrami i oświetlała nas słabym blaskiem.

— Cała sprawa zaczęła się... Ech, jeśli chodzi o statek, zaczęła się w chwili, gdy go zbudowano!

— Mówi się o tych statkach, proszę pana, że budowano je na metry i tylko odpilowywano, jak było potrzeba!

— Fuszerka zdarza się niestety aż nazbyt często w budowie okrętów wojennych. Bywa, iż rzekome miedziane nity okazują się tylko zaślepkami od zewnątrz i wewnątrz, a pieniądze zaoszczędzone na miedzi, która powinna znaleźć się między nimi, widzi pan, wpadają do czyjejs kieszeni. Najczęściej, rzecz jasna, rzeczy te wychodzą na jaw dopiero przy kasacji.

Pan Benet zaśmiał się wesoło.

— Albo, rzecz jasna, na morzu, kiedy i dziur zaczyna łać się woda, ale wtedy zwykle brakuje na to świadków!

— Czy naprawdę ktoś byłby zdolny do takiej podłości? Przecież... Przecież to nasza...

— Nie wiemy, czy nasz statek też ma podobne usterki. Jeszcze nie ujawniły się tak szczegółowo. Jednak wydaje się nam, że zanadto się rusza, za dużo wypluł z siebie pakuł; no i jest stary. A teraz dodaj do tego, Edmundzie, że wiatr po stanowił zmienić się — i to aż o dwanaście rumbów — akurat w chwili, gdy niegodny tego stanowiska oficer, twój przyjaciel Deverel, wymknął się pod pokład na kieliszek czegoś mocniejszego, pozostawiając wszystko na głowie nieszczęśnika..., aspiranta...

— Willisa.

— ...który nigdy nie zostanie dobrym żeglarzem, choćby żył sto lat.

— Czy teraz pan będzie mówił, panie Benet, czy ja mogę... To zresztą dopiero początek, Edmundzie. Statek został pchnięty wstecz, czemu zapobiec potrafiłby każdy kompetentny oficer. Rzuciło go w przechył i pewno przewróciłby się, gdyby nie stracił steng. Mimo to fokmaszt obruszył się w pięcie i połamał ją. Przypatrz się fokmasztowi, Edmundzie, a zobaczysz, że saling — czy raczej to, co z niego zostało — zatacza w powietrzu małe kółko. Nie możemy więc używać fokmasztu, a dla równowagi, co natychmiast zrozumiesz, nie możemy też używać

bezanmasztu. A teraz patrz: ten sam wiatr, który nas tak pokiereszował, pchnął nasz bezradny statek z powrotem w cieplejsze wody. Tam staliśmy długo bez ruchu, więc zielsko narosło, czyniąc nas jeszcze bardziej bezradnymi. Z tego wszystkiego wynika, że po prostu nie mamy wyboru. Możemy płynąć tylko tam mniej więcej, dokąd nas niesie.

Co teraz będzie? Wszystko stracone!

— Wcale nie. Poddając się siłom natury, możemy je jeszcze przechytrzyć.

— I siły natury, i załogę, nie mówiąc już o pasażerach. Ponadto, jak pan wie, uważam, że powinniśmy poczynić pewne kroki w celu pozbycia się zielska...

— Czy pozwoli mi pan skończyć, panie Benet?

— Proszę o wybaczenie, sir.

— Doskonale. A więc, Edmundzie, czy widziałeś kiedyś atlas, na którym zaznaczono najdogodniejsze kursy dla statków płynących z jednego punktu do drugiego?

-Nie.

— Zapewne zaciekawiliby cię to. Na przykład statek płynący z Przylądka do Indii nie obierze najprostszej drogi przez Ocean Indyjski, lecz zatoczy wielkie koło, niemal u wybrzeży Australii...

— Możemy jeszcze raz napotkać Alcyonel

Charles uśmiechnął się, lecz pokręcił głową.

— Naprawdę, Edmundzie, uwierz, przykro mi, ale nie! Oni mogą płynąć jak chcą, my natomiast musimy dalej dążyć na południe wielkim Oceanem Południowym, bo tam dopiero możemy liczyć, że przeważające wiatry zmienią się, zaczną wiać z zachodu i pchną nas do Australii. Widzisz więc, że zdając się na łaskę natury być może dotrzemy do celu.

— To tak, jakby iść w dół, proszę pana, gdy nie można iść w górę. I my też popłyniemy w dół aż na antypody!

— Rozumiem. A raczej, panowie, wydaje mi się, że rozumiem.

— To będzie długi rejs, Edmundzie.

— I możemy zatonać?

Dwaj oficerowie popatrzyli na siebie. Potem Charles zwrócił się do mnie:

— Czy mogę ci zaufać? A więc tak, możemy zatonać.

Nie powiedziałem nic; starałem się zmienić w uczucie tę nagą prawdę, co udało mi się szybciej niż się spodziewałem. Zamarłem, zupełnie jak wtedy, gdy Jack Deverel uzbroił mnie w kordelas. Ale Summers zaśmiał się lekko.

— Ależ Edmundzie! Nie stanie się to ani dziś, ani jutro, a może nigdy — z boską pomocą!

— Pozostają jeszcze chronometry, sir. Proszę nie zapomnieć o chronometrach.

Charles Summers puścił mimo uszu tę uwagę młodzieńca — w sposób, który osobom nie przywykłym do stosunków na morzu wydałby się obraźliwy.

— Jesteśmy zdania, że wiadomości tej nie należy rozpowszechniać wśród pasażerów i emigrantów.

— Ale przecież daliśmy chyba wystarczające dowody męstwa, przygotowując się do obrony przeciwko statkowi, który okazał się w końcu Alcyonel

— Tamto było nagle, desperackie i szybko się skończyło. Tutaj mamy do czynienia z zupełnie innym rodzajem niebezpieczeństwa, takim, które najdzielniejszych potrafi pozbawić hartu ducha — jakby nie dość było tego kołysania!

— Zgadzam się z tobą, Charles, ale przez to znalazłem się w kłopotcie. Muszę przecież złożyć sprawozdanie temu idiotycznemu komitetowi, nie mogę ich ignorować — a sam wiem za dużo!

— Być może więc, sir, pan Talbot mógłby użyć

mojej metafory i przekazać im, że zamierzamy iść w dół?

Charles uśmiechnął się do niego blado w świetle latami.

— W obecnej chwili rzeczywiście pożądanym byłoby utrzymanie tych panów w pewnej nieświadomości. Nie wątpię, że pan Talbot świetnie wywiąże się ze swego zadania.

— Ale co ja mam im powiedzieć, do diabła?

— No, że obierzemy kurs na południe, dzięki czemu poczują się lepiej...

— Wnoszę, sir, by pan Talbot wspomniał też o szorowaniu kadłuba.

— Jeżeli powiem im, że nie uda nam się dotrzeć ani do Afryki, ani do Ameryki Południowej, zaraz słusznie domyślą się najgorszego. Jeżeli powiem, że to kapitan Anderson nie zgadza się na to, uwierzą mi, ale zaczną go oskarżać, że świadomie naraża ich na niewygodę i realne niebezpieczeństwo!

— Tak, to trudne zadanie, być może ponad twoje siły — no, Edmundzie, nie musisz od razu patrzeć na mnie jak Katon! Wierzę, że zrobisz, co tylko się da, ale i ty uwierz mi, że najlepiej by było, gdybyś przedstawił własną ignorancję w tych sprawach...

— Pierwszemu oficerowi chodzi o to, proszę pana, by nie mówił im pan wszystkiego, a mianowicie ograniczył się do zapewnienia, że wszystko będzie dobrze i że robimy co tylko możliwe w takich okolicznościach. Prywatnie przyznam się, że nie uśmiecha mi się rejs przez wody Oceanu Południowego! Tam dopiero dostaniemy za swoje! Aż strach bierze, gdy czyta się opisy: że fale są tam takie, jakich nie ma nigdzie indziej na świecie. Nawet dla porządnie opatrzonego statku...

— A nasz poddaje się jak stary bucior.

Charles zaśmiał się co prawda, ale niezbyt wesoło.

— Ich lordowskie moście z Admiralicji dali nam to, co mieli pod ręką. Przez nieuwagę rwego przyjaciela, pana Deverela, nie mamy steng, zamiast nich — kije od mioteł, obruszony fokmaszt i statek powykręcany na wszystkie strony.

Wyciągnął ręce i wykonał gest wykręcania.

— Kapitan Anderson nie powinien zgodzić się dowodzić czymś takim!

Pan Benct pokręcił głową.

— Kapitan, który odmawia przyjęcia statku, drugiego już nie dostanie.

Charles zwrócił się do niego:

— Proszę zauważyć, że nie krytykuję kapitana Andersona. To doskonały żeglarz. Pan Talbot może mówić o szczęściu, że znalazł się w pieczy takiego oficera. Jeżeli należy kogoś winić, to tylko urzędników Admiralicji, którzy bezdusznie umieścili pana na tym, tym...

— Słyszałem, sir, że pan Talbot użył raz słowa „wrak”.

— Tak, rzeczywiście.

— Co mam robić?

— Proszę im wytłumaczyć, że lekko odpadniemy od wiatru i popłyniemy najszybciej, jak tylko się da, na południe, gdzie można spodziewać się stałego wiatru z baksztagu.

— I kołysanie nie będzie już tak dokuczliwe?

Obaj oficerowie znów wymienili spojrzenia.

— Pan pierwszy oficer określiłby to słowem: „inne”. Takiego właśnie słowa powinien pan użyć: „inne”.

— No cóż, w tak poważnej sytuacji zdolny jestem do wszystkiego. Czy chcecie panowie, bym tworzył w salonie pasażerskim miłą i przyjemną atmosferę? Wesołą atmosferę?

— Na miłość boską, panie Talbot, wiem dobrze, że gdyby pojawił się pan na górze w wesołym,

&

przyjemnym nastroju, dopiero wszyscy mieliby powód do niepokoju!

— To co? Nie mogę przecież nie zrobić nic!

— A więc niech w pańskim zachowaniu nie da się zauważyć żadnej zmiany. Musi pan być taki, jak przed tym pana... wypadkiem. To wystarczy, by wszyscy gratulowali panu powrotu do zdrowia.

— Taki jak przedtem? A jaki byłem?

Nastąpiła cisza, po czym nagle i Charles, i pan Benet zaczęli się śmiać, przy czym w głosie Charlesa wyczuwałem też nutkę hysterii. Nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. Łzy śmiechu lśniły mu na policzkach w świetle latarni. Głowę skłonił aż do kolan, wyciągnął rękę i położył ją na mojej dłoni.

Wzdrygnąłem się, nie przyzwyczajony do takich poufałości, więc on też szybko cofnął dłoń i przetarł nią twarz.

— Proszę o wybaczenie. Ten nastrój współpracy, czy może raczej wspólnego spiskowania, sprawił, że zapomniałem, jak łatwo się pan obraża. Panie Benet, czy ma pan jakieś sugestie, jak powinien zachować się pan Talbot, by pozostali pasażerowie nie zauważyli żadnej zmiany w jego zachowaniu?

Uśmiech pana Beneta poszerzył się jeszcze. Obiema dłońmi odgarnął z czoła swe żółte loki.

— Znam tego dżentelmena od niedawna, ale słyszałem co nieco o „lordzie Talbocie”. A więc zachowanie pełne godności, by nie rzec pychy...

— No cóż, panowie, widzę, że stałem się przedmiotem żartów. Przyznam, że niełatwo człowiekowi mojego wzrostu znaleźć sobie miejsce w tym świecie niskich pokładów i niewyrośniętych majtków. Gdy próbuje ukryć swój wzrost, musi chodzić zgięty jak stary kaleka; gdy za to stoi prosto, jak Bóg przykazał i patrzy na świat z przyrodzonej sobie wysokości, co chwila rozbija sobie głowę i potyka się o... was, przeklęte kurduple, niech was szlag!

— Jeszcze będą z pana ludzie. Chwilami nawet wyczuwam w panu coś ludzkiego, zupełnie jakby był pan zwykłym śmiertelnikiem, takim jak my!

— A więc jeśli wszyscy jesteśmy sobie równi, proszę podzielić się ze mną jeszcze jedną informacją.

Słyszałem coś o chronometrach.

— Owszem. Wiesz, że dzięki chronometrom ustalamy naszą pozycję względem wschodu i zachodu, to jest długość geograficzną, na której się znajdujemy. Ponieważ statek nasz znajduje się w takim stanie, rozważamy możliwość przeniesienia chronometrów o jeden pokład w górę. Jednak...

— Ta fala!

— Jaka fala!

— No ta, którą mamy... która przetacza się przez statek. Ta, którą słyszałem, gdy tu do was szedłem!

— Nie ma żadnej fali, Edmundzie. Gdyby tak było, już od dawna całą załogę...

— ...i pasażerów...

— ...zagnalibyśmy do pomp, a dno owinęlibyśmy żaglami i wyrzucilibyśmy za burtę wszystkie działa! Nie ma żadnej fali. Padał przecież obfity deszcz. Nasze pokłady pluły pakułami, więc deszczówka dostała się pod pokład, bo nie cały deszcz i rozbryzgi fal spływają z powrotem do morza. Wtedy woda ta zbiera się na tym czy innym poziomie i przepływa sobie tam i z powrotem. Nie jest to przyjemne, ale nie jest też groźne. To drobnostka w porównaniu z prawdziwym zagrożeniem.

— I jeszcze proszę powiedzieć o ziarnie, sir.

— Wyrzuciliśmy za burtę parę ton ziarna, bo namokło i napęczniało. I bez niego mamy dość zachodu.

— Pan Talbot powinien też wspomnieć o szoro

waniu kadłuba, sir. Nadzieja na zwiększoną prędkość powinna jakoś wynagrodzić pasażerom wszystkie niewygody.

Badawczo przyjrzałem się Charlesowi.

— A więc myliłem się myśląc, iż bierze tyle wody, że między jednym pompowaniem a drugim w zębach przetacza się fala?

Nastąpiło dłuższe milczenie. Charles Summers przyłożył dłoń do ust, potem opuścił ją z powrotem.

— Nie było żadnej fali. Pomyliłeś się.

Teraz z kolei milczałem ja. Potem zaś zapytałem:

— A szorowanie kadłuba?

— Pan Benet przekonał kapitana, że uda się dokonać tego tu, na pełnym morzu, i pozbyć się zielska. W tej sprawie postąpię wedle rozkazu. Następnie zastanowimy się nad moją propozycją obwiązania kadłuba każdym kawałkiem wolnej liny, jaki tylko się znajdzie. Zabieg ten, jeżeli przeprowadzony właściwie, sprawi, że statek będzie mniej poddawał się fali.

— Rozumiem. Czeka nas ciągnąca się w nieskończoność, dręcząca niepewność jutra, widmo katastrofy. I tak całą karierę diabli wzięli... I butelka rumu! Czy rzeczywiście nic więcej nie można uczynić?

— Pozostaje jeszcze się modlić.

— Jak Colley! O nie, strach nie rzuci mnie na kolana!

Wstałem. Za grotmasztem pojawiło się światło, jakby poranka.

— Co to za światło?

— Zmiana wachty. Ci, którzy otrzymali kary, zawsze schodzą na dół pompować przez pierwsze piętnaście minut.

Zrobiło się jeszcze jaśniej. Marynarze ustawili się przy długich dźwigniach, wystających po obu stro-  
nach masztu. Chwyciwszy za nie, rytmicznie pociągali je w dół i w górę.

— Myślałem, że pompy stukają.

— Kiedy ciągną powietrze, a teraz przecież ssą wodę.

— Muszę podziękować panom za zaufanie. Nie nadużyję go.

— Za pańskim pozwoleniem, sir, poświęcę panu Talbotowi aż do zbrojowni.

— To miło z pana strony.

— Ależ to nic takiego. Zawsze do pańskich usług..,

— Ja również polecam się...

Pan Benêt bardzo grzecznie poprosił gestem, bym ruszył za nim.

— Na Boga, proszę pana, chodzi jak złamany patyk.

— Chodzi, proszę pana?

— I w jedną, i w drugą stronę. Raz w jedną, raz w drugą. Łamie się w pół, raz w górę, raz w dół.

— Tak, jak kiedy ktoś próbuje odłamać świeżą gałąź.

— O, właśnie. W górę na grzbiecie fali, w dół w dolinie.

— Nie zauważyłem.

— Nic dziwnego. Taki ruch zauważa się dopiero po wnikliwej obserwacji. To trochę jak z ruchem księżyca. Zapewne uważa pan, że polega on jedynie na kolistym biegu po niebie, gdy tymczasem jest on nieskończenie bardziej skomplikowany. Czasem wydaje mi się, że księżyc to taki statek, w którym chodzi każda deska, łamie się to w jedną, to w drugą stronę, kołysze, tłucze dziobem o falę, okropnie pokiereszowany, więc nawet nie porusza się równo, zupełnie jak ten nasz stos kłopotów.

— A więc to dlatego George Gibbs wypił mi całą szklankę brandy, a potem doprawił się jeszcze drugą, ale rumu! Akurat, sprawdzał klepki! On po prostu

\*

udawał, że pracuje, byle wyłudzić coś mocniejszego, bo to, co wyczuwa nogami, śmiertelnie go przestraszyło! Czy miał się zgłosić do pana?

— Nie do mnie, ale do pierwszego oficera, i już dawno miał stawić się do raportu. Ja też jestem tu tylko jednym z podwładnych.

— Nie ma w tym nic oczywistego. Czy zechciałby pan podejść do mojej — o mały włos nie powiedziałem „komórki” — i sprawdzić, czy po Gibbsie nie zostało mi trochę brandy?

— Jestem na służbie i muszę wracać do pana Summersa; jednak kiedy indziej avec beaucoup de plaisir!

Przesunął dłoń po lokach, wsadził kapelusz na głowę, zasalutował do niego, tak jakby znowu chciał go zdjąć — lampy w zbrojowni, też posłuszne regulaminowi, przechyliły się pod takim samym kątem jak jego ręka — po czym odwrócił się i odmaszerował tam, skąd przyszedł. Pan Askew wciąż siedział, opierając się o drewnianą ścianę.

— Słyszałem, że wygadał się pan przed oficerem

o George'u Gibbsie. George będzie z tego niezadowolony.

Dawno nie rzuciłem komuś tak zdawkowej odpowiedzi, bo wydało mi się nagle, że kołysanie jeszcze się wzmogło.

— Nie tylko z tego!

Wyostałem się na górę po drabinkach; te kierowały się duchem nie regulaminu, lecz morza, gdyż nie tyle wspinałem się, co walczyłem z nimi. Kołysanie rzeczywiście było teraz silniejsze, lecz wkrótce zrozumiałem, dlaczego. Naszą naradę odbyliśmy przecież w samych trzewiach statku, siedząc wokół chronometrów, które należy przechowywać tam, gdzie najmniej kołysze. Teraz oddalałem się od tego punktu, wystawiając się na dzikie harce wiatru, wody i drewna, jako przedmiot znacznie mniej cenny niż te delikatne zegary! Do mojej komórki dotarłem już z bólem w łydkach, ten zaś był tylko najbardziej wyczuwalną z licznych słabości ciała, które opadło nagle z sił, zmęczone kołysaniem, nudnościami i nadmiarem wrażeń. Zbliżając się do drzwi usłyszałem za nimi jakiś nagły hałas, jakby ktoś zerwał się na równe nogi. Szarpnąłem za klamkę.

— Wheeler! Do diabła, przestań mnie prześladować!

— Ja tu tylko sprzątałem, proszę pana...

— Trzeci raz w ciągu dnia? Jeśli będę cię potrzebował, to cię wezwę!

— Proszę pana...

Urwał, by po chwili przemówić zmienionym głosem, głosem, w którym dziwnie pobrzmiwały echa jakby innych krajów, innych obyczajów, innych ludów.

— Jestem w piekle, proszę pana.

Usiadłem na krześle.

— Co to wszystko znaczy?

Wheeler zwykle wyróżniał się spośród służących na statku unізoną, by nie rzec służalczą postawą. Nigdy nie popatrzył mi prosto w oczy — teraz jednak tak właśnie uczynił.

— Dobry Boże, czyś ty ducha zobaczył, czy co? Nie! Nie odpowiadaj!

Zupełnie nagle wahadłowy ruch, z którym dotąd walczyłem, o wiele silniejszy niż tam, gdzie przechowywano chronometry, złamał mój opór. Po prostu rzuciłem się do wiadra, stojącego pod miednicą i zwymiotowałem. Jeszcze przez pewien czas, jak wie każdy, komu choć raz przytrafiło się coś podobnego, zdawałem sobie sprawę tylko z tego, że wszystko przyprawia mnie o mdłości. Wreszcie położyłem się na koi, niczego już nie pragnąc, tylko śmierci. Wheeler musiał chyba zabrać wiadro. Pamiętam, że potem wrócił i został. Wydaje mi się, że namawiał

mnie na środek uśmierzający, ja zaś chyba w końcu poddałem się i przyjąłem dawkę, która zaraz wywarła swój zwykły, magiczny wpływ. Niejasno przypominam sobie, że cały czas, gdy leżałem nieprzytomny, Wheeler spędził na moim krześle. Przechylony na bok, opierał głowę o krawędź koi, a cała jego postać zdradzała straszliwe ■wycieńczenie.

Kiedy później doszedłem do siebie, czułem lekki ból głowy i paskudny posmak w ustach. Wheeler wciąż tkwił w mojej kajucie, ale teraz stał. Mruknąłem, żeby sobie poszedł, ale nie usłuchał. Usiadłem i doznałem wrażenia, że powoli przyzwyczajam się do kołysania.

— Uważam, Wheeler, że lepiej będzie, jeśli się wytłumaczysz. Ale nie od razu. Najpierw przynieś gorącej wody. I wyciągnij mi świeżą koszulę... No, na co czekasz?

Obliział wargi. Gwałtowne szarpnięcie statku, odmienne od nieustannego kołysania, sprawiło, że zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie chwycił się krawędzi koi.

— Co z tobą, człowieku?

— Przepraszam pana. Świeża koszula... Tu, w tej szufladzie, proszę pana. Ale gorącej wody...

— No?

— Wygaszono palenisko, proszę pana. Obawiam się, że woda będzie w najlepszym razie lekko depla.

— I kawy. Gorącej kawy.

Wpatrywał się gdzieś daleko przed siebie, a cokolwiek tam zobaczył, nie przypadło mu do gustu.

— Wheeler!



- 
- Mógłbym poprosić Hawkinsa, żeby nastawił czajnik w mesie kapitańskiej.
  - Doskonale.

Zaiste, statek to świat! To wszechświat! Po raz pierwszy od początku tego rejsu zwróciłem uwagę na prosty fakt, że aby mieć gorącą wodę, nie mówiąc już o gorącym posiłku, trzeba rozniecić ogień, a znów żeby rozniecić ogień potrzeba, hm, krzesiwa, hubki, i... tego... jakiegoś komina! Przez tyle tygodni załoga pełniła swe obowiązki, o których ja nie wiedziałem nic zgoła! Dopiero dziś, czy może już wczoraj, po raz pierwszy ujrzałem na własne oczy pewne części statku — od czasu do czasu niemal do góry dnem, zupełnie jak w teleskopie! — a więc chronometry, ładownię, pompy przed i za grotmasztem... i to dopiero teraz, choć już dawno temu postanowiłem opanować wszelkie arkana żeglugi! Byłem zły na siebie, że zgodziłem się wziąć środek usmierający, zupełnie jak ktoś, kto złości się, gdy ślubowawszy wstrzemięźliwość od alkoholu budzi się cierpiąc na skutki pijaństwa. Czułem się brudny! Tu, na tym statku, na którym być może czeka mnie śmierć, czułem się zbrukany: prawdziwym brudem, środkiem usmierającym, niemożnością kształtowania własnego losu — a wszystko z powodu mglistej wizji Marion Chumley! A zresztą niech sobie statek toni! Ja znów powróciłem umysłem do Marion Chumley!

Wheeler pojawił się z pustymi rękami.

- A teraz co znowu?
- U kapitana też się nie pali.
- Co u diabła... Dlaczego?
- Od kiedy wiadomo, że możemy pozostać na morzu dłużej, niż to było w planie, kapitan kazał wygasić ogień i oszczędzać paliwo, żeby starczyło dla kambuza.
- Kapitan? Kapitan obywa się bez ognia, byle starczyło go dla pasażerów?
- Hawkins mówił, że chodzi mu raczej o załogę, proszę pana.
- Nigdy bym nie przypuścił!
- Pan Anderson to dobry kapitan, proszę pana, temu nikt nie przeczy.
- Powiesz pewnie, że nie taki on zły, jak go malują.
- Nie, nie, proszę pana. Naprawdę jest on jeszcze gorszy niż go malują. Ale przyszedłem panu powiedzieć, że nie ma nic do picia. Za to poprosiłem Batesa, żeby przyniósł mi trochę wody z kambuza, ale ona będzie najwyżej letnia.

Wyszedł, ale jestem pewny, że nie dalej niż na korytarz. Siedziałem na krześle i czekałem, znów zagubiony wśród tylu okoliczności: ten brud, cielesny i moralny; to kołysanie statku, to wahadło, które jeśli nie przyprawiało mnie o mdłości, było ciągnącą się minuta za minutą udręką; i ten Deverel, Jack-zawa- diaka, cieszący się swobodą tam właśnie, gdzie ze wszystkich sił pragnąłem się znaleźć, na tym drugim statku, gdzie to piękne, nieposkromione stworzenie...

Bosymi stopami wyczuwałem coś dziwnego. Dobry Boże, a więc to prawda, klepki pokładu ruszają się jak żywe! Pokład jakby dostawał gęszej skórki, niczym żywy, umięśniony organizm! Świadomość tego niepokoiła bardziej niż brutalnie nierówne kołysanie całego statku w rytm przechodzących pod nim fal.

Wszedł Wheeler z kubkiem kawy. Była ledwo letnia, ale i tak zacząłem ją pić. Nalał do miednicy odrobinę wody, więc zostawiłem kawę, tak spieszo było mi do mycia. W prawdziwej pasji czystości wyszorowałem się od stóp do głów w wodzie, która wkrótce stała się i brudna, i zimna jak lód — jakbym chciał pozbyć się nie tylko obu rodzajów brudu, ale też brudu statku i straszliwych okoliczności, w jakich się na nim znalazłem. Wkładając czystą bieliznę wreszcie poczułem się lepiej; prawie tak dobrze jak

wówczas, zanim rozhuśtany szot spadł mi na głowę i plecy. Ubrałem się, otworłem kajet i pobieżnie przejrzałem to, co dotąd w nim napisałem. Wyciągnąłem nawet z szuflady paczuszkę zawierającą opis pierwszej części podróży i przez chwilę ważyłem ją w dłoni zastanawiając się, czyby nie otworzyć jej i nie przeczytać w celu dokonania poprawek, ale przerażała mnie perspektywa ponownego pakowania dziennika.

Ach, gdzież teraz ów pewny siebie młodzieniec, który wszedł na pokład tego statku zdecydowany wszystkiego się nauczyć i nad wszystkim panować! Przed wypłynięciem traktował ten okropny rejs jako świetną przygodę, niczym podróż dylizansem, w której wszystko da się tak łatwo przewidzieć, gdy jedzie się z Londynu do Bath! Miał dotrzeć do zatoki Sydney poruszając się równym tempem po spokojnym morzu, na statku będącym jakimś doskonałym dziełem inżynierii okrętowej. Ale wojna skończyła się, a statek okazał się przegniły jak stary ser, Deverel i Willis do spółki pozwolili, by od sera — statku — dylizansu — odpadło koło, a do tego wyprzedziła nas Alcyone, raziwszy młodzieńca gromem, by zaznał mąk żądz, rozłąki, zazdrości...

— Deverel! Jack-zawadiaka!

Po jakimś — nie bardzo pamiętam jakim — czasie oprzytomniałem, zupełnie jak nurek, który powraca na powierzchnię wody. Wpatrywałem się w lustrze w tę zbyt już zmienioną twarz. Pomyślałem sobie wtedy, przyglądając się blademu, wychudłemu obliczu, że memu ojcu chrzestnemu wydawałbym się zabawny i zarazem irytujący. Ten Edmund, który zakochał się w niewłaściwej — zupełnie nieodpowiedniej — dziewczynie... Przecież ten stary cynik wołałby już, bym upodobał sobie lady Somerset! A jakby tego wszystkiego było mało, ten Edmund

mógł teraz utonąć na zupełnie nieodpowiednim statku...

Ów nieodpowiedni statek jakby wyczuł, że go obrażam, bo klepki pokładu, na których stałem, niemal podskoczyły.

— Przecież...

Urwałem. W duchu powiedziałem sobie, że jest coś, czego nie rozumiem w tym „przecież”, które wyrwało mi się bez udziału woli. Była to nie tyle myśl co poczucie, że „ja” powinienem zrobić coś z „tym”, a jeśli nie „ja”, to „ktoś” inny! Może to niewiarygodne, ale moje myśli zaczęły krążyć wokół naszego ponurego kapitana! W końcu komitet polecił mi przeprowadzić z nim rozmowę! Najpierw posłuchałem własnych instrukcji i zobaczyłem się z Charlesem Summersem, teraz posłucham ich! Zawołałem Wheelera, który otworzył drzwi niemal zanim zdążyłem wypowiedzieć jego nazwisko. Narzucił i zapiął na mnie nieprzemakalny strój. W gumowych butach wyszedłem za próg i w tej samej chwili cały statek odjechał gdzieś w tył. Przechylny całkiem po marynarce pomaszerowałem ku śródokręciu. Nie wiem, czy był to wytwór mojej wyobraźni, czy też nie, ale zdawało mi się, że w jednej z komórek po mojej stronie korytarza ktoś szlochał. Stałem na śródokręciu, trzymając się relingu przy wejściu na rufę. Statek rzeczywiście kołysał się szybciej, nieprzerwanie pochylając się to w jedną, to w drugą stronę, od czasu do czasu miotając się niby w zniecierpliwieniu czy raczej dzikim gniewie. Deszcz i bryzgi fal, przelatujące poziomo nad relingiem od zawietrznej, kłuły mnie w twarz jak śrut. Statek unosił się na każdej fali, jakby rzeczywiście płynął do przodu, lecz zaraz potem prostował się w tym samym mniej więcej miejscu co przedtem. Ociekające deszczem i morską wodą żagle, ogromne, rozpostarte tylko na grotmaszcie, sprawiały wrażenie, że bardzo

✓

żałosny z nich przeciwnik dla napierającego wichru. Mimo tej fatalnej pogody na dziobie wrzała praca przy różnej wielkości linach; miały posłużyć do jakiejś operacji, choć nie miałem pojęcia, na czym miałyby ona polegać. W każdym razie liny przez większość czasu znajdowały się pod wodą, ja zaś cieszyłem się, że jestem pasażerem, nie oficerem, a już tym bardziej nie prostym marynarzem. Odwróciłem się i zacząłem wchodzić na rufę. Ponad kołem sterowym, trochę za nim i dwoma lśniącymi od wody sternikami, widoczny częściowo ponad przednim relingiem mostka, stał kapitan Anderson. Miał na sobie znoszony nieprzemakalny strój i zyd-westkę; nie zrażony lejącą się na niego zewsząd wodą wpatrywał się ponuro wprost w oko wiatru. Z wielką ostrożnością obchodziłem właśnie ludzi przy sterze, gdy kapitan dostrzegł mnie — i uśmiechnął się! Okropny był to widok. Na chwilę pokazał swe nieliczne zęby, zupełnie jakby kto wrzucił w ponurą czeluść kapitańskich trzewi mały, żółty kamyk. Otwarłem usta, ale on już odwracał się do mnie plecami. Ruszyłem za nim, ryzykownie biegnąc w górę po drabince, by go zatrzymać, ale gdy znalazłem się na górze, on tymczasem zszedł już w dół swym przywrotnym trapikiem i zniknął. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, tylko: „Nie przeszkadzać!” A przecież uśmiechnął się do mnie — krótko co prawda i sztucznie, ale i tak była to rzecz dotąd niespotykana.

Jak we śnie przypomniałem sobie jasną czuprynę, świeżą cerę i słowa pana Beneta: „Wnoszę, sir, by w tej trudnej sytuacji pokazywał pan pasażerom pogodne oblicze. Gdy zauważą, że kapitan jest zatroskany, nie poradzimy sobie z nimi!”

Czyżby się ośmielił?... O tak, młody oficer, który „nastawał na cześć” pięknej lady Somerset, gdy tuż obok jej mąż dokonywał obchodu statku, musi być obdarzony śmiałością iście straceńczą!

Wachtę trzymał nasz drobny żaglomistrz, pan Smiles. Z chwilą gdy kapitan zszedł pod pokład, zajęł miejsce na prawej hurcie, twarzą do wiatru

— A więc, panie Smiles, iak pan widzi, jestem już zdrowszy i nie chciałbym być nigdzie indziej, choćby dawano mi tysiąc funtów!

Smiles przyjrzał się mej twarzy w taki jakim odległy sposób, jakby znajdowała się gdzieś na horyzoncie. Oczy miał zaczerwienione od bryzgającej wody Uniósł jeden palec do ust, nakazując milczenie.

— O co chodzi, panie Smilesi? Nawet za tysiąc funtów! Wie pan co? Kiedy oberwałem rylem po głowie, myślałem, że zwiariowałem; a tymczasem tam na dole siedzi prawdziwy wariat, który myśli, że pośród tych słonych odmętów może kupić »btc bezpieczeństwo!

Smiles opuścił palec.

— Zdarza się, proszę pana, że na statku wizysey po kolei tracą zmysły.

— Prawdę mówiąc dochodzę do wniosku, że każdy, kto na swój dom i zawód obiera te okropne pustkowie, musi być niespełna rozumu, więc pewnie ma pan rację! Jak to nas kołysze — do diabła, cały czas skaczą jak małpa z gałęzi na gałąź. Podziwiam pana, że potrafi pan tak świetnie trzymać się ni nogach i z taką obojętnością znosić kołysanie

Nie odpowiedział, tylko znów zaczął wpatrywać się w morze. Miałem wrażenie, jakby szukał drogi wśród tych wzburzonych fal. Przyszło mi na myśl, że moja rozmowa z nim to nie tylko zwykłe naruszenie rozkazów kapitana, ale ich całkowite pogwałcenie. Może dlatego Smiles kładł palec na ustach! Inne były już czasy, inna pogoda, ale nie chciałem jeszcze bardziej komplikować sytuacji na statku. Skinąłem głową panu Smilesowi i dotarłem pod pokład; miałem już dość świeżego powietrza. Zauważyłem, że Wheeler wślizguje się do mojej

kajuty. Nie zniósłbym więcej jego towarzystwa, więc czepiając się klamek komórek, powlokłem się do salonu. Nie było tam jednak całego komitetu, tylko mały pan Pike. Z przykrością wyznaję, że opadłem na ławę pod oknem rufowym i tam pozostałem, z głową wspartą na stole.

— Choruje pan tak, jak cała reszta.

Jęknąłem w odpowiedzi, a on mówił dalej:

— Nie powinienem tak myśleć o panu, ale przecież był pan ranny. Mam nadzieję, że głowa już pana nie boli. Sam uderzyłem się o framugę przy jakimś gwałtowniejszym przechyle, ale już mi lepiej. Widział się pan z panem Summersem?

— Gdzie komitet?

— Zmogło ich to kołysanie. Pan Prettiman upadł bardzo nieszczęśliwie. Ale jeśli pan sobie życzy, mogę po nich pójść.

Pokręciłem głową.

— Poczekam, aż poczują się na tyle dobrze, by zjawić się tu o własnych siłach. Ten Bowles zrobił na mnie dobre wrażenie. Ma to, co Rzymianie nazywali gravitas. Zadziwiające.

— Wcale nie. Pan Bowles studiował prawo.

Zadziwiające było to, jak szybko mały Pike potrafił znudzić człowieka!

— Powinien pan pójść odpocząć, jak tamci.

— Nie, nie. Widzi pan, mną tak nie rzuca, jak innymi, bo jestem drobny i lekki, a nawet jeśli wywrócę się, to łatwo mi wstać. Nie to, co biedny pan Brocklebank, który przy takiej fali wstaje z koi tylko po to, by... Wie pan, że wolę siedzieć tu z panem niż być z rodziną? To okropne, wiem, że to okropne, ale wystarczy chwila, a ja już nie mogę tego znieść, mimo że tak się niepokoję i tak bardzo je kocham.

— A czymże się pan tak niepokoi?

— One nawet nie mogą odpocząć, proszę pana.

Od czasu do czasu bawią się w łóżku... to znaczy na koi, na górnej koi, jedna po jednej stronie, druga po drugiej. No więc bawią się, ale zaraz zaczynają płakać, a potem jest jeszcze gorzej. Bawią się ledwie minutkę, a potem leżą tylko i... no, co tu kryć, i skamla, oczywiście żona nie lubi, kiedy tak mówię. Sama zresztą nie czuje się dobrze. Co robić? Żona uważa chyba, że mógłbym coś na to zaradzić i szczerze mówiąc właśnie dlatego tu teraz jestem, ale nic nie przychodzi mi do głowy. To właśnie najbardziej boli.

Przypomniałem sobie instrukcje dane mi przez Charlesa.

— Takie zaufanie powinno panu pochlebiać.

— Wcale nie.

— Bo ja, wyznam panu, nie zamieniłbym się z nikim, choćby dawał mi tysiąc fantów!

— Może przejdziemy na ty, proszę pana? Dicky jestem. Wiem, że nie posiadam tego, co Rzymianie nazwaliby u pana Bowlesa...

— Gravitas. Niechże się pan nie martwi, jedni ją mają, drudzy nie i wcale im to nie przeszkadza. Podobno i ja wykazuję tę cechę w pewnym stopniu, ale nie można jej u siebie wykształcić; z nią można się tylko urodzić. Dobrze, proszę pana, mogę do pana mówić Richard, jeśli ma to pana pocieszyć.

— Dziękuję panu. Woli pan Ed czy Eddy?

— Drogi panie, w tej dramat... w tych okolicznościach może mnie pan nazywać „Edmundem”. No, głowa do góry, człowieku!

— Postaram się, Edmundzie, ale to nie wystarczy, żeby dzieci poczuły się lepiej.

— W tym względzie naprawdę mogę pana pocieszyć. Dobry Boże, wie pan, że moi młodszy bracia co chwila łamią sobie ręce albo nogi, albo jedno i drugie — a najczęściej pewnie wszystkie cztery kończyny naraz! Do tego kolki, wysypki, zaziębienia — a wszys

tko goi się jak na psie! Po prostu rosna, proszę pana, przepraszam, Richard, jeśli się nie mylę jest to proces długi i bolesny!

— Podobno wiatr wieje ze zlej strony. Kołysanie statku...

— Człowieku, wiatr może się zmienić! Nim się obejrzymy, okaże się, że już suniemy przed siebie jak po maśle! Wie pan przecież, że to Brytania panuje nad falami! Nie zamieniłbym się z nikim i za...

— Obawiam się, że tak właśnie jest.

— ...tysiąc funtów.

— Jest coraz gorzej...

— Ależ co pan! Oficerowie zapewnili mnie...

— Naprawdę jest z nimi coraz gorzej. Co dzień są odrobinę słabsze... Ach, Edmundzie, czy naprawdę nic nie można zrobić? Błagałem cyrulika, żeby kazał nas przenieść na ten drugi statek, chociaż nie mam pojęcia, co poczęlibyśmy w Indiach... Ale on nie chciał się zgodzić. Wtedy wiatr byłby sprzyjający...

— Przeciwny wiatr nie może trwać wiecznie. Kiedy znajdziemy się na Oceanie Południowym...

— Ale przecież statek wcale się nie posuwa, prawda?

— Powoli jakoś tam dopłyniemy. Marynarze wyszorują liną kadłub z zielska i zaraz zaczniemy płynąć szybciej. Och... Nie powinienem o tym mówić... Widzi pan? Nie ma się czego bać, proszę pana, naprawdę, nie ma się czego bać.

— I jeszcze jedno. Edmundzie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że statek coraz bardziej zanurza się w wodzie. Nie dzielę się tymi podejrzeniami z żoną, ale dziś rano napotkałem jej wzrok — ona wie, Edmundzie! Ona też o tym myśli!

Zaśmiałem się głośno, z wielką ulgą spostrzegłszy, że w tym przynajmniej względnie mogę nieco uspokoić tego irytującego biedaka.

— Co z pana za człowiek, Pike! Przyznaję, kiedy byłem chory i upadłem na duchu, mnie także się wydawało, że statek bardziej się zanurza! Jednak dzisiaj marynarze wypompowali z niego tyle samo wody, ile w Spithead, gdy staliśmy na kotwicy!

— Wiem o tym, Edmundzie, i wszystko, co mówisz, to święta prawda, ale Bates twierdzi, że w statku jest teraz więcej wody.

— Może więc zainteresuje pana to, co powiedział mi dziś pierwszy oficer: że wciąż pompują tyle, ile na początku? W statku jest trochę więcej wody, ale bierze się ona z deszczu i z tego, co bryzga na pokład. Stoi tam, gdzie nie sięgają pompy — to denerwujące, ale na pewno niegroźne! Proszę uważać: wydaje się to groźniejsze, niż jest w rzeczywistości, przez to całe kołysanie. Tam, na dole, ktoś niedoświadczony mógłby wziąć odgłosy chlupiącej deszczówki za prawdziwą falę, przetaczającą się z jednego końca statku na drugi!

— To naturalne, że pierwszy oficer tak to panu wytłumaczył, prawda? To znaczy, tak właśnie postępowałby w wypadku prawdziwego niebezpieczeństwa, żeby wszyscy zachowali spokój. Dobry jednak z ciebie człowiek, Edmundzie, że tak mnie pocieszasz. Chcę ci wierzyć i to samo powiem żonie, przedstawiając wszystko od jak najlepszej strony — jeśli mi się to uda, oczywiście.

— Myślę, że przed powrotem do swej komórki — to znaczy kajuty, dobry Boże, człowieku, nie jesteśmy przecież jakimś bydłętami, prawda? No, najlepiej będzie, jeśli postawię ci coś mocniejszego.

— Nie, nie, Edmundzie. Jak już ci tłumaczyłem, od tego pali mnie w gardle i zupełnie głupieję. Edmundzie, ja nawet modłę się, ale na próżno. Ciągle myślę o tym, że jest powiedziane: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie”. To niedobrze, że są takie małe, prawda, bo tym bardziej bezbronne? Kiedy myśleliśmy, że ten drugi statek to Francuzy, powiedziałaś, że są za młode dla Fran-

cuzów. Ale nie mogę przestać myśleć o tym, że wcale nie są za młode dla naszego Pana, Edmundzie, a jeśli umrą mi w tym przeklętym miejscu, na tym pustkowiu, nie pozwolę, żeby wrzucono ich ciała do morza; wszędzie, byle nie tu... Sam rzucę się za nimi...

— Pike! Weźże się w garść, człowieku! Richard! Richard, mówię! Przystań bredzić! Niech to szlag trafi, przestań mazać się jak baba!

— Dobry z pana pocieszyciel, panie Talbot. Niezdarnie dźwignąłem się na nogi. Stała za mną panna Granham, wyciągając jedną rękę przed siebie, drugą podtrzymując spódnicę, by nie zetknęły się z mokrą podłogą. Dowlokłem się za stół, ale ona siadła przy tym, który stał najbliżej drzwi i opadła już na ławę. Nagły przechył statku rzucił mnie na drugą stronę, więc siedziałem teraz dokładnie naprzeciwko niej.

— Panno Granham, naprawdę nie powinna pani tu przychodzić! Żeby dama... A gdzie pan Prettiman? Powinien przecież...

Panna Granham przemówiła zmęczonym głosem:

— Źle się czuję, ja zresztą też. Ale on na dodatek upadł, i to bardzo niefortunnie.

— Czy mógłbym być w czymś pomocny? Może go odwiedzić?

Pike zaśmiał się ironicznie przez łzy.

— Edmund nawiedzający cierpiących!

— Przyznaję, proszę pana, że to komiczne, ale w naszym położeniu przyda się nawet odrobina komizmu.

Pike obszedł dokoła stół i skulił się na mojej ławie tuż przy oknie. Statek, jakby na równi ze mną poirytowany jego zachowaniem, drgnął. Wyszczeryzony horyzont pojawił się w oknie pod oszalałym kątem, a mały Pike przejechał po ławie i wpadł na mnie. Wymamrotał jakieś przeprosiny i odsunął się dalej. Panna Granham patrzyła na niego ze współczuciem.

— Czy czują się lepiej, proszę pana?

— Ani trochę. Pójdzie pani je odwiedzić?

— Później, proszę pana. Lepiej byłoby, gdyby powiedział pan żonie, by to ona mnie zaprosiła. Oczywiście rozumiem jej zdenerwowanie, ale...

— Jest jej naprawdę bardzo przykro, proszę pani, i bardzo żałuje swego niefortunnego wybuchu. Naprawdę tak mówiła. Błagam panią!

Panna Granham westchnęła.

— Zrobię, co w mojej mocy, lecz nieco później. Teraz, gdy pan Prettiman jest kontuzjowany...

— Przekażę jej pani słowa. I twoje, Edmundzie. Udało mu się wstać na nogi. Wyglądał jak ktoś, kto balansuje na dachu — czekał, aż ten szatański dach zdecyduje się wreszcie przechylić w drugą stronę. Chwiejnie dotarł za drzwi, które nawet udało mi się za nim zamknąć. Panna Granham siedziała odchylna w tył, obiema dłońmi trzymając się krawędzi stołu. Oczy miała zamknięte, a po policzkach płynęły jej krople potu czy też łzy.

— Przyszłam tu z nadzieją, że dostanę trochę ciepłej wody, ale przyznam się, że głos mam taki słaby...

— Na to zaraz znajdzie się rada, bo użyczę pani swego. Bates! Bates! Gdzie się podziewasz, człowieku? Wyłaż mi z tej przeklętej nory — o, przepraszam, nie ciebie, Bates, tyłką panią... Wrzątku, i to zaraz!

— Nie ma.

— Masz zwracać się do mnie sir!

— Wheeler już panu mówił, sir, że nie ma.

— Zaraz zobaczymy! Wheeler! Wheeler! Wheeler, jesteś tam? No, nareszcie. Co to ma znaczyć? Dajesz dżentelmenowi gorącej wody, kiedy brakuje jej dla dam?

— Panna Granham nie mieszka po mojej stronie korytarza, proszę pana.  
— Ja też nie, od kiedy się przeniosłem!  
— Tak jest, proszę pana, ale...  
— Wrzątku, Wheeler, i to szybko! Jeśli trzeba, rozpal ten cholerny ogień, a jak ktoś będzie cię pytał, powiedz, że to na moje, moje...  
— Jest pan bardzo uprzejmy, ale proszę...  
— Nie ma o czym mówić, proszę pani. Wheeler, wrzątek zanieś do kabiny panny Granham.  
— Choćby i sam wrzątek, byle tylko poczuć w ustach to rozchodzące się ciepło. Kiedyś z taką pieczołowitością parzyłam herbatę, a teraz wystarczy mi sama gorąca woda!  
— Nie ma pani herbaty?! Dobry Boże, przecież ze mnie największy, najprawdziwszy, kompletny, bezmyślny...

Pokład wyprostował się na chwilę. Skoczyłem na nogi, przebiegłem przez korytarz do kajuty, padłem na kolana przed szufladą, wydobyłem z niej paczuszkę i pobiegłem z powrotem do panny Granham, by zdążyć, nim pokład znowu wymyśli coś nowego. Był to triumf jeśli nie rycerskości, to na pewno zręczności; sprawiło mi przyjemność, że raz przynajmniej udało mi się przechytrzyć to stare, zamokłe pudło, w dodatku samemu nie doznawszy żadnej szkody.

— Proszę panią bardzo i stokrotnie przepraszam!

— Herbata!

— Leżała u mnie w szufladzie od pierwszego dnia rejsu i prawdę mówiąc, po prostu o niej zapomniałem. Mam tylko nadzieję, że nie zepsuła się całkiem w powietrzu tego dzikiego oceanu. A przecież widziałem, że panie zbierały się wokół czajnika podczas bardziej przychylniej pogody, bo, jak to mówią, napój ten „rozwesela, lecz nie otumania”...

— Nie mogę tego przyjąć.

—Panno Granham, na miłość boską!

Głowę miała odwróconą. Spod obowiązującego

paczuszkę sznurka wyciągnęła małą karteczkę. Natychmiast rozpoznałem znajome pismo. „Dla mojego Małego Książątka od starej Dobbie, z wyrazami miłości oraz nadzieją, że nie będzie pił mocniejszych trunków”.

—O Boże, proszę pani, wielkie nieba. Chciałem powiedzieć — proszę mi wierzyć — co za idiotka! Mogła przynajmniej złożyć tę kartkę, niech to diabli — a teraz znowu klnę przy pani jak szewc. Szczerze proszę panią o wybaczenie, ja sam nie lubię herbaty i pijam ją tylko dla towarzystwa. Panna Dobson byłaby okropnie zła, gdyby podejrzewała... Żandarm, nie kobieta! Postawiłaby mnie do kąta na okrągłą godzinę, gdyby podejrzewała, że... To znaczy, na statku posłałaby mnie na szczyt masztu, gdybyśmy jeszcze go mieli... Zresztą chyba mamy, bo przecież ten młody Willis spędza tam tyle czasu... Jak pani zapewne przypuszcza, dobra z niej dusza, choć może zbyt nie przejęta wpływami szkoły sentymentalnej...

—Panie Talbot...

— ...Przecież tylko fanatyczka mogła uczyć czytać małego chłopca z Sir Charlesa Grandisona! Myślała zapewne, że tak doskonały przykład cnót chrześcijańskich dobrze mi zrobi, ale może mi pani wierzyć, że ta bajka, jeśli bajką można nazwać coś, co zajmuje tyle tomów, naznaczyła mnie na całe życie!

Przez chwilę myślałem, że panna Granham powstrzymuje śmiech, ale prawda okazała się jeszcze gorsza. Choć twarz aż wykrzywiła się jej z wysiłku, łzy strumieniem polały się z oczu kobiety, a były to łzy z gatunku tych rześsistych. Po raz pierwszy i chyba ostatni byłem świadkiem, jak dama zgrzyta zębami! A łzy ciekły i ciekły. Nie miałem pojęcia, jak wyrazić moje zdumienie, nie mówiąc już o zażenowaniu. Ona tymczasem zaczęła bić pięścią w stół.

— Nie! Nie pozwolę sobie...

Trząśł się jej czepek, trzęsły się też ramiona. Nigdy jeszcze nie widziałem, by jakąkolwiek damą miały tak gwałtowne uczucia!

— O Boże! Och, proszę pani! Naprawdę, bardzo proszę... Wcale nie chciałem przez to powiedzieć, że zmuszono mnie do przeczytania całego Sir Charlesa Grandisona! Gdyby tak było, pani litość nade mną byłaby uzasadniona! Wątpię, czy dzieło to przestudiował nawet sam wielki doktor Johnson! Czyż nie powiedział kiedyś, że żadnej książki nie doczytał do końca? Założę się o wszystko, że miał na myśli Grandisona...

Panna Granham wybuchnęła śmiechem. Zapewne był to napad hysterii, na którą najlepszym lekarstwem jest jak wiadomo siarczasty policzek — wyznam jednak, że brakło mi śmiałości.

— Najlepiej będzie, jeśli odprowadzę panią do komórki... to jest do kajuty...

— Co za idiotyzm!

— Wcale nie... Po prostu pragnęła wychować mnie w stylu sir Charlesa, co, jak widać, nie udało się jej. Wheeler przyniesie pani wodę. Bardzo proszę. Kobietom z natury trudniej przychodzi przeciwdziałać kołysaniu statku, co jeszcze bardziej utrudniają, by nie rzec czynią niebezpiecznym, ich stroje. Za pozwoleniem...

Teraz była potulna. Podałem jej ramię, lecz to nie wystarczyło i musiałem chwycić jej dłoń; jednak jeszcze zanim dotarliśmy na korytarz, opętańcze kołysanie statku zmusiło mnie do otoczenia jej wąskiej kibici prawą ręką, na której zawisa całym ciężarem.

Ze zdumiewającą siłą narzucił się mej świadomości niespodziewany fakt: nosząc na karku te trzydzieści czy czterdzieści lat nie przestała być kobietą! Co więcej, nie owijając w bawełnę — panna Granham nie nosiła gorsetu! Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Dobry Boże, jej kibic i łono były kibicią i łonem młodej kobiety! Teraz moje zażenowanie sięgnęło zenitu i chciałem mieć to wszystko za sobą jak najszybciej; los jednak postanowił inaczej. Oto bowiem łajba, zazdrosna, jakby powiedział poeta, o nowo odkrytą kobiecość, rzuciła się za nami jak pies za lisem. Już jej pierwszy ruch rzucił mnie wzdłuż przez cały korytarz, aż musiałem użyć całej siły i zręczności, o jaką się przedtem nie posądzałem, by utrzymać się na — czterech — nogach. Zaraz potem znaleźliśmy się ni stąd, ni zowąd na zboczu góry, po którym w dodatku płynął wartki strumień. Chwyciłem się poręczy, by uchronić nas przed upadkiem w dół — czy raczej w to, co chwilowo było dołem. Zawisiliśmy na poręczy i upadliśmy, ponieważ poręcz upadła razem z nami, i nie tylko ona, ale, co gorsza, całe przepierzenie z cienkiej dykty. Teraz lecieliśmy wprost na drewniany słup bezanmasztu, więc musiałem walczyć, bym to ja uderzył o niego ramieniem, a nie panna Granham. Dodatkową przeszkodą był ogromny, płowozółty kawał dykty, który wlekleśmy za sobą. Musiałem puścić nikomu już niepotrzebną poręcz, co sprawiło, że tańczyłem teraz jak pajac dźwigający kukielkę, a taniec ten rzucił nas wprost w otwartą, haniebnie pogwałconą kajutę. Przebywaliśmy w niej akurat na tyle długo, by zauważyć, że leży tam jakaś stara kobieta o szarych, zmatowiałych od potu włosach, z otwartymi ustami, w dzikim przerażeniu wpatrująca się w nas zapadłymi, pozbawionymi barwy oczodołami! Zupełnie nie mam pojęcia, w jaki sposób udało się mi jeszcze uklonić i wymamrotać słowa przeprosin, nim statek rzucił nas w inną stronę. Chwyciłem wreszcie poręcz po drugiej stronie korytarza — nieświadom, w jaki sposób tam się znalazłem — i po-



suwając się wzdłuż niej dowlokłem wreszcie pannę Granham pod jej drzwi.

— Proszę bardzo. Zapewne była to siódma fala. Chciałem panią przeprosić za... Teraz jest już pani bezpieczna. Proszę bardzo.

Udało mi się wprowadzić ją do kajuty. Z wielką ulgą zamknąłem drzwi. Dotarłem do własnej komórki, odwracając oczy od pogwałconej kajuty; jak uświadomiłem sobie z przerażeniem, zajmowanej przez moją niedysyjszą bogdanę, Zenobię Brock- lebank!

Pominę tu narzekania marynarzy, zmuszonych natychmiast naprawiać przepierzenie, wrzaski Zenobii, które ucichły dopiero, gdy znów została zakryta przed światem, szarpiące duszę na strzępy odgłosy młotków... Wróciłem do salonu wściekły i zdeterminowany, by nie ulec więcej statkowi i falom. Ryknąłem na służącego, zamówiłem jedzenie i picie. Na stole pojawiła się solona wołowina z jakimiś piklami — mogłem to popić tylko piwem. Nie wiercie marynarskim narzekaniom na jedzenie! Dla kogoś, kto ma wszystkie zęby na miejscu, była to prawdziwie królewska uczta, choć walka z owym daniem wcale nie należała do łatwych. Co z tego, że raz po raz talerz usiłował mi uciec, złapałem więc wołowinę i pikle w prawą dłoń! I talerz, i dłoń wylizałem zresztą zaraz z wielkim apetytem. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale absurdalne zajście z panną Granham przywróciło mi pogodę ducha, mój, jak sądzę, naturalny stan, choć chwilowo zaburzony przez mai de mer\ Gdy pomyślałem tęsknie o pannie Chumley, nawet tęsknota przemieniła się w determinację, by zapanować nad wszelkimi okolicznościami! Było to już coś więcej niż ozdrowienie. Stałem się teraz lepszym człowiekiem! Powróciwszy do komórki odważyłem się na ryzykowne balansowanie całym ciałem, byle tylko przebrać się w nocną koszulę i szlafmycę, ułożyłem się na koi z silnym postanowieniem zaśnięcia i spania do rana. Co zaś najdziwniejsze, zapadłem natychmiast w głęboki sen, którego nie mącił żaden z licznych bólów mego ciała — szczególnie ten okropny siniak na ramieniu, który zawdzięczałem zderzeniu z przeklętym bezanmasztem.

Obudziłem się w słabym świetle wpadającym do kajuty przez judasz w drzwiach i leżałem chwilę, zdziwiony powrotem dobrego samopoczucia. Zapewne nareszcie „doszedłem do siebie”, a mój organizm zapomniał o skutkach wstrząśnienia mózgu. Czuję się pełen energii i zdecydowania. Usiadłem nawet przy rozkładanym stole, i jeszcze nim się ubrałem, opisałem ostatnie wydarzenia — wspomniałem o panu Askew, Benecie, Charlesie, panie Granham i Gibbsie — tak obszernie, na ile pozwoliła mi długość świecy, gdy zaś ta się skończyła, do mojej ponurej kwatery wpadało już dość światła dziennego — a przynajmniej nie mniej niż zwykle w pogodny dzień. Nadal czuję się zdrowy i wypoczęty, choć nie mogę powiedzieć, by widok, który ukazał się moim oczom, gdy przebrałem się w nieprzemakalny strój i ostrożnie wyszedłem na świeże powietrze, był szczególnie przyjemny dla kogoś, kto ma serdecznie dość słonej wody! Za dużo latało jej tu w powietrzu. Poszukałem wzrokiem, czy zobaczę kapitana Andersona stąpającego tam i z powrotem po nawietrznej stronie mostka, ale nie było go nigdzie w pobliżu. Zamiast niego od przedniego relingu mostka machała do mnie okutana w nieprzemakalny płaszcz postać, a przez szum wiatru dosłyszałem słaby głos.

— Hej tam!

Był to porucznik Benet.

— A, witam, witam! Paskudny dzień!

— Zaraz do pana zejść.

Z trzewi statku wynurzył się Cumbershum. Mruknął coś do mnie, ja coś odmruknąłem — z nim to wystarcza za rozmowę. Wszedł na mostek i po statku poniosło się dzwonienie ośmiu szklanek. Ceremonia nie trwała długo. Obaj panowie unieśli dłonie ku kapeluszom, ale mieli teraz na głowach zydwestki, podwiązane pod brodą czymś, co nazywali, jak się można spodziewać, „podwiązka”. Gest obu oficerów był więc czysto symboliczny: uniesienie prawej dłoni na wysokość brwi. Ludzie przy kole sterowym zapoznali z kursem dwóch nowych sterników. Benet zszedł po schodkach. Chwytał się oburącz relingu i przechylił się do mnie.

— Proszę pana na górę.

— Widzę, że jest pan dzisiaj w dobrym humorze.

— Może tylko tak się wydaje.

— Rozłąka, jak zaczynam się przekonywać na własnej skórze...

— Rozumiem pana. Wilson! Patrzcie na ten lik, do cholery! A więc, panie Talbot, przez całą wachtę zajmowałem się dwoma wersami, które już panu cytowałem, i znacznie je udoskonaliłem.

Piękno doskonałe od kobiet piękniejsze,

I aż nieludzkie, bo najniezwyklejsze...

Prawda, że teraz znacznie lepiej to brzmi?

— Nie jestem poetą.

— A skądże ta pewność? Mówiono mi, że płakał pan podczas występu pani East...

- Dobry Boże! To tylko łzy, głupie łzy, nie mam pojęcia, skąd się wzięły ani co... Zresztą byłem wtedy ranny!
- Mój drogi panie, gdy trzeba porozumiewać się z najwrażliwszymi, najdelikatniejszymi istotami na świecie, pozostaje nam tylko poezja. Ona jest ich językiem, proszę pana. I jest też językiem przyszłości. Kobiety już to wiedzą: gdy tylko zrozumieją, jakie sylaby — nie prozy jednak, a właśnie poezji — powinny brzmieć w ich ustach, powstaną w chwale niczym słońce!
- Zdziwiał mnie pan, panie Benêt.
- Proza! Proza to język kupców, proszę pana, język wojny, handlu, rzemiosła.
- Ale poezja...
- Proza, proszę pana, wystarcza, by przekonywać mężczyzn. O, choćby wczoraj: udało mi się przekonać kapitana, że korzystna byłaby drobna zmiana kursu. Gdybym jednak powiedział kapitanowi wierszem, że się myli...
- Dziwię się, że jeszcze pan żyje.
- Ależ cóż znowu? Nie czuje pan, że kołysanie osłabło?
- A ja sądziłem, że moja zdolność do utrzymania się na nogach i lepszy nastrój wzięły się stąd, że ozdrowiałem.
- Odpadliśmy od wiatru o rumba, a wzrost prędkości, choć nieznaczny, kompensuje dłuższy dystans, jaki musimy przebyć. Za to nieobecność Przedmiotu Miłości...
- Mówi pan o lady Somerset.
- Porucznik Benêt zdjął zydwestkę i wytrząsnął spod niej swe złote runo.
- A o kimże innym?
- Przypuszczałem przedtem — powiedziałem ze śmiechem — że mógł mieć pan na myśli inną...
- Nie ma innej!
- Może w pańskim przekonaniu, ale nie w moim...
- Porucznik Benêt pokręcił głową z dobrotliwym uśmiechem.
- Nie ma i nie może być żadnej innej.
- Pomyślałem sobie, że miał pan być może okazję, by sformułować opinię co do charakteru panny Chumley.
- Nie ma ona nic takiego.
- Przepraszam?
- Ona nie ma charakteru. To pensjonarka, drogi panie.
- Panna Chumley...
- Nie formułuję opinii na temat pensjonarek. Nie warto szukać u nich sympatii, zrozumienia czy w ogóle czegokolwiek. Proszę pana, to plewy, które wiatr niesie, gdzie chce. Moje własne siostry poszłyby na koniec świata za najskromniejszym nawet mundurem, gdyby tylko kochana mama choć na chwilę spuściła z nich wzrok.
- Panna Chumley nie jest już pensjonarką!
- Przyznaję, ładniutka, miła, posiada też odrobinę dowcipu...
- Odrobinę!
- Podatna na wpływy...
- Panie!
- Tak? Co się stało?
- Na pokładzie Alcyone znajduje się porucznik Deverel... Jest znany ze swych...
- To kogucik, proszę pana. Nie miałem z nim wiele do czynienia, a już zdążyłem go znieubić...
- Pan Askew opowiadał mi, pan Askew mówił, że Jack-zawadiaka...
- ...Co prawda powinienem być mu wdzięczny, bo dzięki niemu mogłem wybrać to smutne wygnanie!
- Ależ panie! Stokrotnie przepraszam, ale... wygnanie? Przecież sprawia pan wrażenie człowieka

szczęśliwego! Pańska postawa, wyraz twarzy... są takie pogodne!

Teraz za to porucznik Benet wyglądał na zdumionego i zaskoczonego.

— Pan chyba żartuje! Ja miałbym być szczęśliwy!

— Stokrotnie przepraszam!

— Gdybym był człowiekiem małostkowym, zazdrościłbym panu jego sytuacji. Pan kochasz pannę Chumley, prawda?

— Tak jest.

Twarz Beneta była mokra, ale od deszczu lub wody morskiej, nie od łez. Złote włosy powiewały mu nad czołem. Luneta, którą trzymał pod pachą, wydawała się częścią jego osoby — gdy nagle wyciągnął ją i pobiegł na mostek, sprawiała wrażenie właśnie wysuniętej, dodatkowej kończyny, niczym u jakiegoś owada. Obserwował przez lunetę horyzont, powiedział coś do Cumbershuma, a potem obaj panowie przez chwilę jednocześnie wpatrywali się w jeden punkt, równocześnie zachowując postawę pionową ze zręcznością, która wzbudziła mój najszczęśliwszy podziw. Wreszcie pan Benet złożył lunetę i biegiem powrócił do mnie.

— Statek wielorybniczy, proszę pana. Nawet gdybyśmy wzywali pomocy, ominąłby nas szerokim łukiem.

— Ale... Mówił pan coś o „mojej sytuacji”?

— No, chodzi mi o ten liścik. Miałem dostarczyć go panu do rąk własnych, ale był pan niedysponowany, więc oddałem go pańskiemu służącemu.

— Wheeler!!!

— Nie, nie, niech go pan nie woła. Nie jemu. Temu drugiemu. Ty sukinyński synu cooka! Patrz na horyzont, bo jak nie, to pasy będę z ciebie dar!

O tym żaglu nawet nie pisałeś!

Ryk ten, godny kapitana Andersona, dobył się z gardła porucznika Beneta, który odchylił głowę do tyłu, zwracając się ku szczytowi tego, co pozostało z grotmasztu. Potem odwrócił się do mnie i przemówił zwykłym swym głosem:

— Póglówek... Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję do pogawędki.

Zasalutował i nim zdążyłem się odklonić, już pędził w dół po schodkach. Ja też ruszyłem biegiem przez korytarz, wzywając Phillipsa. Przyszedł, a zapytany

o list uderzył się dłonią w głowę, oskarżając ten swój organ, że jest dziurawy jak sito. Ale najpierw ja byłem chory, potem on to, on tamto — wysłuchałem go, płonąć z niecierpliwości, i wreszcie udało mi się wysłać go po pismo, na którego szukaniu zeszło mu też sporo czasu. Dało mi to czas na rozmyślania

o niewyobrażalnych skarbach, jakie mogło zawierać. A więc będzie to długi list od panny Chumley, napisany w bezsennej noc po balu! Albo, szczerzej niż ja wyznając mi miłość, przesyła mi swój pamiętnik.

1 on będzie szczerzy od mojego, ograniczonego przecież poczuciem męskiej przyzwoitości! Wzruszający opis śmierci jej ukochanej mamy! Zaszuszonego kwiat z ogrodów Wilton House, słodko nieudolny portret nauczyciela muzyki, staruszka, oczywiście! Ach, optymizm i fantazjo zakochanego młodzieńca! Rozgrzewacie wszelkie zmysły jak wodę w garnku na ogniu! Jednak, choć trwało to długo, Phillips i tak za wcześniej przyniósł mi kopertę, a była mała, cienka, kosztowna i tak silnie wyperfumowana, że z bólem serca natychmiast rozpoznałem, od kogo pochodzi. Z drugiej strony jak mogłem być taki głupi, by spodziewać się czegoś więcej niż krótkiego listu od „przenajniezwyklejszej z kobiet” pana Beneta?

Pośpiesznie skryłem się w komórcie.

— Precz, Wheeler! Precz!

Otwarłem liścik i zapach perfum schwycił mnie za gardło. Musiałem zamrużyć oczyma, by rozproszyć łzy.

Lady Somerset przesyła wyrazy uszanowania panu Edmundom FitzHenry'emu Talbotowi. Lady Somerset wyraża zgodę na korespondencję między nim a panną Cholmondeley, która to korespondencja odbywać się może pod nadzorem tej pierwszej. Lady Somerset zakłada, i pan Talbot nic więcej nie może od niej wymagać, że będzie to wymiana listów między osobami znajomymi, a może zostać przerwana lub zawieszona na życzenie którejkolwiek ze stron.

A cóż ona myślała, że nie pisałbym, jeśli nie dostałbym jej pozwolenia? W każdym razie to jednak coś — i więcej! Przedemną leżała na koi druga, mniejsza karteczka. Ta nie wydzielala własnej woni — przeszła tylko nieco zapachem swego kosztowniejszego opakowania. Szalony namiętnością, o jaką nigdy bym siebie nie posadzał, jeszcze przed odczytaniem przycisnąłem ją do ust. Rozwijałem papier drżącymi palcami. Któż, kogo serce biło kiedyś szybciej na widok takiego postańca, nie zrozumie mej radości?

Pewna młoda osoba zapamięta do końca życia spotkanie dwóch statków i modli ńę, by któregoś dnia zażuciły\* kotwice w tym samym porcie.

Głupie zachwycenie, zachwycenie aż do łez! Nie przytoczę tu szczodrych, obfitych, spontanicznych obietnic, które bez udziału świadomości pojawiły się na mych ustach, kiedy pomyślałem o tym ukochanym a odległym Marzeniu! Kto choć raz kochał, jak ja, rozumie, co czułem; oto przeżyłem właśnie najszczęśliwszą chwilę w życiu, innej nie chcę!

Pewna młoda osoba zapamięta do końca życia... A więc napisała — może we łzach — na odwrocie były zresztą takie ślady. List leżał na jakimś innym piśmie, nim wyszło i zostało zasypane piaskiem. Żadnego ze słów nie dało się łatwo odczytać, gdyż były zamazane i w dodatku odwrócone. I nie brakowało też kleksów. Te dały mi najpełniejsze i najpobożniejsze poczucie jej bliskości. Cóż bym nie dał, by móc scałować atrament z jej szczupłych paluszków! Chwyciłem lusterko, przekrzywiłem je i wpatrzyłem się w zamazane znaki. Umysł mój musiał odtworzyć całe słowa z jednej litery i paru plam, odnaleźć ich znaczenie z pasją rzadko spotykaną w nauce! Wreszcie udało mi się odcyfrować pierwszy wers. Wad miała legion, cnoty bardzo mało (na pewno miało być „cnot” — jestem pewien, że panna Chumley nigdy nie wspominałaby o rzeczach tak nieodpowiednich jej płci i wiekowi, jak „cnota” opisywanej damy).

Albo i w ogóle. Widząc kawalera

Ku niemu obracała zaraz twarz swą białą

Jak słonecznik ku słońcu kwiaty swe otwiera.

A gdy...

W tym miejscu rękopis stawał się całkowicie nieczytelny, ale wystarczył mi ten krótki fragment pisany jej ręką, bym znów poczuł się oczarowany. Przysięgam na wszystko, że w pierwszej chwili uznałem te lekko satyryczne wersy za godne samego Pope'a! Słyszałem jej głos, widziałem jej uśmiech! A więc, podobnie jak porucznik Benét, jest wielbicielką poezji. Czyż nie powiedział on, że najkrótsza droga do serca kobiety prowadzi przez Muzy — czy coś w tym guście?

Nie jestem pewien, czy starczy mi śmiałości, by opisać, co stało się potem. Zawsze i niestety słusznie uważałem się za osobę prozaiczną, a teraz, nie tracąc ani chwili, z niejakim poczuciem wstydu sam wstąpiłem w poetyckie szranki! Czy raczej próbowałem to uczynić! Była to przecież najkrótsza droga do jej serca, a cóż innego pozostawało mnie, uwięzionemu

na statku zagubionym na tym bezkresnym pustkowiu, tym oceanie czasu, pozbawionemu wszystkiego, co życie czyni — powiedziałbym: znośnij gdybym nie miał teraz tak wspaniałego powodu, by żyć. Kładę w tej chwili dłoń na sercu i oświadczam, że nawet ruch klepek pokładu pod stopami, zapowiedź powoli skradającego się niebezpieczeństwa, zrodził we mnie jedynie złość na banalne przeszkody, stojące na drodze do obiektu moich marzeń.

Ale moje jedyne doświadczenie z Muzą, jak to mówią, dotyczyło wierszy łacińskich i greckich, elegijnych — nazywaliśmy je „piątakami” i „szóstakami”. Mimo to — czerwienię się na to wspomnienie, ale prawdy nie zataję — nawet teraz mam dziwne przeczucie, że to tobie, mój drogi, mój mądry Aniele, powinienem zadedykować niniejszy pamiętnik! Pozbyłem się nieprzemakalnego stroju, zasiadłem za stolikiem, kilkakrotnie ucałowałem jej liścik i zabrałem się — niech już wyznam wszystko do końca — do komponowania Ody do Ukochanej! Zaiste, rację ma pan Smiles! Wszyscy jesteście szaleńcami! To prawda — świadczę własnym przykładem, że nie tyle poezja, co próby poetyckie stanowią — jakże żaloszny — substytut obecności ukochanej. Byłem teraz jakby ponad sobą i widziałem wszystko tak, jakbym stał na czubku góry. Czy jest nim Bóg Miliona, czarna Lady Szekspira czy jego jeszcze czarniejszy Maur — czy jest nim Lesbia, Laura, czy, niech go diabli, Filon, przedmiot poezji przenosi umysł w sfery, gdzie sens w języku można znaleźć jedynie w tym, co nieracjonalne. I tak też ja, na wpół zawstydzony, świadomy własnego szaleństwa, lecz równocześnie bardzo tego szaleństwa potrzebujący, gapilem się w czystą kartkę papieru, jakbym chciał wypatrzeć na niej i ulgę, i powodzenie. Szukam teraz tych żalosznych śladów prawdziwego uczucia — te kleksy i skreślenia, poprawki, różne wersje, pracochłonne zaznaczanie zgłosek długich i krótkich, aluzje pod swoim i jej adresem... Są ludzie, którzy rozumieją, że niewprawne te wersy były prawdziwą poezją mojej miłości!

Candida jako „biel”. Bo rzeczywiście otaczała ją, niczym aureolą, jakaś biel, jakże właściwe tło dla niewinnej dziewczyny, której piękno widoczne jest dla innych, lecz jeszcze nie dla niej samej! Candida, och, nie ma nic bielszego — Candidior luna, więc moja światłość, mea lux — vector to pasażer, nie, nie, to mało eleganckie, zbyt pospolite, puella, nympha, virgo, co tam jeszcze, może nymphe?

I nagle, ni stąd, ni zowąd, miałem już heksametr!

Candidior luna mea lux

O vagula nymphe!

Ale czy nymphe nie znaczy „oblubienica”? To nic. Teraz... Pelle mihi nimbos et more mulce precor — pentametr ten pojawił się sam z siebie, ale nie przypadł mi do gustu, taki był chropowaty i bez życia. Marmora bladiiis — już lepiej; i tak:

Marmora bladiiis fac moderare tuis!

Nie — moderare mihi!

Miałem więc wers sześćo- i pięciogłoskowy — można by powiedzieć, dwuwiersz elegijny. Wysiłek, jaki włożyłem w jego stworzenie, wyczerpał chyba cały mój zasób nie tylko łaciny, lecz również natchnienia. Wezwawszy pannę Chumley, by uciszyła morze na mojej drodze, nie miałem jej już o co prosić prócz...

Nie. Nie zbeczczesz tę niewinnej postaci najogłędniejszą nawet wzmianką o fizycznej żądzy!

Jeśli kiedykolwiek dotrzemy do ładu i jeśli kiedyś, w przyszłości, czytać będę te zapiski — jeśli przeczytamy je razem, ach, jak gorąco tego pragnę! — czy uwierzę wtedy, że to, co dziś napisałem, było świętą prawdą? Oto bowiem dopiero, gdy odchyliłem się od stołu, by odpocząć nieco po tym poetyckim trudzie, przypomniałem sobie, że łacina nie znalazła się na liście umiejętności, wyrecytowanych przede mną przez pannę Chumley! A więc muszę pisać we własnym języku lub nie pisać w ogóle, bo moja francuszczyzna na pewno nie da sobie rady z poezją!

Jaśniejsza niż księżyc, wędrowną pani Wdziękiem swym ucisz gniew wodnej otchłani!

Moje pierwsze próby poetyckie nie wyglądały zbyt zachęcająco w tłumaczeniu. Dotąd wiele czytałem poezji, próbując zrozumieć ten aspekt życia, który, jak sądziłem, jest dla mnie niedostępny ze względu na krańcowy racjonalizm umysłu i chłód usposobienia! Zbierałem, skąd popadnie, wersy innych i „wrzucałem je pod pokład”, jak mawiamy my, marynarze — jakby miała wystarczyć mi sama ilość gromadzonego materiału. A teraz, gdy po raz pierwszy zaczynam dostrzegać cel i źródło poezji, miotam się oto, przez los zmuszony klecić urywki martwego języka, gdy cel mogę osiągnąć tylko za pośrednictwem języka żywego — czego skutki widoczne są w tych łacińskich wersach. Teraz dopiero wiem, po co były mi owe ćwiczenia, które wypełniałem kiedyś z taką nonszalancją i bez najmniejszej chęci...

— Nie, nie, panie Talbot. Wersy, owszem, zgodne z regułami, ale Propercjusz nigdy by czegoś takiego nie napisał!

Tak to właśnie jest z regułami. Ach, z jakim

wzruszeniem odkrywałem teraz, że poezja rodzi się z zachwytu. Jest szaleństwem, ale szaleństwem boskim.

Światłość jej rysów gasi w moim oku

Płomień pochodni!

To niemożliwe, to nonsens, ale taka właśnie jest poezja — jest jak czysty a nieuczony głos każdego młodego głupca, który rażony gromem, zakochany bez pamięci, traci w jednej chwili wszystkie swe dotychczasowe przekonania; dodajmy, że do długiego szeregu tych młodych głupców dołączył wreszcie Edmund FitzHenry Talbot, magister aruum!

Najwyraźniej osiągnąłem już szczyt własnych możliwości w dziedzinie poezji; wtedy dopiero poczyniłem kolejne odkrycie, które doprowadziło mnie do istnego napadu śmiechu. Proszę pannę Chumley, by uciszyła morze, a biedaczka jeszcze bardziej niż ja cierpi na mai de mer! Ona z kolei powinna zwrócić się z tą samą prośbą do sir Henry'ego! Powróciłem do karteczki od niej i po chwili umiałem na pamięć to proste zdanie. Odwróciłem ją i po raz kolejny odczytałem kilka linii, które udało mi się odszyfrować.

Zauważyłem jeszcze inne słowa. Te, jakby chcąc ukryć się przede mną, znów zniknęły. Zostały napisane stalówką i odcisnięte na tej stronie — dlatego właśnie widoczne były tylko, gdy trzymałem papier pod odpowiednim kątem.

Opuścił statek a ja

Kto opuścił statek? Jej statek opuścił tylko Whe- eler... i Benêt! Czy on jest... czy on mógłby... czy on był...

Benêt ma prezencję, znacznie lepszą prezencję od

mojej. Jest poetą... jego włosy... jasna cera... zręczność...

Podatna na wpływy... łatwo zawrócić jej w głowie...

i jakież ona może mieć widoki, poza małżeństwem!

Zerwałem się na równe nogi. Nic, to urojenia, nic więcej! Zanim jednak wyrzucę z myśli i z pamięci ten żaloszny incydent, jest przecież osoba, która może mi wszystko wyjaśnić. Pośpiesznie ruszyłem na śródokręcie. Chmury rozstąpiły się, a nowy kurs, wytyczony przez pana Beneta, sprawiał że statek, choć nadal kołysał mocno, czynił to w sposób znacznie bardziej regularny. Soczyście błękitny horyzont powycinany był dokoła, niczym obciążkami, w małe okrągłe ząbki. Benét wrócił właśnie z „drobnej przekąski” i stał przy grotmaszcie, rozmawiając z jakimś marynarzem. Statek sprawiał wrażenie, jakby był cały obwieszony linami, sznurami, fałami, rozłożonymi głównie na dziobie, ale schodzącymi też w dół, w stronę śródokręcia. Benét dokończył rozmowy, odwrócił się, dostrzegł mnie i zbliżył się do mostka swym zwykłym, zwinnym krokiem. Wyglądał jak najszcześliwszy człowiek pod słońcem.

— Wszystko w porządku, proszę pana. Wkrótce będziemy mogli zacząć eksperymenty z szorowaniem, a potem zabierzemy się za wiązanie kadłuba, jak radził pan Summers.

— Mam do pana sprawę nie cierpiącą zwłoki.

— Jestem do usług.

— Powiedział pan: pensjonarka...

— Doprawdy? Bardzo pana przepraszam, ale myśli moje związane są teraz tylko z tą liną, rozumie pan: związane z liną. Czy rozmawialiśmy może

o moich siostrach?

— Ależ nie.

— Ach — teraz przypominam sobie! Pytał mnie pan o zdanie na temat małej Marion, czy tak? Otóż, proszę pana, jest kompletnie nijaka, jak one wszystkie

zresztą. Ale, przynaję, porządna z niej dziewczyna. Przecież, mówię to jak kawaler kawalerowi — tu pan Benét rozejrzał się szybko na boki — gdyby mała Marion nie zatrzymała na chwilę swego „wuja”, jak wolno jej nazywać sir Henry’ego, jakimś błaganiem

o ulżenie jej cierpieniom — pewnie chciała, żeby zrzucił trochę żagli — nie kryję, że zostałem przyłapany jeszcze bardziej flagrante delicto\

— Wiedziała! Wiedziała o wszystkim! O tym występny związku!

— Często była naszą wartowniczką.

Z trapu prowadzącego do kajuty kapitańskiej ozwał się ryk, ale nawet nie groźny. Porucznik Benét odpowiedział nań równie pogodnie i szybko.

— W tej chwili, sir!

Uniósł dłoń do czoła, wykonując gest, który chyba staje się szybko „regulaminowym oddawaniem honorów”, a potem swym zwykłym, radosnym biegiem popędził po nachylonym pokładzie.

I ja uniosłem dłoń, a wtedy kartka z pismem panny Chumley wyfrunęła mi z ręki i wirując w powietrzu przypadła, drżąca, do want. W dzikiej pasji postanowiłem jej nie łapać — niech leci, niech leci! Wtem, bez rozkazu, jakiś marynarz odłożył szmatę na kiju, którą szorował pokład, wskoczył na wanty tak zręcznie, jak sam Benét i przyniósł mi z powrotem cenny list. Skinąłem głową w podziękowaniu i tkwiłem tam z papierem w dłoni. Jak to możliwe, że z niczego sam stworzyłem sobie to widmo? I dlaczego owo widmo stało się dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie? A teraz zmusza mnie do iście wariackich czynów: do wierszoklectwa, do wyciągania niemiłych zwierzeń od ludzi pokroju porucznika Benéta — a tymczasem (i to było najświeższą kroplą jadu w tej całej miksturze) może ona kocha się właśnie w nim, czego on nie jest świadom przez swą głupią obsesję na punkcie kobiety, która mogłaby być jego matką!



— Idź stąd, Wheeler! Do diabła, człowieku, czy ty zawsze musisz kręcić mi się pod nogami?  
— Przepraszam pana.  
— A w ogóle ta strona korytarza należy do Phil- lipsa!  
— Z całym szacunkiem, proszę pana, pierwszy oficer powiedział, że chociaż pan zmienił kajutę, nadal pozostaję pańskim służącym, tak jakśmy to wcześniej uzgodnili z Phillipsem.  
— Nudzisz mnie swoją ponurą gębą!  
Wypadłem z kabiny, omal nie roztrzaskałem sobie głowy o bezanmaszt i zacząłem wołać Phillipsa. Nie było to jednak potrzebne, bo ten, z miotłą w ręce, ostrożnie przechodził właśnie przez korytarz w stronę salonu.  
— Phillips, możecie mi znowu usługiwać.  
Phillips rozglądał się po całym salonie.  
— Mogę powiedzieć panu coś na osobności? Widzi pan, przecież on tam umarł.  
— Dobry Boże, człowieku, na tej starej łajbie na pewno nie ma takiego miejsca, żeby na nim ktoś nie umarł. Phillips pokiwał głową w zamyśleniu.  
— Ale widzi pan, pan Colley był z tych, co to umieją po łacinie.  
I stuknąwszy się palcem w czoło zabrał miotłę i wyszedł. Zdumiałem się tak, że nie potrafiłem ruszyć się z miejsca. Coraz bardziej stawało się jasne, że Smiles miał rację — oto kolejny wariat. Drugim jest Wheeler, trzecim — uzmysłowiłem sobie szybko — mogę już wkrótce zostać ja. Horyzont wyszczerzył na mnie kły i zniknął. Rzeczywiście jestem bliski szalu! I też „umiem po łacinie” — a może w idiotyczny świat fantazji popycha nas potępiony duch Colleya, unoszący się nad statkiem niczym ten odrażający fetor!  
Zawołałem Batesa i znowu kazałem podać sobie

214

brandy. Potem jadłem — znowu wołowina na zimno;  
i znowu, jakbym był chłopem, pracującym w polu, co pożera posiłek pod żywopłotem, ratowałem mięso za cenę usmarowania pikłami nawet mych inekspry- mabli. Oldmeadow, ten młody oficer wojsk lądowych, też przyszedł, więc jedliśmy razem; pamiętam, że prowadziliśmy jakąś idiotyczną rozmowę o sensie życia. Biedak okropnie był zły, że nie ma tak mocnej głowy, jak ja. Kiedy wreszcie prowadziłem go do jego komórki, wywaliliśmy się obaj na pokład. Potem przez jakiś czas pielęgnowałem własny stłuczony łokieć u siebie w kajucie („to wszystko, Wheeler”) i nie protestowałem gdy, nim wyszedł, pomógł mi wleźć na koję. Że jednak brandy rozwiązała mi nieco język, zacząłem z nim rozmawiać, a on wyjaśnił mi wreszcie, dlaczego ciągle nawiedza moją kajutę. Wcale nie doniósł wtedy na Billy’ego Rogersa, ale ludzie z forkasztelu wciąż go o to podejrzewają, i „ukatrupiliby go”, gdyby nie trzymał się pasażerów. Było to oczywiście nieporozumienie. Nie, nikt go za burtę nie wyrzucił, sam się poślizgnął. Nikogo nie oskarża. Czy oficerowie uważają, że statek zatonie? On, Wheeler, nie wie, co począć...

Zły jestem na siebie, że, choć w takim stanie, nie zachowałem większej rezerwy, jakiej należy przestrzegać w rozmowach ze służącymi, chyba że najwierniejszymi i najbardziej zaufanymi. Co gorsza zawarłem z Wheelerem jakby umowę — on może „nawiedzać” moją kajutę pod warunkiem, że opowie mi, jak to naprawdę było z Colleyem! Zgodził się pod warunkiem, że nikt się o tym nie dowie, dopóki on, Wheeler, jest na statku. Dowiedziałem się rzeczy takiej natury, że nie zawierzę ich nawet memu dziennikowi.

Zjawilem się na śródokręciu wcześnie rano, zwabiony okrzykami z pokładu.

— Odpadaj wokoło! Wybierz Rogersa na niteczkę! A potem, w odpowiedzi, z dziobu:

— Wylóż go tam razem!

Widać ją było teraz jak na dłoni, tam, po sterbur- cie: fregata Alcyonel Straciła wszystkie maszty — leżały na pokładzie, białe żagle moczyły się w wodzie, marynarze ciągnęli liny ze śpiewem na ustach. Rytmiczne skandowanie płynęło ku nam po falach.

— Gdzie byłeś dzień cały, Billy, chłopczyku mój... W jakiś sposób oba statki znalazły się znowu burta w burtę. Nasi marynarze niewiarygodnie zręcznie zrzucają żagle.

— Wydziwiać topsle!

Sir Henry wydrapał się na wanty, zwisające smętnie z resztek bezanmasztu Alcyone.

— Anderson, widzisz ten burdel? Mój cholerny pierwszy pięknie nas urządził! „Idź na kurs, Bellamy”, mówię mu, „bo jak nie, zaraz nam połamie maszty”.

Była tam, na pokładzie — Ona! Wyciągnęła ku mnie ręce, a lzy radości kapały jej po policzkach! Ruszyła ku mnie! Zlaliśmy się w jedno...

Ale to była panna Granham. Nie miała na sobie gorsetu... Szamotałem się z nią, ale nie mogłem się uwolnić. Nic dziwnego, że śmiały się oba statki. Nie miałem na sobie ubrania...

Było rano, a przy mojej koi stał Wheeler z kubkiem kawy w dłoni.

— Jest całkiem ciepła, proszę pana.

Bolała mnie głowa i męczyły nudności. Wheeler stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, jak idealny służący. Otwarłem usta, by powiedzieć mu, żeby się wynosił, ale zmieniłem zdanie. Pomógł mi się ubrać, ale ogoliłem się sam. Kołysanie było regularne. Zostawiłem go w kajucie, żeby posprzątał, sam zaś udałem się do salonu pasażerskiego, gdzie zastałem pana Bowlesa. Przeprził za nieobecność komitetu, choć ja, prawdę mówiąc, zdążyłem już zapomnieć, że ciało takie w ogóle się ukonstytuowało. Oznajmił, że pan Prettiman jest bardzo obolały, a Pike niepokoi się stanem swych dzieci. Ja mówiłem niewiele, ograniczając się do pomruków, wydawanych w odpowiednich momentach. Zdaje się, że pan Bowles (któremu nie brak inteligencji — człowiek ten może być przydatny po przybyciu do zatoki Sydney) rozumiał moją niechęć do zabierania głosu. Od niego to dowiedziałem się, że przegapiłem interesujący manewr żeglarski i tylko dlatego żałuję, że — nie owijając w bawełnę — upiłem się wczoraj jak Świnia. Mimo to z przyjemnością śledziłbym wszystko, co wykonał czy do wykonania czego doprowadził porucznik Benet! W czasie, gdy wraz z Oldmeadowem „bawiliśmy się kielichami”, sporządził z lin niespotykany przyrząd. Załoga operowała liną „od dziobu do rufy”, przez co usunięto zielsko z „linii kilu”. A wszystko obmyślił pan Benet. Powiedziano mi potem, że była to bardzo skomplikowana operacja,

polegająca na równoczesnym „przeciągnięciu i wwiązaniu liny” oraz „szorowaniu od dziobu i od rufy”, co wymagało doskonałego zgrania marynarzy pod przywództwem mojego przyjaciela, porucznika Summersa. Informacja ta wyjaśniła mi spostrzeżenie, które poczyniłem, gdy „bawiliśmy się kielichami” z Oldmeadowem w salonie: wyglądając od czasu do czasu przez okno na rufie, widzieliśmy przynajmniej dwukrotnie całe połączenie ciemnego zielska, wijącego się w kilwaterze statku. Pomyślałem z niejaką zazdrością, że jeśli tak dalej pójdzie, porucznik Benét przejmie wkrótce całą władzę na statku!

Gdy pan Bowles skończył opowiadać, czułem się już nieco lepiej, ale nadal brakowało mi świeżego powietrza. Okutany w nieprzemakalny strój wyszedłem więc na śródokręcie, a stamtąd dotarłem do mojego zwykłego punktu obserwacyjnego przy relingu na rufie. Statek nadal był obwieszony linami, ale teraz tylko w swej przedniej części. Na dziobie grupki marynarzy i nadzorujący ich oficerowie stali przy jednej długiej linie, do której dowiązywali „krawaty”, tak to się chyba nazywa. Zwykle, gdy mówimy o linie czy — będąc na lądzie — o sznurze, mamy na myśli to, czym obwiązujemy płachtę na snopku siana, lub kryty na nowo słomiany dach. Ta jednak była zupełnie inna: poskręcana, jakby „zębata”, bo tylko takie określenie przychodzi mi do głowy. W obie strony gęsto odchodziły od niej dowiązane „krawaty”, a przy każdym z nich stało w pogotowiu dwóch ludzi. Trudność całej operacji polegała na tym, że marynarze musieli przeciągnąć linę z jednej burty statku na drugą, ale pod bukszprytem i przez otwory po obu burtach na śródokręciu. Samo opuszczenie liny nie było takie trudne, ale zupełnie inaczej miała się sprawa z jej przeciąganiem, i tym właśnie zajmowali się teraz marynarze — kołysanie statku bynajmniej nie ułatwiało im pracy.

Ruszyłem wzdłuż relingu po nawietrznej, by wszystkiemu przyjrzeć się z bliska, ale idący z rufy Benét zatrzymał się przy mnie i powiedział:

— Lepiej, żeby teraz pan tu nie stał, proszę pana!

— Wróć, gdy zaspokoję swoją ciekawość, i gdy wiatr wywieje mi z głowy to, co wczoraj wypilem. W życiu nie wypiję już ani kropli.

— Qui a bu, boira.

— Niech to diabli, panie Benét, pan mówisz po francusku jak prawdziwy zabojad! To nie przystoi porządnemu Anglikowi. Wracając jednak do pensjonarek...

— O Boże, nie, tylko nie to, błagam. Wydaje mi się, że mamy szansę przyspieszyć o kolejne parę węzłów. Zauważył pan, że wystarczyło zdrapać zielsko z klepek przy stępce? Uważam, że przyspieszyliśmy już o cały węzeł, chociaż pan Summers jest innego zdania. Oczywiście w południe będziemy wiedzieć wszystko. Ostrożny z niego gość, prawda? Kapitan zgadza się ze mną. Powiedział: „0 pełny węzeł, panie Benét. Odnotuję to w dzienniku pokładowym”.

— A więc należą się panu gratulacje.

— Nim zrezygnuję ze służby, by poświęcić się poezji! Zamierzam wykazać naszej Marynarce, że inteligencja to cecha przydatna, proszę pana, a cnota nie jest wyłącznie domeną starszych oficerów!

— Mówiąc o cnotie...

— Błagam, nie mówmy o cnotie. Wiele musiałem wycierpieć, wysłuchując opinii sir Henry’ego na ten temat, powtarzanej zresztą do znudzenia. Rozłąka z nim to jedyne pocieszenie w rozłące z Nią!

Benét westchnął.

— Panna Chumley... — zacząłem.

Przerwał mi. — Czy masz pan siostry, panie

Talbot?

— Nie, proszę pana.

Pan Benét nic nie powiedział, tylko z powagą pokiwał głową, jakby zyskał potwierdzenie własnych domysłów. Jego uwagi wydawały mi się tak niezrozumiałe, że nie wiedziałem już, co rzec.

— A teraz sądzę, że lepiej się stanie, jeśli wróci pan na drugi koniec śródokręcia, bo tutaj wkrótce nie będzie miejsca dla pasażerów.

Powędrowałem więc z powrotem i zatrzymałem się przy relingu, u wejścia do naszych kwater. Widowisko, które rozpoczęło się przed moimi oczyma, było nie tyle zajmujące, co raczej niezrozumiałe. Domyśliłem się tyle, że Cumbershum dowodził jedną stroną dziobu, pan Benét drugą, a całością zarządzał Charles Summers. Wzdłuż relingu na dziobie stali jeden przy drugim marynarze, a wszyscy wychylali się daleko za burtę. Odniosłem bezsensowne wrażenie, że oto wielka rzesza naszych dzielnych wilków morskich dostała choroby morskiej. Domyśliłem się, że trzymają oni linę, która miała posłużyć do szorowania kadłuba. Gdy tak przyglądałem się temu, Summers rzucił komendę:

— Puścić!

Marynarze stojący przy relingu wyprostowali się. Benét i Cumbershum zaczęli pokrzykiwać, a ich oddziałki poruszać się rytmicznie. Nie potrafię dokładniej opisać, co robili, gdyż wtedy nic z tego nie rozumiałem. Teraz, po fakcie, wiem, że ciągnęli linę tak, jakby piłowali drzewo. Na pierwszy rzut oka niewiele się działo.

Odwrociłem się i spojrziałem w kierunku rufy. Wachtę trzymał żaglomistrz, pan Smiles, mając za pomocnika młodego pana Taylora. Ten ostatni zachowywał się spokojniej niż zwykle — może dlatego, że zaledwie o parę kroków za nim stał kapitan z rękoma założonymi na plecach, szeroko rozstawiwszy nogi, i w milczeniu przyglądał się operacji.

Na dziobie zakotłowało się nagle. Ludzie Cumbershuma upadli jeden na drugiego; aż na rufie słychać było, jak ich przeklina, gdy doprowadzali się do porządku. Potem znowu długo nic się nie działo. Zdaje się, że jeden koniec liny uciekł marynarzom, więc trzeba było zacząć wszystko od nowa. Porucznik Benét spierał się o coś z Charlesem Summersem, który nie miał zbyt zadowolonej miny. Wydało mi się, że jego ogorzała od wiatru twarz była teraz bledsza niż zwykle — może z gniewu. Tymczasem dziób stał się jedną wielką płataniną lin i bloków, a mimo to krzątający się wśród nich ludzie sprawiali wrażenie, jakby wiedzieli, co robią. Długo przyszło czekać na wznowienie prac. Odwróciłem się i wdrapałem na mostek, gdzie kapitan przyjął moje powitanie, jeśli nie miło, to przynajmniej bez przejawów złego humoru.

— Dzień dobry, kapitanie, choć sam już nie wiem, czy rzeczywiście taki dobry! Proszę mi powiedzieć — czym zajmuje się teraz załoga?

Przez chwilę myślałem, że mnie zignoruje, ale potem otworzył usta i zaczął szeptać. Że szeptał, było to wynikiem nie tajemniczości, lecz zalegającej mu gardło flegmy, i nic dziwnego, skoro ktoś milczy więcej, niż to dobre dla ludzkiego zdrowia. Podeszedł do relingu, splunął przez burtę, wrócił i stanął obok, nawet na mnie nie patrząc.

— Klarują linę.

To akurat wiedziałem! Wyglądało na to, że szczegóły tej interesującej operacji będę musiał wyciągać z niego jeden po drugim.

— W jaki sposób można sprawić, by lina zawsze przesuwiała się po kadłubie? Na pewno nie wyczyści ona całej jego powierzchni.

Sam o tym nie wiedząc, wybrałem najlepszy sposób, by otworzyć mu usta.

— To prawda, proszę pana, choć podwodna część statku jest w przekroju niemal półkolistą. Mimo to

s\*

dobry oficer powinien sobie z tym poradzić. Można przeciągać linę w różnych kierunkach, nie tylko od burty do burty, ale też od dziobu do rufy. Pan Benêt przedstawił plan, który, jak sędzę, ma wszelkie szanse powodzenia. Szorowanie kadłuba statku liną na otwartym morzu i w dodatku pod żaglami to coś naprawdę nadzwyczajnego] nie wiem, czy w ogóle ktokolwiek to praktykował. W naszej sytuacji... panu Benêtowi udało się już usunąć wodorosty z kilu, a to na pewno przypadek jedyny w swoim rodzaju.

— A więc zyskał pan na zamianie.

Przez chwilę kapitan patrzył na mnie wilkiem, ale potem najwyraźniej nie mógł odmówić sobie dalszej rozmowy o swym pupilu.

— Zdaje mi się, że pan Benêt postanowił wyszorować statek do czysta — tak, żeby wyglądał, jakby dopiero co go zwodowano. Zamierza przeciągać liny w poprzek i wzdłuż statku. To prawdziwy żeglarz, wie pan, za pomocą lin, bloków i żagli umie zrobić wszystko, niepotrzebna mu para, łańcuchy czy stalowe linki!

— Rzeczywiście. Nie miałem pojęcia, że na naszym statku zmieści się tyle lin.

— Jeśli kapitan ma dobrych oficerów, liny, płótno, maszty i robotną załogę, nic nie jest dla niego niemożliwe!

— No cóż, kapitanie, nie będę panu przeczył. Pan Benêt to bardzo energiczny młodzieniec, a co do jego umiejętności żeglarskich muszę panu wierzyć na słowo.

Kapitan dodał żywo:

— Daleko zajdzie.

— W każdym razie po francusku mówi jak rodowity paryżanin.

— Nic w tym dziwnego, proszę pana. Jego rodzice to francuscy emigranci.

— A już niewątpliwie ma bardzo przyjemny wy

gląd i sposób bycia. Złote włosy, cera, której, zdaje się, sól nie szkodzi — toż to prawdziwy morski Adonis!

Kapitan popatrzył na mnie surowo, jakby smakując to słowo.

— Adonis. Wybacz mi pan teraz, jestem zajęty.

Dobry Boże, czy on myśli, że tak łatwo można się mnie pozbyć?

— Ależ proszę sobie nie przeszkadzać, kapitanie. Jestem szczerze zainteresowany, co pan teraz będzie robił.

Kapitan zrobił tyle, że wydał z siebie stłumiony warkot, odwrócił się, postąpił ku relingowi i schwycił się go oburącz, jakby chciał wyrwać i użyć zamiast maczugi. Spojrzał w górę na lik żagla, ryknął na pana Taylora, który z kolei zapiszczał na ludzi przy sterze, ci popatrzyli najpierw na lik, potem na kompas, jak jeden mąż splunęli tytoniem, który właśnie żuli i skręcili koło sterowe

o „dłoń”, co, jeśli mogłem zauważyć, nie miało żadnego wpływu na ruch statku. Wróciłem do obserwacji tego, co działo się na dziobie. Praca przebiegała tam powoli, więc po jakimś czasie nawet kapitan znużył się i zaczął spacerować tam i z powrotem po bakburcie, nic sobie nie robiąc z bocznego i wzdłużnego kołysania, a pewnie i z załamywania się statku, co dobitnie świadczyło o latach, które spędził na morzu. Przysiągłbym, że gdyby statek obrócił się do góry dnem — od czego broń nas, panie Boże — Anderson potrafiłby przez cały czas równo maszerować po kładącym się statku, a potem spacerować tam i z powrotem po kilu, czekając aż porucznik Benet wymyśli nową konstrukcję z lin, bloków, omasztowania i płótna, za pomocą której odwróci statek z powrotem. Kapitan Anderson był równie niezawodny, a jego poczynania przewidywalne, jak obroty sfer niebieskich.

Po schodkach szedł w górę mały Pike Na twarzy błyszczały mu łzy. Wiatr porywał je, a oczy wciąż tworzyły nowe. Podchodząc zatoczył się, przypadł do mnie, chwycił obiema rękami i zapłakał mi na piersi. Szeptał:

— Phoebe! Och, moja mała Phoebe!

— Dobry Boże! Nie żyje?

Kapitan zatrzymał się jak wryty, potem natychmiast podszedł do nas i popatrzył t górą na Pike'a.

— Kto nie żyje?

— Mówią, że umiera. Och, moja mała Phoebe!

— To pan Pike, kapitanie, a Phoebe to jego córeczka, Pike, opanuj się pan!

— Kto twierdzi, że pańska córka umiera?

Pike pociągnął nosem i czknął.

— Moja żona, kapitanie, i panna Granham...

— No wie pan, Pike — odezwałem się. — Przecież żadna z nich nie ma wykształcenia medycznego!

Opowiadałem panu o moich braciach, prawda? Ciągłe coś im się dzieje, a...

— Czy mogę zrobić coś dla pańskiej córki?

Pike wyswobodził się z moich rąk, zatoczył się

i chwycił relingu.

— Gdyby tylko pan kapitan złagodził to kołysanie! Widzi pan, one są całkiem wycieńczone...

Kapitan odpowiedział mi miłym, jak na siebie, głosem:

— To niemożliwe, proszę pana. Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale musi mi pan wierzyć, że nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby coś na to poradzić.

Milczeliśmy wszyscy trzej. Pike przetarł twarz rękawem i powoli, smętnie powlókł się w dół.

Wtedy to przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Kapitanie!

Ale on znów patrzył już przed siebie.

— Kapitanie! Kapitanie! Nelson...

Kapitan odwrócił się i niemal sycząc oddechem prz<sup>un\*</sup> się koło mnie, znikając na swym prywatnym, merykalnym trapie Uciekł mi!

A niech to diabli!

IV<sup>1</sup> pomy<sup>ł</sup> był naprawdę dobry, co do ttgo nie mam najmniejszych wątpliwości! Popędziłem schodkami w dół, za Pikcero, dopadłem drzwi »ego kam iv — i zawahałem się<sup>1</sup> To do mnie niepodobne - a jednak' Uniosłem dłoń, by zastukać - i żarni ją opuściłem. Ale tam, za drzwiami, ta mała dziew czynka... Ukradkiem otworzyłem drzwi Jej siostra leżała na jednym końcu kot, wsparta na twardych poduszkach. Szczypała w twari umacianą lalkę. Popatrzyła na mrnt, mając przy tym okropme nadąsaną buzię. Pam Pike i panna Granham pochylały się nad drugim końcem koi Otwarłem u»ta, by wyjaśnić im mój pomysł, ale me wypowiedjjałm ani słowa, bo panna Granham uafyuała ou\* albo wyczuła. Odwróciła się — można powidzicc, te gwałtownie zwróciła »ię przeciwko mnie

i spojrziała mi w oczy. Twarz fet hyti jakby odarta z ciała, oczy — głęboko zapadnięte

— Proszę odejść. Proszę mc me mowie Rozkaz ten rzucony by) głosem tak kamiennym, że przeraziłby samego Andersona Zamknąłem drzwi, jakby moja ręka już do mnie nte należała. Oitroźnie przeszedłem do salonu dla pasażerów Tam, pod oknem na rufie, siedział Pike Od czasu do czasu pociągał nosem, ale był całkiem ipokojny Przypomniałem sobie o jedynym człowieku na tutku, którego darzyłem bezgranicznym zaufaniem. Wybiegłem z salonu, ryzykownie pognałem przez chwiejny pokład i chwyciłem Summma za ramię.

— Charles, muszę z tobą porozmawiać..

— Edmund! Panie Talbot!

— To dziecko Ptke'ów... Nelaoa.

— Panie Talbot, to przechodzi wnsikie granice!

I

Proszę powrócić do kajuty! W przeciwnym razie każę pana tam doprowadzić!

— Charles!

Bez ogródek wyrwał mi się i zabierał się do wydania rozkazów.

Ruszyłem z powrotem, trzymając się po drodze relingu od nawietrznej.

Nadal uważam, że pomysł był dobry. Nelson, który zawsze cierpiał na mai de mer, sypiał na statku na koi, którą rozwieszano mu jak hamak. Dziewczynce trzeba było rozwiesić hamak, taki hamaczek jak dla lalki, a leżałaby w nim sobie tak wygodnie, jak pijany Gibbs u siebie w zbrojowni! Odpoczęłaby, wyspałaby się, akurat na tyle, by nabrać sił. Nagle pomyślałem, że gdybym zwrócił się z tym do Bene- ta... on jednak miał się teraz w płataninie lin

i rozkazów. Mimo to nie poszedłem do kajuty, jak nakazał Charles, ale znów zatrzymałem się u wejścia na rufę, by patrzeć, jak przebiega operacja. Ale dalej prawie nic się nie działo, więc wreszcie wróciłem do komórki, gdzie, oczywiście, zastałem niezmordowanego Wheelera. Poruszał się na klęczkach i udawał, że ściera szmatą wodę morską, która coraz to nową falą napływała bez przerwy z korytarza.

— Wynoś się, Wheeler!

Zapomniałem już o umowie, którą zawarłem z nim po pijanemu, tak przyzwyczałem się do tego rozkazu.

On jednak, zamiast usłuchać, wstał z klęczek nie wypuszczając szmaty z dłoni, zbliżył się do mnie i szepnął:

— Coraz bardziej się rozłazi, prawda, proszę pana?

— Wheeler, ty chyba postradałeś zmysły. A teraz już cię nie ma!

— Ja nie mogę utonąć drugi raz, proszę pana. Nie mogę.

Wyglądał na całkiem spokojnego, choć gadał takie bzdury. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, więc tylko coś tam mruknąłem. Staliśmy zatem tak naprzeciw siebie; nie przestawił wpatrywać się w moją rwarz, jakby z tęsknotą czy nawet nadzieją. Czy jednak nie nazywają mnie ru „lordem”?

Rozdzwoniły się szklanki i na całym statku rozległy się hałasy towarzyszące zmianie wachty — okrzyki, tupot obutych stóp. Wheeler odwrócił się z głębokim westchnieniem i odszedł. Być bezsilnym w obliczu tak oczywistego zagrożenia życia; a z drugiej strony mieć realny pomysł, jak temu zaradzić, którego jednak nikt nie chce wysłuchać. Widzieć, jak statek nasz nie tyle rozpada się, co rozkłada; i widzieć, jak ludzie — Charles Summert, Wheeler, Gibbs — zmieniają się, jakby działał w nich ten sam proces rozkładu... Wszystko» co przewidywałem lub planowałem dawno temu, w Anglii, gdy przedstawiono mi, na czym będzie polegać moje sta nowisko, wydawało się teraz dziecinną zabawą w „u- dawanie”, a zależało od tego, czy wyjdziemy cało z obecnego niebezpieczeństwa, to zaś jest wraz mniej pewne! A i stanowisko, które na mnie czeka, jeśli w ogóle kiedykolwiek je obejmę, przyjdzie mi pełnić w znacznie mniej przyjaznym » zarazem znacznie bardziej skomplikowanym świecie, niż mi się dawniej wydawało.

Tu przypominałem sobie — przy czym po ciele przebiegł mi chłodny dreszcz, niby przy zmianie wiatru — co w rzeczywistości zamierza uczynić Charles Summers: ni mniej, ni więcej, tylko skrępować kadłub linami! Będzie to ostatnia, rozpaczliwa próba zapobieżenia rozpadowi naszego sutku! Obaj oficerowie usiłowali mnie uspokoić swymi zapewnieniami! Kłamali, jak sądzili, w dobrej wierze! A więc naprawdę znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Wreszcie odetchnąłem głęboko, otarłem czoło, a potem usiadłem za białem. Po krótkim namyśle wyciągnąłem mniejszy dziennik

i zacząłem przerzucać kartki, czytając tu i tam, jakbym rozwiązanie naszych kłopotów chciał odnaleźć w przelanych na papier roztropnych słowach Edmunda Talbota. Czy któregoś dnia księga ta, pięknie oprawna, spocznie na jakiejś półce, może moich potomków, jako Dziennik Talbota? Za to tej, którą piszę teraz, brak owej przypadkowości wątku, wymuszonej na pierwszym tomie przez Colleya i los! Kiedyś planowałem, by akcja toczyła się wokół przygód Jacka Deverela, ale właśnie w chwili, gdy bohater miał zająć miejsce na środku sceny, opuścił ją — uciekł z tego teatru i zatrudnił się w innym, w takim, do którego, niestety, nie mogłem podążyć jego śladem. Był też ów dziennik słodkim, acz bolesnym opisem miłości młodego Talbota — któremu odebrano bezlitośnie drogi Przedmiot Jego Miłości, zostawiając go sam na sam z marzeniami i łacińską poezją! Kontynuowanie i pielęgnowanie owego związku jest sprawą tak odległej przyszłości, że na chwilę ogarnęło mnie przerażenie, czy wszystko nie rozplynie się, nie okaże banalnym flirtem jednego przyjęcia i balu! Ale zaraz otrząsnąłem się z tych myśli — oto bowiem w chwili, gdy w głowie mej zagościła ta niegodna myśl, na kamiennych tablicach pamięci rozjarzyła się blaskiem twarz, postać, całe jestestwo tego bezcennego Przedmiotu — owego cudownego dziecka! — na nowo zaprowadzając wszędzie ład. To ostatnie spojrzenie, które mi posłała, jej ostatnie, wypowiedziane szeptem słowa... o nie, to ona jest spełnieniem wszystkich moich marzeń! Jednak pamiętając, że to nie tylko poetyczne widmo, ale także prawdziwa, z krwi i kości młoda dama, nie pozbawiona inteligencji i esprit> nie mogłem wątpić, że i ona będzie rozważać wszystkie za i przeciw mojej osobie. Czy jestem odpowiedni, właściwy, możliwy do zaakceptowania — przez chwilę spojrzałem na siebie jej oczyma: ten młody człowiek, tak widocznie épris, którego zostawiła za sobą na wlokącym się, pozbawionym masztów statku, płynącym w zupełnie inną niż ona stronę! Rozpacz!

A jeszcze lady Somerset pisze, że wymiana listów może zostać przerwana na życzenie każdej ze stron! Czyli — żadnych zobowiązań.

Z jakimi widokami ruszałem w tę podróż? Stanowisko w Sydney, ładny gabinet w rezydenturze; tam stosować będę nabytą zdolność nauki, metodycznie poznając i po mistrzowsku opanowując każdy przedmiot, choćby najnowszy i najbardziej złożony — a jeśli nie po mistrzowsku, to przynajmniej lepiej od innych! Potem, w towarzyskich kręgach otaczających Jego Ekszelencję, dam się poznać jako tegoż przedmiotu nonszalancki znawca, nie przyznając się nikomu, że pewność tę zawdzięczam wielu godzinom wytężonej pracy! Będę tym dla Jego Ekszelencji, kim Burghley był dla królowej Elżbiety.



Toż to czyste szaleństwo! Zerwałem się na równe nogi, ale moja komórka nie nadaje się do tego, by biegać po niej tam i z powrotem, kiedy chce się ukończyć zamęt umysłu. Poszedłem więc najszybciej i najzręczniejszym, jak tylko pozwalała na to statek, do salonu pasażerskiego. Ledwie jednak otworzyłem drzwi, za moimi plecami pojawił się Oldmeadow, oficer wojsk lądowych, i razem weszliśmy do środka. Oldmeadow rzucił się na miejsce przy zawietrznym końcu stołu. Miał na sobie cywilne ubranie i wyglądał w nim znacznie lepiej — młodzieniec nie pozbawiony rozsądku i dobrych manier.

— Talbot, mój stary...

Ale w tej samej chwili gwałtowne uderzenie fali

i podskok rufy statku z silniejszym niż zwykle przechyłem na sterburtę sprawił, że wyciągnął ręce przed siebie, by nie upaść na stół.

— Niech diabli porwą morze, a wraz z nim całą Marynarkę!

Ja zaś, przeciwnie, musiałem schwycić się przeciwległego końca stołu, by nie polecieć do tyłu.

— Robią, co mogą, Oldmeadow!

— Tak? To widać nie mogą zbyt wiele, takie jest

moje zdanie. Gdybym tylko wiedział, jak parszywy będzie ten rejs, zrezygnowałbym ze stanowiska!

— Musimy to jakoś znieść.

— Wszystko dobrze, Talbot, ale czy wiesz, że toniemy, zatoniemy albo możemy zatonać? Mówię ci to w zaufaniu. Moi ludzie już wiedzą. Zresztą dowiedzieli się wcześniej ode mnie! Zawsze tak jest.

— Co im powiedziałeś?

— A jak myślisz? Powiedziałem im, że są żołnierzami wojsk lądowych, że statek to nie ich sprawa, tylko Marynarki. — Tu wydał z siebie swój nagły, przypominający krakanie śmiech, odsuwając brodę w tył. — Powiedziałem im, że jeżeli mają utonąć, będą tonęli z porządnie nasmarowanymi rzemieniami i czystymi muszkietami. Rozkazałem też kapralowi Jacksonowi, by kiedy statek zacznie tonąć, ustawił mi wszystkich w szeregu, i tak mają czekać na dalsze rozkazy.

— Ale co to da?

— Masz jakiś lepszy pomysł?

— Zresztą my wcale... Summers zapewnia mnie, że nie zatoniemy.

Zamierzałem właśnie rozwinąć temat, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, jak zwykle przy takiej pogodzie, i do środka wtoczył się tęgi pan Brocklebank, podtrzymywany z jednej strony przez żonę, z drugiej przez Phillipsa. Oboje posadzili go między Oldmeadowem a mną i wyszli. Biedaczysko stracił chyba połowę tuszy. Tłuste niegdyś policzki zwisały teraz niczym pewnemu znanemu członkowi rodziny królewskiej, ale daleko mu było do niego, jeśli chodzi o wypukłość brzucha.

— Panie Brocklebank! Mówiono mi, że niemoc przykuła pana do koi! Czy możemy obaj gratulować panu przyjscia do zdrowia?

— Wcale nie przyszedłem do zdrowia, proszę pana. Podobno odrobina ruchu może mi pomóc.

Nadal jestem w bardzo złym stanie, ale, jak twierdzi moja żona, to samo można powiedzieć o naszym statku. Gromadzę resztki sił, by nie przegapić próby szorowania kadłuba. Oko artysty...

— Podziwiam pańskie poświęcenie dla sztuki, ale statek wcale nie jest w złym stanie! Mam na to słowo pierwszego oficera! Do diabła, myśli pan, że sam byłbym w tak wesołym nastroju, gdyby coś nam groziło?

Spróbowałem zaśmiać się, ale wyszło mi to tak nieprzekonująco, że i Oldmeadow, i Brocklebank zaczęli się śmiać — i oto, gdy za oknem rufowym morze nachylało się to w jedną, to w drugą stronę, gdy nowe słońce przemykało po ścianach salonu przy każdym przechyle statku, my śmialiśmy się niczym pensjonariusze domu wariatów.

— No cóż — odezwał się wreszcie Oldmeadow. — My, żołnierze, mamy przynajmniej to szczęście, że wiemy, co robić!

— Mówię wam, że nie zatoniemy!

Brocklebank zignorował mnie kompletnie.

— Panowie, wiele myślałem o naszej sytuacji. Leżąc na koi całymi dniami bez żadnego zajęcia, miałem dość czasu, by rozważyć, co może czekać nas w przyszłości. Chodziło przede wszystkim o zadanie właściwego pytania. I udało mi się sformułować to podstawowe pytanie.

Spojrzałem na Oldmeadowa, by przekonać się, czy i on uważa, podobnie jak ja, że pan Brocklebank wykazuje jak zwykle wysoki stopień upojenia alkoholowego. Ale Oldmeadow przypatrywał mu się w milczeniu. Starszy pan mówił dalej:

— Otóż, panowie, wiemy, jak giną statki. Wpadają na skały, kiedy próbują dotrzeć do brzegu, i tak dalej, i tak dalej. Albo też zostają zatopione w boju. Na pewno widzieliście niejednego taki obraz — odpowiednio umieszczony dym armat, na pierwszym planie zaś roztrzaskany kikut masztu i trzy czepiające się go figurki. W ich stronę płynie łódź ratunkowa, by zabrać ludzi z pokładu — przy linkach sterowych aspirant sir Henry — gdzieś daleko, za ładnie komponującym się dymem, widać płonący okręt Jego Królewskiej Mości, HMS Jak-mu-tam — każdy to widzi, każdy potrafiłby to opisać.

— Nie jestem pewien, proszę pana...

— A owo pytanie? Oto ono: w jaki sposób tonie statek, gdy nikt tego nie widzi, gdy nikt tego nie opisuje? Co roku — wy, młodzi, nie pamiętacie pokoju, ale nawet za czasów pokoju — znikają statki. Nie wpadają na skały, nie kończą zaryte w piach. Nie one zostają przerobione na towarowe lub więzienne hulki, nie ich wręgi gniją w ujściach rzek. Te statki giną za horyzontem i stają się tajemnicą, panowie. Mówi się wtedy, że mają „opóźnienie”. I nikt nie maluje, jak samotny Jean & Mary niknie w morzu, wchłaniany...

— Do diabła, Brocklebank, powiedziałem pierwszemu oficerowi...

— ...gdzieś przez krąg wody, takiej samej jak wszędzie wokół, kiedy przychodzi na niego kres...

— Słuchajże, człowieku, innym statkom również może się zdarzyć, że wiatr popchnie je wstecz jak nas, przewróci, ale sądzę, że utrata steng to za mało, by zaraz pójść na dno z bulgotem... och, wśród mamrotanych modłów i przekleństw, wrzasków i krzyków, wołań o pomoc, która nie nadejdzie...

— Tylko że, widzi pan, pogoda może nawet być korzystna, ale woda jest podstępna. Powoli skrada się, osacza... Pompują, aż opadną z sił, a wtedy zwycięża woda. Podobno woda zawsze zwycięża.

Zachwiałem się — od pewnej chwili stałem już na nogach.

— Raz na zawsze mówię panu, że nie zatoniemy! Nie wolno panu mówić w ten sposób, a jeśli nie wie

pan, jak namalować takie wydarzenie, to cóż, przykro mi, ale szczerze mówiąc, nie bardzo...

— Nie zrozumiał mnie pan. Nie mówię o malowaniu. Nie przeczę, to wielki, wspaniały temat: statek, tonący gdzieś, nie wiadomo gdzie, idący na dno z całą załogą — morze, niebo i statek... Ale ja tego malować nie będę, proszę pana. A poza tym czy znalazłbym klienta na takie płótno? Czy to by się sprzedało? Nie, proszę pana. Nie chodzi o malowanie, chodzi o zachowanie.

Oldmeadow znów zakrakał.

— A niech go, Talbot, on utrafił w sedno!

— Pan Oldmeadow mnie rozumie. Wiele o tym myślałem. Jak topi się człowiek, który wie od dłuższego czasu, że to nastąpi? To sprawa godności, panie Talbot. Muszę zachować godność. Jak mam tonąć? Będę wdzięcznym, gdyby zechciał pan przywołać swego służącego.

— Wheeler! Wheeler, słyszysz! Do cholery, Wheeler, dlaczego... No, jesteś wreszcie!

— Słucham pana. Pan mnie zzywał.

Odpowiedział mu Brocklebank:

— Widzisz, Wheeler, bardzośmy ciekawi... Jesteś chyba jednym z nielicznych ludzi, którzy wyszli cało z takiego piekielnie nieprzyjemnego wypadku. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś zechciał opisać nam...

Przerwałem mu.

— Brocklebank, tak nie można! Nie sądzę, żeby on doszedł już do siebie, jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi!

Wheeler patrzył to na jednego, to na drugiego.

— Nie, nie, Wheeler! Pan Brocklebank nie mówi tego poważnie... Jestem pewien, że żartuje!

Oldmeadowem wstrząsnął dreszcz.

— Boże, Talbot! Przecież to tak, jakby pytać nieboszczyka, co się stało, gdy wyciągnął nogi!

Wheeler drżał jeszcze silniej.

— Opisać?

Brocklebank wylewnie rozłożył ręce.

— Nieważne, człowieku. Jestem w mniejszości.

Wheeler spojrział na mnie.

— Czy to wszystko, proszę pana?

— Przykro mi, że... Tak. To wszystko, dziękuję.

Wheeler skłonił się w sposób, jakiego przedtem

u niego nie widziałem. Odszedł.

— Bardzo przepraszam, że tak panu przerwałem, ale naprawdę...

— A ja nadal pana nie rozumiem. Mieliśmy zapewne jedyną okazję, by zrozumieć życie — a co jeszcze ważniejsze, zrozumieć śmierć!

Wstałem.

— Ja natomiast, nie będąc wielbicielem pańskiej muzy, wolę poczekać aż przyjdzie moja kolej.

Odszedłem, by odszukać Wheelera i wyrazić mu douceury na którą zasłużył sobie, skoro naraziłem go na pytania malarza.

Ale Wheelera nie było ani w korytarzu, ani w mojej komórce. Stałem, spoglądając na tę oto księgę, która leżała otwarta na blacie. Wyznam, że Wheeler przestraszył mnie tak, że aż oblałem się zimnym potem. Czy z powodu mojego niedawnego wypadu w kraj poezji, czy też dlatego, że służący wpatrywał się w coś, co istniało tylko dla niego — a może to coś nie istnieje już tylko dla niego, może zacznie istnieć też i dla mnie? Przed moimi oczyma pojawiły się sceny ostatnich chwil statku. Bójki; walka o ostatnie wolne miejsca w szalupach; najemnicy pana Jonesa obalają na pokład każdego, kto ośmieli się im przeciwstawić, a jego wysokość spokojnie realizuje swą polisę ubezpieczeniową!

Rozmyślania te wywarły na mnie chyba większe wrażenie, niż bym przypuszczał, gdyż ocknąłem się na korytarzu. Trzymałem się poręczy przy drzwiach mojej kajuty, nie miałem na sobie nie

przemakalnego stroju. Nie pamiętam, bym otwierał drzwi — po prostu znalazłem się tam i już. Serce waliło mi tak, jakbym właśnie ukończył długi bieg.

W drzwiach prowadzących na śródkręcie stał pan Jones we własnej osobie. On miał na sobie nieprzemakalny strój, choć akurat tym razem nie było to konieczne. Otaczało nas granatowe morze, a w poprzek kursu statku galopowały białe grzywy fal.

— No i cóż, panie Jones, czy udało się im zdrapać trochę zielska?

— Zdaje się, że tak. Niektórzy twierdzą, że obserwowali całą operację na własne oczy, ale ja sam nie byłem tego świadkiem.

— Parę dni temu widziałem trochę zielska w kil- waterze statku. Zapewne działo się to wówczas, gdy pan Benét „wyszorował klepki przy stępcę”.

— Zbyt to fachowe terminy dla prostego sklepikarza.

— Chodzi o to, że jego operacje z liną okazały się zadziwiająco skuteczne.

— Muszę więc pochwalić go za pieczę, jaką otacza moje inwestycje.

— Czy to znaczy, że podobnie jak wszystko inne, i statek jest pańską własnością?

Nawet nie próbowałem ukrywać irytacji i oburzenia, ale płatnik odpowiedział mi najspokojniej w świecie:

— Nie, nie. Statek nadal pozostaje własnością Korony. Nie, chodzi mi o pewne towary, które przewożę w ładownią a które mogłyby zostać uszkodzone przez wodę, gdyby pojawiła się pod pokładem.

— Pierwszy oficer...

— ...zapewnił pana, że pod pokładem nie ma wody. Tak, wiem. Ja jednak, traktując poważnie moje obowiązki, nie mogłem pominąć w swych rozważaniach faktu, że być może zielsko, które pan Benét z takim zapalem zdrapuje, właśnie uszczelnia kadłub statku!

— Pan Ben et...

— To bardzo wymowny młodzieniec. Jestem przekonany, proszę pana, że potrafiłby sprzedać wszystko, gdyby tylko chciał. Nawet wybrakowany towar.

— Na pewno wzięto pod uwagę i ten aspekt oczyszczenia kadłuba z wodorostów.

— Zauważyłem, że pierwszy oficer zgłosił w sprawie szorowania kadłuba votum separatum.

— No tak, ale to dlatego, że jest...

Wolałem nie wypowiadać na głos tego słowa.

Równałoby się to z oskarżeniem Charlesa Summersa

o kobiecą niemal słabość. Płatnik odwrócił głowę osadzoną na grubym karku i spojrzął mi prosto w oczy.

Cicho zapytał:

— Jest...?

Nie powiedziałem nic. „Zazdrosny” to słowo niebezpieczne. Pan Jones powrócił do obserwacji czynności na dziobie. Stałem przy nim, nie trzymając się już niczego, lecz tylko szeroko rozstawiwszy stopy — doradzona przez Beneta zmiana kursu znacznie uspokoiła kołysanie statku. Staliśmy więc razem tuż za wejściem na śródkręcie, przypatrując się pracującym marynarzom. Grupy ludzi po obu burtach statku poruszały się rytmicznie i na przemian. Gdy tak patrzyliśmy, w pewnej chwili obie grupki zatrzymały się z „krawatami” luźno zwisającymi im z dłoni. Zrozumiałem, co się dzieje. Ponieważ olinowanie statku dochodziło do obu burt, co jakiś czas linę trzeba było przeciągnąć „za burtą”

I z powrotem, i znowu prowadzić szorowanie. Taką to właśnie chwilą przerwy rozkoszowali się teraz marynarze; chwila ta przedłużyła się niespodziewanie, bo znów rozdzwoniły się szklanki, rozległ się świst gwizdka i okrzyk: „Do dna!” Oto, pomyślałem sobie, kolejny przykład skostnienia służby na morzu: trwa operacja o żywotnym znaczeniu dla całego statku,

która może zwiększyć jego prędkość, ale zostaje przerwana, bo marynarze muszą dostać racje tej, jak określił to Colley, „ognistej cieczy”! Marynarze, którzy skończyli właśnie wachtę zbiegali z dziobu, zostawiając Cumbershuma, Beneta i Summersa w oczekiwaniu, zapewne niecierpliwym, przy porzuconych linach. Co to powiedział cieśla tyle tygodni temu, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o „szorowaniu kadłuba”? „Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby wydostać ją na brzeg i oskrobać kadłub z wodorostów. Przeciągnęliśmy tylko parę razy linę pod kadłubem...” A pan Askew, działomistrz, na to: „Gdyby chcieli oskrobać dno z wodorostów, mogliby wy drapać w nim dziurę”.

— Takie rzeczy robi się w porcie.

Z niejakim zmieszaniem zorientowałem się, że słowa te wypowiedziałem na głos.

— W tym przypadku nie mogą sobie pozwolić na najmniejszą pomyłkę, proszę pana.

— Właśnie, właśnie. Chciałbym uzyskać od pana szczelny, pływający pojemnik na moje rękopisy, by przynajmniej one miały szansę dotrzeć do czytelników.

Był to oczywiście żart, ale tak nędzny, że pan Jones z powagą skinął głową.

Znów powróciliśmy do obserwacji. Marynarze wracali do liny. Nagle zobaczyłem, że Charles Summers gestykuluje pod adresem Beneta z zupełnie nie pasującą do niego gwałtownością. Rozpoczęła się ostra wymiana zdań. Płatnik poruszył się, jak sądzę, dość niespokojnie.

— Jak pan myśli, czy stało się coś złego? — zapytał.

Nagle przyszło mi do głowy, że Charles Summers był — jest — moim przyjacielem i że nie wypada mi komentować jego zachowania. Lekko wzruszyłem ramionami, odwróciłem się i wdrapałem po schodkach na mostek. Kapitan Anderson znów stał przy relingu i ponuro spoglądał na swój statek.

— Takie rzeczy robi się w porcie, prawda, kapitanie?

Z daleka obrzucił mnie spojrzeniem, otworzył usta i zaraz je zamknął. Popatrzyłem za jego wzrokiem. Z tej wysokości widać było jeszcze lepiej całą operację. Do liny, którą się w niej posługiwano, w regularnych odstępach doczepiono inne, krótsze, zwinięte lub rozprostowane na pokładzie. Całość była jednak zbyt skomplikowana jak na mój zasób wiadomości z dziedziny żeglarstwa lub możliwości opisu.

— Czy ta wielka plama na linii wodnej to rzeczywiście wodorosty?

Kapitan mruknął w odpowiedzi: — Właśnie zeskrobano ich trochę, a będzie więcej.

— I znowu zwiększymy prędkość?

— Taką mamy nadzieję.

— O ile węzłów, kapitanie?

Kapitan skrzywił twarz w grymasie niezadowolenia, którego tak bardzo boją się niektórzy. Uczynił to wysunawszy szczękę do przodu.

— Ależ proszę nie odpowiadać, kapitanie! Przecież to nie moja sprawa... choć jeśli dobrze się zastanowić, to stawiam dokładnie tyle samo, co inni!

— Stawia pan? Cóż takiego pan stawia?

— Własne życie.

Wreszcie raczył obdarzyć mnie spojrzeniem, ale było ono mało przychylne. Siódma fala, której rozbryzgi obmyły dziób, zalała śródkręcie i zatrzęsa mostkiem, odwracając moją uwagę od wszystkiego poza koniecznością utrzymania się na nogach. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też rzeczywiście mostek zakolysał się ruchem, którego potem nie powtórzyła reszta statku? Wiatr stał się teraz bardzo przenikliwy; pożałowałem, że nie włożyłem nieprzemakalnego stroju. Mimo to z uwagą obserwowałem kolejne fale

i przechyły statku, ale nie zauważyłem już po raz drugi tego innego ruchu.

— Mówiono mi, że statek nasz jest mocno nadwerżony.

Kapitan z sykiem wciągnął powietrze. Palce zaciśnięte na relingu aż zbiały.

— Panie Summers! — ryknął.

Charles stanął i podniósł do ust tubę. Jego słowa dobiegały z drugiego końca statku z tym dziwnym, niesamowitym pogłosem, jaki zawsze daje ów instrument.

— Tak jest, sir?

— Co to za opóźnienie?

— Coś trzyma, sir. Staramy się ruszyć.

— „Staracie się”, Summers?

— Staramy się.

Charles zwrócił głowę w bok. Rzucił kilka słów Benétowi, który zsalutował i pobiegł ku rufie. Stanął na śródokręciu i przemówił do kapitana:

— Sądźmy, że to stary koralowiec, sir. Ten statek ostatnio pełnił służbę w Indiach Zachodnich. Sądźmy, że to martwy koralowiec, a na to nie wystarczy taka zwykła szarpanina.

— Obaj tak sądzicie, panie Benét?

— Pan Summers uważa, że to możliwe. Proponowałem wykorzystać kabestan dziobowy, ale on, z kilku powodów, nie chce stosować aż tak daleko idących środków.

— A pan, panie Benét?

— Ja uważam, że na początek powinniśmy spróbować posłużyć się talią.

Przez chwilę kapitan nic nie mówił] poruszał szczęką, jakby coś przeżuwał. Oprócz tego poruszała się tylko jego prawa noga — ta od sterburty. Zginała się i prostowała, na pewno bez najmniejszego udziału jego świadomości. W końcu nawet moja noga od sterburty, i pana Benéta... nie, nie. Benét stał twarzą do rufy, więc była to chyba jego noga od bakburty? Wszystko zależy od tego, czy... i tak dalej. Jak ja mam serdecznie dość tego żeglarskiego bełkotu! Krótko mówiąc: wszyscy zginamy i prostujemy te nogi, co potrzeba, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy na statku i co robimy. Oto drobne, nieświadome odruchy, które na pewno nie są warte cierpień, jakich nas kosztowało ich nabycie.

Kapitan skinął głową. — Doskonale, panie Benét, ale...

— Ostrożnie, sir?

Kapitan Anderson uśmiechnął się! Naprawdę się uśmiechnął! Pogroził palcem młodzieńcowi.

— No, no, panie Benét! Nie przerywać! Tak jest. Ostrożnie.

— Tak jest, sir.

Dobry Boże — ich zachowanie było niemal figlarne!

Nastała teraz jedna z tych nie kończących się chwil, tak częstych na morzu, gdy marynarze nie robią nic innego, tylko krzątają się wokół lin. Zdaje się, że linę trzeba było na nowo przewlec przez kipy, pan Summers zaś obkładał ją wokół pachokłów u wejścia na śródokręcie — o Boże! Liny i bloki tworzyły teraz istny gąszcz — ktoś klócił się z kimś zajadle. Wreszcie przy końcu liny znów zgromadzono grupkę marynarzy i zachęcono ich do pracy okrzykiem: „Wio, koniki!” Gdy to nie dało żadnego rezultatu, zachęcano ich dalej: „Iiii-dziesz!”, potem: „Z krzyża!”, wreszcie: „Wypruć flaki!” i to ostatnie okazało się skuteczne, do tego stopnia, że rozległ się trzask przypominający wystrzał z pistolem — tak chciałem napisać, ale właściwie czemu nie: odgłos pękającej liny — bo to właśnie się stało, a marynarze upadli jeden na drugiego. Ponowne przygotowanie liny przeciągało się, więc poszedłem do salonu i zjadłem, jak zwykle, trochę wołowiny na zimno, po czym

wróciłem na pokład. Lina była już gotowa, a marynarze ciągnęli ją z całych sił; ta jednak, choć napięta „na niteczkę”, ani drgnęła.

Pan Benêt znów popędził ku rufie.

— Sądźmy, że trzeba użyć kabestanu, sir.

Kapitan wyprostował się gwałtownie. Odwrócił

się i z rękami założonymi na plecach zaczął przechadzać się tam i z powrotem po mostku. Porucznik Benêt czekał. Kolejna wielka fala przeszła pod statkiem...

Teraz miałem pewność. W miejscu, gdzie na szeroko rozstawionych nogach spacerował kapitan, pokład poruszył się, a ruchu tego nie powtórzyły ani dziób, ani śródokręcie!

Wreszcie kapitan wrócił.

— Pan Summers się zgadza?

— Jego zdaniem to pan musi wydać rozkaz, sir.

— Panie Benêt, zawsze odpowiada ten oficer, który jest na miejscu. A nie da się przeciągnąć liny ku dziobowi?

— Wydaje mi się... Wydaje nam się, że sznur werżnął się głęboko w koralowiec, bo teraz nie chce iść ani w jedną stronę, ani w drugą.

— A co sądzi pan Gibbs?

Benêt uśmiechnął się.

— Mówi: „Może to koralowiec, a może nie”.

— Doskonale. Proszę przekazać pierwszemu oficerowi moje ukłony i poprosić go, by zechciał łaskawie pofatygować się tutaj.

Czy to tylko moja wyobraźnia wyobraźnia podszeptała mi, że kapitan Anderson chciał podzielić się z Benêtem swoją opinią czy sądem na temat Summersa, znaczącym tonem wymawiając słowa „pierwszemu oficerowi”? Na tyle jednak już poznałem zwyczaje panujące na morzu, by wiedzieć, że byłoby to niesłychanym naruszeniem wszelkich zasad! Nie, to tylko moja wyobraźnia, bo kapitan znów przybrał

swój zwykły, ponury wyraz twarzy, a porucznik Benêt jak zwykle ruszył pędem ku dziobowi. Zaraz też zbliżył się Summers, ten jednak nie biegł, lecz szedł. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Razem z kapitanem odeszli na najdalszy zakątek rufy. Z ich rozmowy zdołałem usłyszeć tylko pojedyncze słowa, które ulatywały od nich jak liście z drzew. Tymczasem na dziobie porucznik Benêt ze zwykłą dla siebie energią zbierał kolejnych marynarzy.

— Odpowiedzialność.

Takie słowo przemknęło mi koło uszu. Zostało wypowiedziane podniesionym głosem, jakby Charles Summers mówił je już przedtem, a teraz powtarzał z naciskiem.

Skąd mają mieć pewność, że wyszarpując lub odłamując koralowiec nie oderwą wraz z nim drewna? A potem znowu to samo słowo; tym razem padło z ust kapitana!

— Odpowiedzialność.

Wiatr poniósł je dalej.

Summers wracał. Przeszedł obok mnie w milczeniu. Twarz nadal miał jak wykutą z kamienia, ale z całej postaci bił niepokój i gniew. Jakże wszyscy zmieniliśmy się tutaj! Charles, dawniej tak zrównoważony, ostatnio częściej ma zły humor niż dobry; Anderson, niegdyś nieprzystępny, je teraz z ręki pana Benéta, ja zaś...? No cóż, być może w moim dzienniku znajdzie się jeszcze więcej rzeczy, które zarzucić można Edmundowi Talbotowi.

Do głównej liny dowiązано tymczasem jeszcze więcej „krawatów” i przeciągnięto ją nie do bębna pod pokładem, lecz do wielkiego kabestanu dziobowego, w który paru ludzi wkładało już handszpaki. W zimnym wietrze uświadomiłem sobie, że stawką tego, co dzieje się tam na nachylonym pokładzie dziobu, w strugach słonejszej wody z rozbryzgujących

się fal, tego, co robią ci ludzie z kolczykami w uszach, warkoczami i loczkami, jest moje życie; że wspaniała kariera, ku której pchnął mnie ojciec chrzestny, może się skończyć jeszcze zanim się rozpoczęła!

Nie namyślając się dłużej, opuściłem stanowisko na rufie i zszedłem na śródokręcie, by spojrzeć wzdłuż burty i, jeśli się da, obserwować miejsce, gdzie lina znika pod wodą. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, zapewne obudzone na nowo poczucie, że „muszę coś zrobić”! Poczucie to bynajmniej nie było mi obce. Ten statek odbija echem każdą plotkę, skandal i koszmar, zupełnie jak skrzypce odbijają ruch smyczka. Ci z pasażerów, którzy czuli się na siłach opuścić koje, zebrali się teraz, a raczej stłoczyli, po naszej stronie śródokręcia. Stał wśród nich Bowles otulony peleryną, spoglądający przed siebie, jak mi się zdało, wzrokiem krótkowidza, z napiętą twarzą; kosmyki ciemnych włosów powiewały wokół odkrytej głowy. Spostrzegłem też Brocklebanka, naszego ma-rynistę; opuścił koję, choć dopiero pierwszy raz podniósł się z niej podczas niepogody! Jakże jednak zmieniony! Brzuch, który przedtem obejmował całą klatkę piersiową i sprawiał wrażenie, jakby sięgał do kolan, skurczył się teraz i niczym żółwia skorupa mieścił się między pępkiem a górną partią ud. I brzuch, i jego właściciel spowici byli w podróżną chustę czy też koc, może taki, którym ludzie okrywają się w powozie — w każdym razie płachta ta pamiętała znacznie lepsze dni. Jego czapę z bobrzecego futra utrzymywał na głowie kawałek materiału, przechodzący z góry wokół czapki, zawiązany pod brodą. Jak sądzę, nie omyliłem się, rozpoznawszy w materiale kawałek damskiej pończochy! Jej poprzednia właścicielka, pani Brocklebank, kryła się przed wiatrem za wielkim cielskim męża. Gdy ich mijalem, właśnie rozchyliła płachtę i przytuliła się do niego gdzieś w okolicy jego prawej pachy; jej ładna twarz była biała. Nikt nie odzywał się ani słowem, a wszystkie oczy spoglądały na daleki kabestan.

I wreszcie plotki dotarły do dziobowych partii statku, gdzie gnieździł się emigranci. Zaczęli oni najpierw wychodzić, potem wręcz wysypywać się na śródokręcie, witani gniewnymi okrzykami oficerów. Z dziobu zszedł do nich Summers i przez chwilę coś tłumaczył. Zza pleców usłyszałem stanowcze kroki na schodkach z rufy. Był to oczywiście kapitan Anderson, który majestatycznie podążył ku dziobowi po zalanym wodą pokładzie. Porozmawiał najpierw z Summersem, potem z emigrantami. Ci, jak pszczoły wracające do ula, cofnęli się tyłem do forkasztele i już nie pojawili się na pokładzie podczas całej operacji. Kapitan ostrożnie ominął linę i sam stanął na dziobie, przed kabestanem, po bakburcie, tam, gdzie linę „coś trzymało”. Wspiąłem się do relingu na bakburcie, chwyciłem się go i spojrzałem w morze.

Colley tyle pisał o kolorach! Muszę zapamiętać, jaką co miało barwę. Szarość zniknęła. Niebo było soczyście niebieskie, morze granatowe, a białe grzywy fal wlokły za sobą swe najprzeróżniejsze garby, pagórki i wodne ściany. Pokrywały morze aż po ostro zarysowany widnokrąg, a słońce paliło blaskiem z nieba, tu i ówdzie porysowanego w białe, krągłe chmury. Burta statku, jak przystoi na okręt wojenny, nosiła osowaty, czamo-żółty wzór, wciąż zalewany wodą. Nie ulegało wątpliwości, że do chwili zaczepienia się liny operacja przebiegała z powodzeniem. Daleko w bok od kursu unosił się na wodzie jakby wielki kobierzec zielska. Wraz z kołysaniem statku zielone wodorosty, pokrywające kadłub na linii wodnej, przebiegały się przez ciemniejsze wodorosty z głębszych partii dna statku; cały ich spłacheć wciąż jeszcze trzymał się drewna, lecz łatwo się usunie, gdy tylko zaczniemy szybciej płynąć, lub uda się przeciągnąć linę bliżej rufy. Trudno wyob-



razić sobie coś bardziej; obrzydliwego! Od czasu do czasu od zewnętrznej krawędzi plamy odrywały się całe kłęby tej rurowatej, ciastowatej, skórzastej substancji i gnieżdżących się w niej skorupiaków i drobnych krabów, i odpływały leniwie, co najdobitniej świadczyło, że dotąd niemal staliśmy w miejscu, mimo całego kołysania, przechyłów i załamywania się statku. Teraz jednak lina zdawała egzamin. Pozbyliśmy się zielska.

Ktoś westchnął. Tuż przy mnie stał Wheeler, nie patrzył jednak w wodę, lecz w moją twarz.

— A więc to prawda, proszę pana?

Odpowiedziałem mu szeptem — szeptem, w tym wietrze, hałasie, rozgardiaszu!

— Co znowu, człowieku?

— Ryzykują, prawda, proszę pana? Przecież rozmawiał pan z oficerami, prawda?

Rozzłościł mnie nie na żarty.

— Wheeler, na miłość boską! Znośże swój los z godnością, jak inni!

Odsunął się.

Na dziobie pan Gibbs uderzył się dłonią po czole — w ten sposób salutował kapitanowi — i ruszył pod pokład.

Za burtą przepłynął nowy kawał odczepionego zielska.

Ale oto zbliżał się do mnie pan Brocklebank. Poruszając się z wielką ostrożnością zajął miejsce, które przed chwilą opuścił Wheeler.

— Oto scena godna pańskiego pędzla!

— Zamawia pan u mnie obraz, panie Talbot?

— Ja? Dobry Boże! Co za pomysł!

Pani Brocklebank, która podeszła do mnie wraz z mężem, wyjrzała spod płachty.

— Jestem pewna, że gdyby tylko zmniejszyło się kołysanie, mąż — Wilmot — z chęcią namalowałby pański portret!

Słyszałby kto, żeby przerywać rozmowę w sposób

tak głupi i bezsensowny? Nic nie odpowiedziałem, tylko znów patrzyłem tam, gdzie decydowały się nasze losy.

Oto dowód, jaki byłem nieswój, w jakim napięciu i niepokoju czekali wszyscy pasażerowie. Nie wiem, co czuli marynarze, ale w końcu i oni są ludźmi, ich życie też zawisło na włosku. Moje zdenerwowanie widać choćby po tym, że wolałem zignorować uwagę pani Brocklebank, którą przy lepszej pogodzie miałem za całkiem ładne stworzenie i z którą rzadko, bo rzadko, a jednak chętnie dotąd gawędziłem. Szczerze mówiąc, w tych dawnych czasach, zanim straciliśmy stengi... Ale jakie to ma teraz znaczenie!

Na pokładzie znów pojawił się płatnik. Wepchnął się między mnie a Brocklebanka.

— Lenie śmierdzące! Jak oni się z tym grzebią!

— Być może, proszę pana, nie mają dobrych przeczuć co do wyniku swej pracy, więc odkładają jak mogą ten niebezpieczny moment.

— Kto, oni? Rozwiążte dranie, po uszy tonące w długach? A na czym może im tak zależeć?

— Gdy nas klujecie — czy nie krwawimy?

— Co takiego?

Pan Brocklebank przysunął się nieco bliżej.

— Pan Talbot zacytował „Kupca weneckiego”. Nie, nie, panie Talbot. Nie zna pan klas niższych tak dobrze jak ja, który nieraz zmuszony byłem żyć wśród nich. Modne jest rozprawiać o zepsuciu i przywarach wyższych sfer, ale to nic w porównaniu z zepsuciem i przywarami sfer niższych, mój panie! Nie wolno nam zapomnieć, że źli ludzie zawsze są wśród nas, jak mówi poeta. Nawet tu, na statku! Okradziono mnie, proszę pana, okradziono, gdy leżałem na łożu boleści...

Pani Brocklebank znów wynurzyła się na światło dzienne.

— Wilmot, umówiliśmy się przecież, że nie bę

dziesz o tym wspominał. Jeśli chodzi o mniej cieszyć się nawet, że pozbyliśmy się tego obrzydliwa!

Marynarze przy kabestanie ruszyli wreszcie z miejsca.

— Ostrożnie!

Charles Summers przechylał się przez burtę i obserwował linę.

— A teraz żywo!

Marynarze zaczęli nieco szybciej obchodzić kabestan. Wszystkie liny, które dotąd leżały luźno na pokładzie, teraz uniosły się z niego i splotły się w jedno. Rozległo się głośnie skrzywienie, głośny jęk— statku, lin, kabestanu, a może wszystkich trzech naraz. Patrzyłem, jak burta unosi się w górę wraz ze swym balastem ociekających wodorostów i znów opada w dół. Lina, widoczna od pokładu aż po gęstwinę zielska, nie drgnęła jeszcze, ale woda lała się już z niej strumieniami. Nagle wokół kabestanu zapanował jakiś zamęt. Marynarze znów powpadali jeden na drugiego. Lina ruszyła.

To, co ujrzałem wtedy i wszystko, co nastąpiło potem, wciąż widuję i widywać będę w koszmarach. Wtedy kształt ten wydaje się większy, rośnie złowrogi i straszliwy. I we śnie jednak, i na jawie prześladowe mnie strach, że którejś nocy pojawi się znów z głębin morskich, niosąc kłębowisko zielska na wpół tylko skrywające jakąś twarz — nie wiem jaką, i wolę więcej o tym nie myśleć. Ale owego wietrznego przedpołudnia, w słonym powietrzu, na kołyszącym się wzdłuż i wszerz statku, zobaczyłem na jawie tam, przy opętańczo skaczącej powierzchni wody coś, co przypominało wynurzającą się z wodorostów głowę. Przy moim ramieniu ktoś krzyknął okropnym, męskim wrzaskiem. Kształt uniół się, ze wszystkich stron obrośnięty zielskiem, głowa, pięść czy przedramię czegoś tak wielkiego jak Lewiatan. Wraz ze statkiem kołysał się wśród zielska, wynurzył się, opadł, znów wynurzył...

— Doo-ość!

Teraz wiem, że był to głupi i zgoła niepotrzebny rozkaz. Marynarze bowiem upadli jeden przez drugiego i natychmiast odskoczyli od kabestanu, jakby popełnili jakieś przestępstwo. Mówiono mi, że podoficerowie zaczęli ich batożyć, a na całym statku zapanował straszliwy rozgardiasz. Ja jednak niczego nie widziałem. Ja mogłem tylko wpatrywać się w tę odrażającą istotę, która wynurzyła się nie wiedzieć skąd; jej pojawienie się kazało zapomnieć o znanych nauce „faktach” z życia głębin mórz, przywołując w ich miejsce straszliwe tajemnice. I choć wiem, że to niemożliwe, w tym kołysaniu statku morze przestało być na swoim miejscu, a straszliwy, czarny, ociekający wodą kształt wzniósł się nade mną, ukazał na mgnienie oka obrośnięte zielskiem, zasmołowane drzewo, potężne niczym stary dąb, przewalił się na bok — i zniknął.

Stać!

Był to znany wszystkim dobrze kapitański ryk. Rozległ się za późno, ale i tak nieposłuszeństwo oznaczało śmierć. Dobiegał ze śródkręcia. W jakiś sposób kapitan znalazł się tam w ciągu tych krótkich sekund, kiedy jak zakłęty wpatrywałem się w zjawę. Głos kapitana był teraz tak nie znoszący sprzeciwu, że nawet my, pasażerowie, stanęliśmy jak wryci.

Anderson nadal mówił bardzo głośno.

— Panie Summers, to resztki jakiegoś wraku, które utkwiły nam pod dziobnicą.

— Lina była już za dziobnicą, sir. Myślę, że to fragment kilu.

Kapitan warknął groźnie.

— To resztki wraku, panie! Słyszysz pan?

— Tak jest, sir.

— Za mną.

Obaj oficerowie ruszyli w naszą stronę. Nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, kapitan rzucał kolejne rozkazy.

~ Załoga w pogotowiu. Sprawdzić ładownię.

— Tak jest, sir. Panie Cmnbershum...

A potem, gdy byli już na schodkach, Summers

znów powtórzył z gniewem: — To naprawdę był kawał kilu, sir. Dobrze widziałem. Przednia część była widać nadgniła, dlatego lina werżnęła się w niego i poszła dalej.

— Nic takiego, panie Summers, nieprawda! Inie tak głośno!

Wydaje mi się, że okolicznościach takich jak te, w których znaleźliśmy się wówczas, każdego wykształconego, zdrowo myślącego człowieka nachodzi coś dziwnego, w pewien sposób może równie strasznego, jak ów drewniany potwór; owa wrodzona godność, która każe powiedzieć światu dzikich sił i materii: „Jestem człowiekiem. Jestem czymś więcej, niż jedynie cząstką ślepej natury!” Uświadomiłem sobie, że powodowany tym właśnie, przemożnym nakazem, szukam w umyśle słów lub czynów, które mogłyby to wyrazić.

— Przecież kawałek kilu też może pochodzić z jakiegoś wraku.

Stojący przy mnie pan Jones spróbował odchrząknąć, ale bez skutku. Potem ponowił próbę. Nie zwrócił ku mnie twarzy, lecz nadal wpatrywał się w miejsce, w którym wynurzył się, a potem zatonął ów stary kawał drewna.

— Gdyby były to szczątki wraku, to musiałyby unosić się na wodzie, a to przecież zatone.

Pokiwałem głową, niby ze zrozumieniem, ale powoli dotarło do mnie prawdziwe znaczenie tych słów; nogi wryły mi się w pokład dokładnie tak jak wtedy, gdy usłyszałem wystrzał armatni, albo jak przed chwilą, gdy rozległ się ryk kapitana. Uświadomiwszy to sobie spojrzałem wokół, jakbym czegoś czy kogoś szukał — może przyjaciela. Marynarze stali teraz beczynnie, lecz spokojnie. Emigranci stłoczyli się na powrót w forkasztelu, choć w otworze drzwi widać było ich blade twarze. Z czeluści pod pokładem dziobowym wynurzył się pan Benct w to

warzystwie Gibbsa. Obaj zeszli w dół ku nam; Benêt dostosowywał krok do możliwości sw'ego towarzysza. Wokół świeciło jasne słońce, białe balw'any pędziły wielkimi susami po morzu, co bardzo przypominało zwykły sposób poruszania się Benêta. Wszystkie grzbieć' fal, aż po napięty jak struna horyzont, były dokładnie zarysowane. Gibbs przemawiał bardzo żalonym tonem:

— A cóżeście się panowie spodziewali? Puścił tylko jeden nit, ale to wystarczy.

— No to go pan zatkaj!

— A jak pan myśli, co ja tam robiłem? Przeciek może być, ale już nie stamtąd!

Pan Jones poruszył nogami, jakby i jemu wrosły w pokład. Znowoi chrząknął.

— No cóż, proszę pana. Ja przynajmniej jestem doskonale zabezpieczony. — Pokręcił głową z podziw'em. — W'ie pan, taki już jestem dziwny. A moja szalupa jest gotow'a do spuszczenia na wodę i pełna zapasów' na każdą okazję.

— Ja natomiast nie mam szalupy, a co więcej nie widzę w nich nawet miejsca dla kobiet i dzieci!

Pan Jones powalił pokiwał głową, jakby i on poczynił to spostrzeżenie. Potem, równie powoli, pokręcił głową.

Na schodkach znów pojawił się pan Benêt. Tym razem poruszał się długimi susami, stanowiąc jakby uosobienie tego przejrzystego powietrza, wiatru i morza; Gibbs włókl się za nim noga za nogą. Potem pojawił się nareszcie Charles Summers. Był błady i zamyślony. Gdy mnie mijał, odezwałem się do niego po imieniu, ale widocznie zastanawiał się nad czymś głęboko i nie usłyszał. Nie usłyszał mnie też pan Brocklebank, który stał teraz między mną a przejściem prowadzącym do mojej komórki.

— Przecież oddali mi go z powrotem. Jestem pewien, że wkładałem go do dolnej szuflady. Nie widział pan przypadkiem...?

Ale żona już ciągnęła go za rękaw.

— Ależ kochanie, daj spokój! Ja bardzo się deszę, że pozbyliśmy się tego szkaradzieństwa!

Razem weszli przede mną w nasz korytarz. Pan Brocklebank przemawiał z tą okropną, staranną dykcją, której mężczyźni używają, gdy chcą zwrócić uwagę na własną cierpliwość i wyrozumiałość w trudnych sytuacjach — jak zauważyłem, najczęściej w odniesieniu do swych żon.

— Był w dolnej szufladzie pod moim ł ó z k i e m. To znaczy, powinienem powiedzieć, pod koją, bo łóżka zwykle są wygodniejsze — a teraz go tam nie ma. Mamy na pokładzie złodzieja i zamierzam poinformować o tym pana Summersa.

Jego żona, która przez cały czas jego przemowy również coś mówiła, czy raczej trajkotała — brzmiało to zupełnie jak duet basu z dyszkantem — dosłownie wepchnęła go w drzw'i ich kajuty i zamknęła drzwi

Sam ruszyłem do własnej komórki, tej samej, której przez jakiś czas używał świętej pamięci pastor James Colley.

Los powinien serwować nam kolejne przeżycia w pewnych odstępach, byśmy mieli czas wchłonać, że nie powiem — strawić — jedno danie, nim napoczniemy następne. Musi być jakaś przerwa, nie tyle na smakowanie, co choćby na odpoczynek. Niestety, los nie kieruje się równie rozsądnymi zasadami] podaje jedno danie zaraz po drugim, czasem po dwa, trzy naraz, czy wręcz upycha cały posiłek na jeden talerz. Tak też stało się ze mną — z nami. Postaram się opisać to, co się wydarzyło, najdokładniej, jak tylko potrafię. Ta posępna bryła nasiąkniętego wodą drewna pewnie nie zdążyła jeszcze spłynąć w głębiny, gdzie stał na kulach armatnich nieszczęsny Colley, gdy ja zbliżałem się do swojej kajuty — jego kajuty. Wciąż mam to przed oczami i wciąż chcę, by odstało się to, co się stało, ale na

próżno. Zauważyłem, że w środku jest Wheeler. Wiedziałem, że to on, choć przez judasz widać było tylko łysinę i dwa klaki siwych włosów po obu jej stronach. Potem, gdy usta otworzyły mi się same, by wyrzucić go za drzwi z surowym nakazem, żeby przestał mnie prześladować, jeżeli już posprzątał, głowa drgnęła i uniosła się w górę. Oczy miał zamknięte, twarz pogodną. Uniósł ku ustom jakiś złoty lub mosiężny kielich. A potem głowa wybuchła i zniknęła, tuż po, przed, lub wraz z oślepiającym błyskiem. A jeszcze potem znikło wszystko, gdy z judasza buchnęły kłęby gryzącego dymu. W lewym oku poczułem coś mokrego.

Nic nie usłyszałem. Czy rzeczywiście takie to nieprawdopodobne? Inni usłyszeli huk wystrzału, ale ja, który oglądałem całe zdarzenie na własne oczy — nie.

Wielokrotnie usiłowałem ułożyć to, co widziałem w jakiś logiczny ciąg, ale zawsze dochodzę do wniosku, że nie było w tym żadnego porządku, tylko całkowita jednoczesność. Mosiężnym kielichem, który Wheeler przyłożył do swej pogodnej twarzy, okazał się rozszerzony wylot garłacza pana Brock- lebanka, ale to uświadomiłem sobie znacznie później. Wtedy postrzeżałem tylko tę pogodną twarz, wybuchającą głowę, błysk, dym — i ciszę! Zataczając się cofnąłem się od drzwi, próbując jedną ręką odgonić dym, drugą odkleić z oka to coś, co mi je zakrywało — natychmiast rozpoznałem kolor tego, co z niego zdjąłem i rzuciłem się na otwarty pokład, gdzie dopadłem do relingu tuż przy panu Jonesie i dostałem torsji.

— Czy jest pan ranny? Postrzał?

W odpowiedzi zwymiotowałem kolejny raz.

— Nic pan nie mówi, panie Talbot. Czy jest pan ranny? Co się stało?

Dobiegł mnie głos pana Bowlesa, sekretarza radcy prawnego.

— To ten służący, Wheeler, proszę pana. Zabił się w kajucie, którą zajmuje teraz pan Talbot.

Odpowiedział mu spokojny, choć wyrażający całkowity brak zrozumienia głos Jonesa.

— Ale dlaczego on to zrobił, proszę pana? Przecież miał takie szczęście, że go wtedy wyratowano. Można by powiedzieć, że znajdował się pod szczególną opieką Opatrzności.

Kolana ugięły się pode mną. Opadłem na pokład. Wszelkie głosy odpłynęły gdzieś daleko; zalała mnie fala omdlenia.

Gdy się ocknąłem, leżałem na wznak, z głową wspartą o czyjeś kolana. Ktoś inny obmywał mi twarz gąbką, umaczaną w zimnej wodzie. Otworzyłem drugie oko i przyjrzałem się blaskowi oświetlającemu drewniany strop. Byłem w salonie pasażerskim, leżałem na jednej z ław. Gdzieś z góry płynął głos panny Granham!

— Biedny chłopak, jest bardziej wrażliwy niż mu się wydaje.

Znowu to znajome wahadło! Zorientowałem się, że zdjęto mi surdut, rozpięto kołnierzyk i rozchyłono koszulę. Powoli usiadłem. Kolana należały do pani Brocklebank.

— Lepiej byłoby, gdyby poleżał pan jeszcze chwilę.

Zacząłem wyrażać podziękowania i przeprosiny, co zapewne trwałoby dość długo, ale panna Granham miała inne plany.

— Proszę leżeć spokojnie. Celia zaraz przyniesie poduszkę.

Próbowałem wstać z ławy, ale przytrzymała mnie z zadziwiającą stanowczością.

— Dziękuję pani, panno Granham, ale sądzę, że dam radę wrócić...

— Wrócić? A dokąd?

— No, do mojej komórki... To jest, chciałem powiedzieć, do mojej kajuty!

— Byłoby to wysoce niewskazane. Proszę przynajmniej posiedzieć tu przez chwilę.

Pamiętałem przede wszystkim to, co zalepiło mi oko. Przełknąłem ślinę i popatrzyłem na dłoń. Umyto ją, ale wciąż widać było na niej nieokreślone zabarwienie, które wziąłem za resztki zakrzepłej krwi i mózgu. Znow przełknąłem ślinę. Uświadomiłem sobie w tej chwili, że jestem teraz bezdomny! Nadal dziwię się sobie, że właśnie tę „bezdomność” odczuwałem najbardziej, tak, że z trudem powstrzymywałem się od płaczu. Marzyłem, żeby posiedzieć w samotności w mojej dawnej komórce, w której spędziłem godziny — cóż ja plotę — tygodnie, miesiące nudy! Ale na koi, która była kiedyś moją, leżała teraz Zenobia, o kajucie Colleya zaś nie chciałem nawet myśleć.

— Musiałem chyba popaść w omdlenie, i to zupełnie bez powodu! Szanowne panie, serdecznie...

— Już mu lepiej?

Był to głos Charlesa Summersa.

— Znacznie lepiej, bardzo dziękuję.

— Wcale mu nie lepiej, panie Summers!

— Muszę mu zadać kilka pytań, panno Granham.

— Nie, proszę pana, nie teraz!

— Niech mi pani wierzy, że jest to dla mnie przykry obowiązek. Proszę jednak zrozumieć też, że w takiej sytuacji pytania muszą zostać zadane jak najszybciej, i że to sprawa urzędowa. A więc, proszę pana, kto to zrobił?

— No wie pan!

— Proszę mi wybaczyć, panno Granham. A więc? Słyszał pan pytanie. Czy mam powtórzyć? Im szybciej pan odpowie, tym szybciej będzie można uporządkować kajutę Colleya — to jest pańską.

— Uporządkować? Tak przecież mówią szczury lądowe. Powinien pan powiedzieć „sklarować”.

— Widzi pani, że już całkiem doszedł do siebie. A więc, panie Talbot, jak już mówiłem: „Kto to zrobił?”

— Dobry Boże, przecież już wiesz. On sam!

— Czy widział to pan na własne oczy?

— Tak. Nie przypominaj mi!

— No, wie pan, panie Summers, on powinien...

— Proszę mi wybaczyć, panno Granham, jeszcze tylko jedno pytanie. Ofiara była pańskim służącym. Być może zauważył pan coś szczególnego... Czy wie pan może, dlaczego popełnił ten czyn?

Zastanawiałem się przez chwilę, ale wszystko, co przychodziło mi do głowy, było błahe i nieważne w obliczu tak krwawej prawdy.

— Nie, proszę pana. Nie wiem nic.

Niespodziewanie i jakby z opóźnieniem znow opadło mnie poczucie bezdomności.

— O Boże? Co ja teraz zrobię? Gdzie się podzieję?

— Nie może przecież wrócić do tej kajuty, proszę pana! To niemożliwe!

Charles Summers przypatrywał mi się z góry. Byłem jakby zagubiony, przytłoczony przecuciem, że przyjdzie mi zaraz jeszcze bardziej cierpieć z tego powodu, bo na jego twarzy dostrzegłem wyraz nieklamanej antypatii.

— Znowu muszę traktować pana w sposób szczególny. Jak dotąd nie wpuszczaliśmy pasażerów do kwatery oficerów, bo w końcu nam też należy się odrobina spokoju. Jednak okoliczności są niezwykle, podobnie jak pańskie położenie. Proszę za mną — jeśli da pan sobie radę z kołysaniem statku. Znajdę panu koję.

— Błagam pana, niech pan uważa na siebie!

Charles Summers poprowadził mnie w dół, co chwila czekając, aż go dogonię, gdy szczególnie szybkie ruchy statku utrudniały mi zejście. Otworzył drzwi do kwatery oficerskiej i zaprosił mnie gestem do środka. Znajdowałem się w sporym pokoju, z którego prowadziło wiele innych drzwi. Był tu duży stół i wiele przedmiotów oraz instrumentów, których oglądać nie miałem ani chęci, ani czasu. Światło pochodziło, jeśli się nie mylę, z najniższego rzędu okien rufowych statku.

— Przecież pomieściliby się tu wszyscy oficerowie, a nie tylko ty, Cumbershum i Benet!

Nie mówiąc ani słowa otworzył jedno z drzwi. Koja była pusta, a na cienkim materacu leżały przygotowane już, złożone koce.

— To dla mnie?

— Chwilowo.

— Ciasno tu.

— A czegoż się pan spodziewał? Było tu dość miejsca dla pańskiego przyjaciela, pana Deverela i dla pańskiego nowego przyjaciela, pana Beneta. Kajutę tę przewidziano dla prostego porucznika, biednego człowieka pozbawionego widoków na świetną przyszłość, bez nadziei — a może nawet pozbawionego należnego mu stanowiska przez... przez...

— Ależ kochany panie Summers!

— Proszę nie zaprzeczać. Mogę przynajmniej mówić to, co myślę, gdy znalazł pan sobie nowego przyjaciela, którego może otaczać pan swą protekcją!

— Moją co?

— Protekcją, którą niegdyś mi pan przyrzekłeś, a którą cofasz pan teraz, co widać jak na dłoni z...

— Co to wszystko znaczy? To jakieś potworne nieporozumienie! Nigdy nie obiecywałem żadnej protekcji, bo do czegoż mógłbym cię protegować?

Pierwszy oficer zaśmiał się krótko a gniewnie.

— Rozumiem. Pewnie, tak najłatwiej uciąć całą sprawę. A więc to tak. Teraz jemu dostanie się to wszystko.

— Komu?

— Panu Benetowi.

— Mówisz zagadkami. Co ma do nas pan Benet? I skąd, na Boga, przyszedł ci do głowy pomysł, że ja mogę rozdawać statki i stanowiska?

— Nie pamiętasz? A może wygodniej ci zapomnieć?

— Lepiej będzie, jeśli mi wszystko wytłumaczysz. Co ja takiego powiedziałem, że potraktowałeś to jako obietnicę?

— Skoro sam zapomniałeś własnych słów, nie wypada mi ich powtarzać.

— Po raz ostatni mówię, zanim głowa mi pęknie — o nie, tylko nie to! — po raz ostatni pytam: powiesz mi, czy nie powiesz, co według ciebie powiedziałem?

— Było to w twojej dawnej kabynie, kiedy niepokoił się o Colleya. Powiedziałem: „Nie mam możnego opiekuna”. A ty zaraz: „Niech pan nie będzie tego taki pewien, panie Summers!” Twoje własne słowa! Proszę bardzo, zapieraj się ich teraz!

— Ale przecież nie była to żadna obietnica protekcji! Wyrażałem w ten sposób mój szacunek dla ciebie i ofiarowałem ci moją przyjaźń! Zbyt skromna ze mnie osoba, by moja protekcja gdziekolwiek się liczyła, a ty, jak sądziłem, byłeś ponad to, by jej szukać!

— Możesz pan już nic nie mówić. Omyliłem się. Życzę miłego dnia.

— Panie Summers! Proszę wrócić!

Nastąpiło dłuższe milczenie.

— W jakim celu, proszę pana?

— Zmusił mnie pan... To okropnie żenująca sytuacja. Ale statkowi grozi zatonięcie. Dobry Boże! Przecież to śmieszne! Dość tego. Ów pierwszy dzień

nik, który zachowałem dla mego chrzestnego, a który, jak sądzisz, jest tylko opisem niesprawiedliwego postępowania naszego dzielnego kapitana... Chcesz, to przeczytaj go sobie. Trafi on do rąk mego ojca chrzestnego, człowieka mającego w naszym kraju wielkie wpływy. Przeczyta każdą stronę. Proszę więc to zabrać, proszę rozciąć brezent, przeczytać każde słowo. Jest to prawdziwy hymn pochwalny na pańską cześć. Trudno znaleźć tam stronę, gdzie nie występowałoby pańskie nazwisko, pańskie zachowanie i charakter nie byłyby opisywane z podziwem, powiem więcej, z szacunkiem i... sympatią. Tylko tyle mogłem dla pana uczynić i tylko tyle uczyniłem.

Teraz milczenie było jeszcze dłuższe. Zdaje się, że nawet nie patrzyliśmy na siebie. Kiedy wreszcie odpowiedział, mówił ochryplym głosem:

— A więc teraz zmienił pan zdanie. Już nie jestem wart pańskiego podziwu i uznania.

— Nie mów tak!

Staliśmy naprzeciw siebie, każdy, jak zwykle, z jedną nogą wyprostowaną, drugą uginającą się i prostującą na przemian. Mimo — a może właśnie dlatego — że nasza rozmowa okazała się tak poważna, nie mogłem nie dostrzec pewnej dozy komizmu w tej sytuacji — nie była to jednak właściwa chwila, by o tym wspomnieć. Teraz mówił Summers, a głos drżał mu ze wzruszenia:

— Nie mam rodziny, panie, i nie sądzę, bym kiedykolwiek nabrał skłonności do małżeństwa. Ale jeśli przywiązuję się do kogoś, to głęboko i mocno. Ludzie, jak liny, mają swą wytrzymałość. Widząc, że tracę w pańskich oczach na korzyść człowieka młodszego, cieszącego się wszystkimi względami, których mnie pozbawiono, odnoszącego sukcesy tam, gdzie ja nawet nie mogłem marzyć...

Czekaj, czekaj! Jeżeli widziałeś we mnie tylko małoduszność, skłonności do intryg czy wręcz zadufanie, które, jak się przekonałem... Nie, nie umiem tego wysłowić. Sedno w tym, że w porównaniu z tobą to ja jestem niewiele wart! Ale nic nie sprawiłoby mi takiego zaszczytu jak to, gdybyś chciał pozostać moim przyjacielem.

Wykonał szybki krok w moją stronę.

— To więcej, niż mógłbym się spodziewać, to więcej niż sobie zasłużyłem. Och, nie rób takiej rozpaczliwej miny! Jeszcze zaświeci nam słońce. Ostatnio spadło na ciebie wiele trosk, a ja dorzucam jeszcze dodatkowe brzemie.

— Za dużo się tu nauczyłem, w tym sęk. Ludzie... Błagam, nie śmiej się ze mnie... Zawsze miałem się za polityka, za bezstronnego obserwatora innych, ale więzi, które połączyły mnie z tobą, z nią, z biednym Wheelerem... Te łzy płyną mi z oczu bezwiednie, to jeszcze skutek mojej kontuzji. Proszę, nie zwracaj na nie uwagi. Dobry Boże, stary koń, a...

— Ile ty właściwie masz lat?

Gdy mu powiedziałem, zawołał:

— Naprawdę tylko tyle?

— Czemu tak się dziwisz? A ty myślałeś, że ile?

— Więcej. Znacznie więcej.

Wyniosłość zniknęła z jego twarzy; pojawił się na niej zupełnie nowy wyraz. Nieśmiało wyciągnąłem dłoń, on zaś, prawdziwie wielkoduszny Anglik, ujął ją oburącz przejmującym, męskim uściskiem.

— Edmundzie!

— Mój drogi!

I choć wciąż byłem świadom pewnego komizmu całej sytuacji, była to chwila, w której musiałem wyzbyć się resztek rezerwy — odwzajemniłem uśdsk.



## Postscriptum

W tym samym woluminie zamieścić muszę wyjaśnienie i przeprosiny za tak nagły koniec dziennika. Ewentualny czytelnik — czy też najdroższa czytelniczka — mogliby zamęczyć się daremnym poszukiwaniem owego wyjaśnienia. Powód porzucenia przeze mnie pióra jest w pewnym sensie błahy, tak błahy, że aż irytujący, równocześnie zaś wielce nas wszystkich rozweselił. Teraz, gdy bezpiecznie dotarłem do lądu i na nowo przyzwyczałem się do życia bez ciągłego kołysania pod stopami, zaczynam podejrzewać — choć może to niesprawiedliwe — że wesołość nasza była szaleństwem, które ogarnęło cały statek, jakby na potwierdzenie słów żaglomistrza, pana Smileasa!

A więc pokrótce.

W czasie, gdy wraz z moim droгим przyjacielem, Charlesem Summersem, wyjaśnialiśmy całe to niemądre nieporozumienie, dobiegała końca wachta Cumbershuma. Ja sam nie byłem świadkiem tego, co nastąpiło, gdyż nadal przeżywałem dokonane na moich oczach samobójstwo Wheel era i musiałem udać się na spoczynek do nowej komórki, którą znalazł dla mnie Charles] leżałem tam długo, wstrząsany dreszczami, jakby strzelba, która zabiła Whee- lera, raniła przy okazji i mnie. Wszystko jednak dokładnie mi opowiedziano.

Cumbershum schodził właśnie pod pokład, gdy zaczepił go płatnik, pan Jones. Jones, który coraz bardziej martwił się o należący do niego towar, przewożony na statku, poprosił Cumbershuma o chwilę rozmowy, ten zaś opowiedział ją ze szczegółami Charlesowi oraz innym oficerom, a wszyscy wielce się ubawili.

— Błagam, niech mi pan powie, czy statek zatonie?

Tak się akurat złożyło, że Cumbershum miał u płatnika największe długi, toteż wybuchnął głośnym śmiechem.

— No pewnie, ty stara ropucho! Ta przeklęta łajba zatonie, a śmierć zmazuje wszystkie długi!

Skutek był odwrotny od spodziewanego. Pan Jones znalazł się w szponach swej najsilniejszej pasji — po- pędził do siebie, wrócił zaraz z całą garścią skryptów dłużnych i zażądał natychmiastowej zapłaty. Cumbershum odmówił, sugerując, by płatnik zrobił taki użytek z papierów, że nie sądzę, by przystojnie było przytaczać te słowa. Odmowa wprawiła nieszczęśnika w prawdziwą panikę. Biegał po statku nie zważając na kołysanie, przez co narażał się na utonięcie, bo przestał nawet myśleć o osobistym bezpieczeństwie; gdyby inny człowiek wpadł w taki stan, nazwano by to szaleństwem, bohaterstwem, albo i jednym, i drugim. Wszędzie więc usiłował spieniężyć skrypty

I wszędzie spotykał się z odmową, czasem jeszcze dosadniejszą niż ta, którą uraczył go Cumbershum. Myślę, że ani odwiedziny Neptuna, gdy przekraczaliśmy równik, ani przedstawienie, gdy staliśmy burta w burtę z Alcyone, nie wywołały tak powszechnej i w sumie pozytywnej wesołości. Na jakiś czas statek nasz stał się jakby przyjemniejszym miejscem!

I na mnie przyszła kolej, gdy tylko otrząsnąłem się

z tej dziwnej niemocy czy choroby. Pan Jones przedstawił mi słony rachunek za świece i środki uśmierzające. Jakże źle trafił! Stał jak wryty i nie potrafił wykrztusić ani słowa, gdy z całym spokojem odpowiedziałem, że nie czuję się dłużnikiem. Pieniądze winien jestem Wheelerowi, a ten nie żyje. Wheelera zaś spadkobierców i wskazane przez niego osoby gotów jestem spłacić we właściwym czasie.

Długo jeszcze nalegał pan Jones, a wreszcie dał za wygraną i wołał powrócić do naszej poprzedniej rozmowy.

— Ale chociaż zapłaci mi pan za pojemnik, o który mnie pan prosił!

— Pojemnik?

— Na pański dziennik, żeby nie zatonął w morzu!

— A, pamiętam. Tylko dlaczego od razu płacić? Nie wystarczy panu skrypt?

Zarżał radośnie.

— Albo gotówka, panie Talbot, albo nie dam pojemnika!

Zastanawiałem się przez chwilę. Jak czytelnik — czytelniczka? — zapewne sobie przypomina, rzeczywiście prosiłem go o coś, w co mógłbym zapakować moje pisma, nim powierzę je falom, ale sugestię tę uczyniłem półżartem. Jakże charakterystyczne dla pana Jonesa, że zapamiętał tę uwagę, wziął ją poważnie i postanowił wyciągnąć dla siebie jakiś zysk. Oto okazja, by pomścić jego nieludzkie traktowanie innych, sama pchała mi się w ręce!

— Doskonale, drogi panie. Kupię od pana ten pojemnik, ale pod jednym warunkiem: znajdzie pan dla niego miejsce w swej szalupie!

Nastąpiła zażarta dyskusja. W końcu pan Jones zgodził się dostarczyć pojemnik na ląd i oddać pod wskazany adres. Najpierw zaproponował mi coś, co sam nazwał „garnkiem”. Gdy zobaczyłem, że jest bardzo mały i w dodatku gliniany, nie chciałem nawet słyszeć o „gamku”.

— Co będzie, jeśli morze wyrzuci pana wraz z pańską szalupą na skały? Przecież popęka pan na kawałki, jak zdechła owca na słońcu, a wraz z panem mój garnek!

Pan Jones jakby pozieleniał na twarzy. W takim razie może sprzedać mi „baryłeczkę”?

— A co to takiego, ta „baryłeczka”?

— Mała drewniana beczka, proszę pana.

— Doskonale.

„Baryłeczka” okazała się wcale okazałą beczką, w której zmieściłoby się z osiem galonów takiej czy innej cieczy.

— Do diabła, człowieku, przecież w czymś takim nawet ja bym się zmieścił!

Zażądał iście bająnskiej sumy. Udało mi się ją obniżyć o ponad połowę — wyznam, że głównie dzięki owemu „wydziwianiu”, które tak nie przypadło do gustu panu Askew.

— A teraz, drogi panie Jones, zaprzysięże pan dostarczyć tę baryłeczkę na ląd i przekazać ją pod wskazany adres, mając na względzie, że w tej uroczystej chwili obaj możemy już wkrótce stanąć na Sądzie Ostatecznym, który czeka wszystkich ludzi.... Dobry Boże!

O ile ów ostatni wykrzyknik zgadzał się może z materiały mojej wypowiedzi, to na pewno nie był zamierzony. Znalazł się na moich ustach po prostu dlatego, że nagle podniosły się nade mną niczym fala lata nauki religii, tysiące nabożeństw i cała potężna machina Kościoła, gotowa w każdej chwili przywalić mi w głowę niczym wtedy ów latający szot. Poczulem na plecach oddech sądu, który wspomniałem tak lekkomyślnie, i bynajmniej nie było mi z tym przyjemnie.

— Proszę przysiąć.

Pan Jones, może tknięty tym samym przecuciem, odpowiedział drżącym głosem:

— Przysięgam.

Niech to wszyscy diabli, istny Hamlet! Zrobiło mi się jeszcze bardziej nieswojo! Poczułem prawie, że widmo Colleya krąży po naszym statku. Cóż... byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a umysł lubi wtedy płatać takie figle.

— Poza tym, panie Jones, jeśli przeżyjemy, odkupi pan beczkę za taką sumę, jaką pan za nią otrzymał... Wie pan, taki już jestem dziwny!

Trzeba dodać w tym miejscu, że jeżeli stan statku był niepokojący, mój zaś — dziwny, jeszcze dziwniejsze rzeczy działy się z załogą i pasażerami. Jak gdyby panowie Jones i Cumbershum wspólnie uwolnili w nas coś, co dotąd spoczywało zamknięte gdzieś głęboko, wesołość naszego „wesołego statku”<sup>55</sup> zmieniła się, przechodząc w coś, co mogę tylko nazwać zbiorową histerią. Nie było w tym nic kobiecego, jak słowo to zdawałoby się wskazywać. W najgorszych, najpoważniejszych przypadkach objawiało się to coś niepowstrzymanym śmiechem z byle powodu, w najlepszym razie zaś mogło stać się doskonałym przykładem typowo angielskiego humoru. Było w tym i nieco chłodu, pogardy dla życia, a nawet szczypta dzikości. Przyszło mi na myśl, że może przypomina to ową wisielczą wesołość, jaka ogarniała ofiary terroru we Francji, gdy nadchodziła godzina ich męczeństwa. W skrajnej postaci miało to też pewne cechy bluźnierczego, szatańskiego, rozpustnego, pełnego furii humoru, który czasem wybuchł w lochach Newgate, gdy zamknięci tam nędznicy słyszeli ostatnie potwierdzenie czekającego ich losu. Na statku znajdowali się też pewnie i tacy, którzy się modlili, bo nie było już wśród nas nikogo — mężczyzny, kobiety, dziecka — kto nie miałby świadomości naszego smutnego położenia. Lina zebrała z kadłuba mnóstwo zielska, całą operację dokończono, ale nie sądzę, by wywarło to większe wrażenie na pasażerach i emigrantach. Wtedy już wszyscy wiedzieliśmy wszystko aż za dobrze.

Nie podejmowano już więcej prób zatajenia prawdy! Z początku uważałem całą sprawę z beczką za świetny, lecz jednorazowy żart — tymczasem jego skutki przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Bednarz, pan Gilland, zgodził się za darmo połuźnić obręcz i odbić wieko. Wewnątrz beczki umieściłem dziennik przeznaczony dla ojca chrzestnego i niniejszy kajet. Nie miałem jednak pojęcia, że wiadomość o moim przedsięwzięciu już rozeszła się po statku. Dobry Boże, nie było chyba ani jednego pasażera, ani jednego emigranta, który nie chciałby powierzyć mi listu, paczuski, jakiegoś przedmiotu, obrączki, błahostki, książki — pamiętnika! — czegoś, czegokolwiek, jakby taką namiastką siebie chciał przedłużyć własny żywot. Tacy właśnie są ludzie, choć nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie przekonał się na własne oczy. Popyt na miejsce w mojej beczulce urósł do takich rozmiarów, że Charles Summers zaczął protestować, choć dość dobrotliwie.

— Mój drogi Edmundzie! Masz tylu klientów, że Webber, który powinien zajmować się kwaterami wszystkich oficerów, nie robi już prawie nic, tylko bawi się w twego odźwiernego!

— Co ja na to poradzę? Sam mam tego dość.

— Jesteś teraz najbardziej popularną postacią na statku.

— Gdybym potrzebował dowodów, jak zmienni bywają prostaczkowie...

— Kiedy już mowa o nas, prostaczkach...

— Charles, równie dość mam twojej fałszywej skromności! Dożyję jeszcze, że zostaniesz admirałem!

— Ogłoszę na okręcie, że pan Talbot przyjmuje papiery tylko podczas pierwszej połówki psiej wachty. Za dzień lub dwa dadzą nam spokój.

Odszedł, by kontynuować przygotowania do „obwiązania statku”.

I oto przyszło mi dwie godziny dziennie siedzieć za ladą jak celnikowi Mateuszowi. Jestem święcie przekonany, że przez jakiś czas, nim go za to zbeształam, frant Webber pobierał opłaty za wstęp! Po statku krążyło już nie tylko widmo Colleya, lecz również duch płatnika. Tak czy owak znaczna większość tych, którzy zjawiali się u mnie, byli to zwykli, prości ludzie. Dzielili się wyraźnie na dwie odrębne kategorie. Jedni chichotali, ciesząc się, że i oni splatają figła Jonesowi, drudzy zaś, co smutne, traktowali całą sprawę aż nadto poważnie. Biała linia, namalowana w poprzek statku na wysokości grotmasztu, została do końca zmyta przez fale. Był to nie tylko zwykły fakt, więcej: stało się to doskonałą metaforą naszego obecnego położenia! O tym jednak później. Wystarczy powiedzieć, że gości miałem wielu i bardzo różnych: przychodził biedny emigrant z kapeluszem w jednej dłoni a zapisaną kartką papieru w drugiej, albo złośliwie uśmiechnięty majtek, wyciągając ku mnie długi na cal kosmyk z własnego warkoczyka, w nadziei, że „się sukinsyn napoci, proszę pana”. Wkrótce moja beczka zaczęła przypominać istny róg obfitości, taki sam, jakim w dzieciństwie cieszyliśmy się w każde Boże Narodzenie. Bóg widzi, że na tym statku dobry był każdy pretekst do odrobiny wesołości!

Obok innych żartów, które tak paradoksalnie zawdzięczaliśmy grożącemu niebezpieczeństwu, należy wymienić szereg powiedzonek, które wkrótce stały się bardzo popularne. Część marynarzy pełniących wachtę otrzymuje od podoficera jakiś rozkaz, na przykład chwycenia za linę — odpowiadają jak jeden mąż: „Tak jest. Wie pan, tacy już jesteśmy dziwni!” A raz zdarzyło się nawet — i muszę tutaj prosić damy, bo przecież językiem ich jest poezja, a za nic mają prozę — zmuszony jestem prosić je, by odwróciły oczy od następnych akapitów.

A więc zdarzyło się, że pojawił się u mnie pan Taylor, śmiejąc się tak głośno, że było to nadzwyczajne nawet jak na niego, i nie mógł przestać, dopóki nim dobrze nie potrząsnąłem. Znając go, przygotowany byłem na opowieść o jakimś strasznym nieszczęściu, które przytrafiło się komuś innemu, a smarkaczowi wydało się szczytem komedii — ale nie. Kiedy wreszcie przestał się śmiać i ochłonął po mojej „pomocy”, zapytałem o co chodzi, oczekując najgorszego.

— Widzi pan, mam dla pana zagadkę!

— Zagadkę?

— Tak, proszę pana. Czemu... — Ale udało mu się powiedzieć tylko tyle, bo znowu zaczął się śmiać — więc znowu musiał dostać za swoje.

— Chłopcze, dokończ lepiej, co zaczęłeś, zanim wyrzucę cię za burtę.

— Tak jest. Zagadka jest taka: „Czemu statkiem tak kołysz?”

— No, czemu?

Jeszcze raz dostał konwulsji, nim wreszcie wykrztusił:

— Bo lord Talbot bawi się swoją bara-bara-baryłką!

Puściłem go i wróciłem do mojej komórki. Jeżeli

w wyniku niebezpieczeństwa cały statek znalazł się na tak niskim poziomie, to zatonięcie mu nie grozi, bo on już zatonął.

Kiedy wreszcie minęła jedna psia wachta, w czasie której nikt już mnie nie odwiedził, posłałem po bednarza, pana Gillanda, i wezwałem pana Jonesa. Gdy obaj stanęli przede mną, kazałem zabić wieko i ścisnąć obręcz, obu biorąc za świadków „nienaruszalności pojemnika”. Potem kazałem zapieczętować całą beczkę, ale zostawić otwarty szpunt—wy tłumaczyłem Jonesowi, że być może przyjdzie mi chętnie wsunąć tam

ostatnie, przedśmiertne życzenie lub modlitwę, gdy zaczął tonąć, nim on opuści statek. Przyznam się, że i mnie samego żart ten zaczynał już męczyć, i wcale nie było mi do śmiechu, gdy wyobraziłem sobie, że wszystko, co pozostało z Edmunda Talbota, unosi się na powierzchni Oceanu Południowego, gdzie szanse, że ktoś to odnajdzie, są niemal równe zeru! Gorzej jeszcze: pozbawiony nagle moich dzienników, pozbawiony możliwości pisania, zostałem sam na sam z wybrykami i niepewnością naszego coraz mniej żeglownego statku.

Czytelnik zorientował się już zapewne, że przynajmniej ja przeżyłem tę podróż. Ale podobnie jak każdemu ewentualnemu czytelnikowi, tak i mnie, gdy przeczytałem potem, co napisałem, nagle zakończenie dziennika — nazwijmy go „drugą księgą” — nie dawało spokoju. Zresztą sama nazwa „dziennik” jest tu pewnym nadużyciem. Uważny czytelnik rozpozna zapewne te dość odległe od siebie chwile, gdy próbowałem opisać wydarzenia kilku dni naraz, by „nadgonić” stracony czas. Często pisałem o tym, co było, gdy tymczasem wokół działo się wiele nowego. Dużo czasu minęło też między zakończeniem właściwego dziennika, a dołączeniem doń niniejszego postscriptum. Odczuwałem pokusę, by uniknąć zbyt nagłego zakończenia i kontynuować dziennik udając, że do końca pisałem go na statku. Ale, jak już mówiłem, minęło zbyt wiele czasu. Byłoby to nie tylko nienaturalne, więcej — po prostu nieuczciwe. I jeszcze gorzej: fałszerstwo zostałoby natychmiast wykryte, bo zmieniłby się styl — pochlebiam sobie, że mam własny styl, jakikolwiek on tam jest. Brakłoby w nim tej bezpośredniości, wynikającej z pisania „na gorąco”. Kiedy przeczytałem jeszcze raz „księgę pierwszą” — kiedy i dlaczego, dowiecie się w następnym tomie! — stwierdziłem, że wiele zyskała przez zamieszczenie w niej wzruszającego, choć nie dokończonego listu Colleya. Bo o ile nieszczęśnik nie był najlepszym kapłanem, to w jego żywym,

płynnym operowaniu językiem ojczystym widać przebłyśki geniuszu; tymczasem „księga druga” musi polegać na moich własnych próbach, oczywiście poza fragmentami, w których przytaczam słowa wypowiedziane przez innych. Nie przeczę jednak, że to co, jak teraz widzę, było szczerym „przelaniem myśli na papier”, posiada jednak pewną siłę wyrazu, o którą nigdy bym siebie nie podejrzewał, dopóki nie przeczytałem wszystkiego ponownie po upływie dłuższego czasu. Wracając jednak do początku niniejszego akapitu: takie postscriptum wydało mi się najrozsądniejszym rozwiązaniem mojego dylematu.

Przydałby się jednak odpowiedniejszy i obszerniejszy opis pozostałej części naszego rejsu. W mojej pamięci pozostał on jedną całością, mającą swój początek, środek i koniec. Nasze dalsze przygody nie były mniej męczące niż poprzednie. Uczciwość każe mi przyrzec na później prostą opowieść o tym, jak zakończyła się nasza podróż, co stanowić będzie „księgę trzecią”. Nie usurpuję sobie talentu Colleya; mogę tylko mieć nadzieję, że dziwne a niebezpieczne wypadki, o których będzie tam mowa, wystarczą jako zadośćuczynienie za marne pisarstwo.

Jest jeszcze inny wzgląd na tę sprawę. Powoli przekonuję się do pomysłu ogłoszenia całości drukiem! Wtedy może słowa te przeczytają nie tylko moi najbliżsi, lecz znacznie szersza publiczność. To, co zacząłem, by spełnić życzenie ojca chrzestnego, spodobało mi się potem tak, że teraz znalazłem się, ni mniej, ni więcej, w położeniu zwykłego pisarza, trawionego przynajmniej wszelkimi ambicjami, jeśli nie wszystkimi przywarami tego gatunku ludzi. Zwierzyłem się z tego panu Brocklebankowi — było to w dniach, kiedy dzika wesołość na naszym statku sięgnęła szczytu — mówiąc, że brakuje mi jeszcze niezbędnej w tym fachu rozwiązłości, na co on odpowiedział głosem kwaśnym jak niedojrzałe jabłko:

„Kochany! Pij pan tylko tak dalej jak pijesz, to nie będziesz miał sobie równych! Nie muszę dodawać, że był wtedy, jak zwykle, kompletnie pijany. Czy to jednak całkiem niemożliwe, by człowiek inteligentny, dobrze wychowany i wykształcony przywrócił temu zawodowi choć odrobinę godności, której pozbawili go nasi pismacy?

Przywary? Do ambicji jestem gotów się przyznać. Już najmniejszą z nich jest chęć ujrzenia własnego dzieła w druku! Przyznajże, drogi czytelniku, któż pisze nie chcąc, by go czytano? O istnieniu czytelnika świadczą same nasze słowa, nawet jeśli używamy ich, by temu przeczyć. Powiem więcej. Któż z tych, co dużo piszą, nie ulegał pokusie zdobycia publiczności? Jest we mnie, jak we wszystkich pisarzach, to miltonowskie „najmniejsze z niedołęstw szlachetnego umysłu” — pragnienie uczynienia własnego nazwiska sławniejszym, pragnienie szczerzej szafowanego podziwu, większego zainteresowania osobą i charakterem autora ze strony płci pięknej. I choć czasem mówię, a częściej myślę, że piszę tylko dla siebie, jeszcze częściej zastanawiam się dla kogo piszę — dla Pani Matki, dla Innej Pani, a może dla kolegi szkolnego, którego twarz pamiętam, ale nie nazwisko. I przyłapuję się na tym, że marzę już o trzech pięknie wydanych woluminach „Podróży Talbota” albo „Na krańce świata!” Tyle więc tytułem wyjaśnienia dla ewentualnych czytelników, których mogło zdziwić nagłe zakończenie „księgi drugiej” dziennika, lecz których mam nadzieję udobruchać i zaciekawić tą zachętą do przeczytania trzeciego tomu!